

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

Pogląd

Papież
w
Austrii

Cena Dm 8



CO ROBIĆ?



Pogląd

Andrzej Wirecki	
Manewry	2
Rafał Raster	
Wszyscy wszystkiego	
mają dosyć	16
Ewa Janikowska	
Być kobietą	19
Leszek Wyrwa	
Temida w ekspresie	25
Mikołaj Stopczyński	
Polak w więzieniu	30
Tadeusz Sędziwy	
Stalowa Woia	
kwiecień-lipiec 1988	34
Maciej Radwan Rybiński	
Prywatne rozmyślenia	39
Wiktor Grotowicz	
Człowiek środka	43
Aureliusz M. Pędziwoł	
Rumunia:	
spychaczem w wieś	48
Aureliusz M. Pędziwoł	
Pielgrzymka do Europy	53
Adam Lengyel	
Schizma	58
Michał Morawski	
List z ZSRS:	
Prze – Budowa	60
Marta Waliszewska	
Z biblioteczki emigrantki ...	65
Walter Żelazny	
Jak przekonać	
tę żabę?	67
Z Rzymu	72
Z Kopenhagi	73
Polacy w RFN	76
DOKUMENTY	77
KRONIKA EMIGRACYJNA ..	79

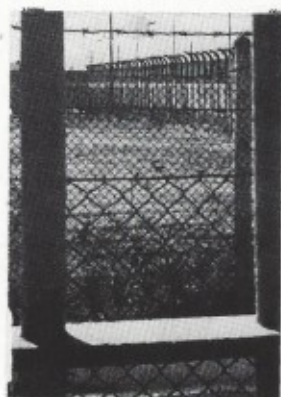
Oddano do druku dn. 18. 08. 88 r.

PO DZIURKI W NOSIE?

str. 16



„Dopóki nie skończymy z przewodnią rolą partii, dopóki nie skończymy z nomenklaturą, to możemy mieć jeszcze 10 partii i nic się nię zmieni!” — powiedziano m.in. podczas „warsztatów opiniotwórczych”, które odbyły się w Jadwisinie pod Warszawą w dn. 6-7.05. br. z inicjatywy CBOS. Rafał Raster kończy sprawozdanie z dyskusji **WSZYSCY MAJĄ WSZYSTKIEGO DOSYĆ** uwagę: „to okrutna polska rzeczywistość, ta nieopisana przepaść między władcami a poddanymi, przepaść materialna i duchowa, jak gdyby były to dwa plemiona — zwyciężonych i zwycięzców”.


**POLAK
W WIĘZIENIU** str. 30

Analizując sytuację w polskim systemie penitencjarnym Mikołaj Stopczyński dochodzi do wniosku, iż „największe zło, jakie przynosi system polityczny i społeczny stworzony przez komunistów nie jest świadome siebie i sterowane przez potężne i złowieszcze centra. Ono tkwi w nim samym, w jego niedomyślności, jego niesprawnych organizacjach i urządzeniach, złych mechanizmach społecznych, w brakach i niedostatku. Więzienie nie jest żadnym wyjątkiem. Koszta ponosimy my wszyscy”.

CZŁOWIEK ŚRODKA

str. 43



Wiktor Grotowicz omawiając Wszeczziądkową Konferencję Partyjną KPZS z przełomu czerwca i lipca w artykule CZŁOWIEK ŚRODKA pisze m.in.: „Konferencja odbyła się, bitwa została rozstrzygnięta, »pieriestrojkę« uratowano, biurokratów i wsteczników napiętnowano, dalszą »demokratyzację« zapowiedziano, a Związek Socjalistycznych Republik Sowiekich nie zmienił się ani na jotę”.

PRZYJDZIE SPYCHACZ

str. 46



Siedem do ośmiu tysięcy takich wiosek w całej Rumunii zostanie w najbliższej przyszłości zrównanych z ziemią. Ich mieszkańców przesiedli się do nowych „ośrodków rolno-przemysłowych”. Przybędzie Rumunii trochę ziemi pod uprawę kukurydzy, znikną za to na zawsze ślady historii i kultury węgierskiej i niemieckiej mniejszości zamieszkującej głównie obszary wiejskie w Siedmiogrodzie. Realizację „reformy terytorialnej” już rozpoczęto, a jej koniec przewiduje Ceaușescu na rok 2000. Sposób traktowania mniejszości węgierskiej przez władze rumuńskie doprowadziło do niemal jawnego konfliktu węgiersko-rumuńskiego — wydarzenie bez precedensu w historii krajów sowieckiego bloku.

Z prasy podziemnej

APEL DO SPOŁECZEŃSTWA
POLSKIEGO

Prosimy, nie kupujcie żadnych produktów ze znakiem „Made in Romania”. Pomyślcie o tym, że obywatele naszego kraju z powodu wywozu podstawowych artykułów żywnościowych cierpią haniebne niedożywienie. Każdy obywatel Rumunii ma prawo dziennie do 300 g chleba, miesięcznie nie więcej niż 1 kg mięsa, 50 g masła i 8 jaj — wszystko to jest wyłącznie na kartki. Kto nie ma szczęścia, nie dostanie w sklepach nawet tej minimalnej racji.

Żyjemy pod reżimem Ceaușescu, który nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Prosimy was, popierajcie nasz społeczny protest przeciw tyranii Ceaușescu. Pomagajcie nam izolować też reżim na całym świecie. Żądajcie w swoich akcjach protestacyjnych „głasności i pieriestrojki” również dla Rumunii, powiedzcie swojej rodzinie, przyjaciołom, znajomym, aby na znak protestu codziennie o godz. 22.00 gasili światło w swoich mieszkaniach na okres 3 minut. Tylko powszechna izolacja czerwonego despoty Ceaușescu we wszystkich krajach może nam przynieść wolność!

Ruch wyzwolenia Rumunii,
Bukareszt, grudzień 1987
Za *Biuletynem Informacyjnym Solidarności Polsko-Czechosłowackiej*,
nr 4/88
(*Solidarność Dolnośląska*, nr 57, 12-25.06.88)

W 1985 r. kształciliśmy 122 studentów na 10 tys. mieszkańców, przy średniej dla krajów rozwiniętych — 316 (dane z 1984 r.). Wydatki na oświatę na całym świecie rosną (w USA z 84 dol. w 1975 r. do 141 dol. w 1984 r. w przeliczeniu na jednego mieszkańca; w RFN odpowiednio: z 348 do 477 dol., na Węgrzech: z 42 do 100 dol.), u nas zaś spadają. Odpowiednie wskaźniki dla Polski wynoszą 98 i 93 dol.

Spada też ilość absolwentów polskich wyższych uczelni: w 1980 r. było ich 50,1 tys., a w 1986 r. już tylko 40 tys. Równocześnie, jak się oblicza, tylko 20% inżynierów wykonyuje w pełni swoje przygotowanie zawodowe, zaś wg raportu Niezależnej Organizacji Technicznej przeciętny inżynier w przeciętnej polskiej fabryce ponad 40% czasu pracy przeznaczając na zajęcia nie wymagające kwalifikacji.

(tu teraz, *Pismo Oświaty Niezależnej*, nr 68, W-wa, czerwiec 1988)

KLEMPICZ NIE!

Komunikat

W okresie maja i czerwca br. w regionie Wielkopolski podjęto skoordynowane działania przeciwko planowanej budowie elektrowni jądrowej „Warta” w Klempiczu. M. in. w miejscowościach: Buk, Biechowo k. Wrześni, Murowana Goślina, Obrzycko, Oborniki, Piłka, Rogoźno, Stęszew, Szamotuły, Wągrowiec, Wronki, Woźniki rozdano w miejscach publicznych ulotki oraz szereg niezależnych publikacji ekologicznych.

Podobną akcją przeprowadzono także w Poznaniu, gdzie rozdawano ulotki na terenie Junikowa, Górczyna, Łazarza i Starego Miasta. Poza tym podczas trwającego w Poznaniu Jarmarku Świętojańskiego na Rynku Starego Miasta wywieszono dwa transparenty z hasłami przeciwko budowie elektrowni jądrowej w Klempiczu oraz rozdano kilka tys. ulotek.

Działania te podjęto w celu zwrócenia uwagi mieszkańców Wiel-

Manewry

Zyjemy w niezwykle interesującym okresie — jest to okres manewrów zmierzających do zbudowania podstaw współzycia. Pytanie opozycji brzmi: jak współżyć z komuną? Pytanie komuny: jak współżyć z opozycją? Wbrew pozorom nie jest to samo pytanie. Władze bowiem z upodobaniem podkreślają, że to do nich należy prawo decydowania o tym, komu z opozycji pozwoli się na zasiadanie przy wspólnym stoliku. Ogólna formuła mówi, że partnerami do rozmów z władzą mogą być tylko ci, którzy uznają „podstawy konstytucyjne” państwa. W istocie nie chodzi tu o samą Konstytucję, lecz o jedno tylko jej sformułowanie mówiące, że partia komunistyczna pełni kierowniczą rolę w PRL. Nigdzie i nigdy sformułowanie o owej „kierowniczej roli” nie zostało rozwinięte — w gruncie rzeczy jego interpretacja pozostaje całkowicie dowolna i zależna jest, oczywiście, od samej władzy. Warto o tym pamiętać, gdy rozważa się wszelkie możliwości utworzenia „paktu antykrzysowego” (nieoceniony rzecznik rządu PRL oświadczył właśnie niedawno, że w Polsce nie ma mowy o żadnym kryzysie) czy „udziału we władzy”, do którego przygotowuje się część działaczy opozycyjnych.

Jedno nie ulega wątpliwości — bardzo w ostatnim okresie poszerzyła się „szara strefa”, w której odnajdują wspólny język przedstawiciele komunistów i opozycji. Bojkot wyborów przyniósł widoczne efekty braku rzeczywistej społecznej podstawy panowania obecnej ekipy. Wybory do rad narodowych przyniosły jednak jeszcze jedno nowe zjawisko: w kilku wypadkach wśród radnych znaleźli się ludzie uważani za przeciwników systemu. W wywiadzie dla *Polityki* inżynier Ryszard Kardasz wybrany obecnie na radnego w Tarnobrzegu, w okresie stanu wojennego internowany, następnie działacz niezależnych struktur, ostatnio mianowany dyrektorem Ośrodka Badawczo-Rozwojowego w Hucie „Stalowa Wola” stwierdził: „Władza przez ostatnie lata nauczyła się chyba więcej niż opozycja.” Stwierdzenie to — wydaje się — zawiera sporo obiektywnej prawdy o obecnym stanie rzeczy w Polsce. Władza nie tylko potrafi już rozwiązywać konflikty strajkowe, ale także przeprowadzać eksperymenty z „ludźmi środka”, do których właśnie Kardasz należy. Sam zresztą o tym mówi: „Po prostu jestem w fazie eksperymentu. Jest to też sytuacja podwójnego moralnego klinczu. Z jednej strony zaczyna się tworzyć sieć zależności i zobowiązań w stosunku do władzy. Z drugiej ja wiem, że na przykład kolega z celi, z „internatu”, nie wrócił na swoje miejsce pracy. Lojalność może nakazywała-

by dzielić z nim te perypetie. Tylko dokąd by nas to zaprowadziło? Nie można w tym udręczeniu trwać wiecznie. Trzeba podjąć ryzyko wyboru. Na własny rachunek". I jeszcze jeden fragment wypowiedzi: „Myślę o utworzeniu klubu dyskusyjnego, który może mógłby się przekształcić w jakąś partię polityczną”.

Warto podkreślić, że podobnie myślących i działających ludzi jest w Polsce coraz więcej. Nie wyrzekają się swojej opozycyjnej postawy, lecz jednocześnie starają się wchodzić w struktury, które zostały przed nimi otwarte przez władzę poszukującą minimum społecznego poparcia. Tworzy to czasem trudne sytuacje moralne wynikające z konieczności zachowania podwójnej lojalności. Trzeba też przyznać, że obecna faza jest już dużo bardziej złożona, niż ta z okresu, w którym powstawały PRONY czy OKONY, a nawet wszelkie rady społeczne przy różnych oficjalnych instytucjach. W tej chwili w legalne struktury — już na poziomie najniższym — zaczynają wchodzić ludzie, którzy o podobnym obrocie spraw jeszcze trzy-cztery lata temu nawet nie chcieli słyszeć.

Wypadek inżyniera Kardasza nie jest odosobniony. Na tej samej stronie *Polityki* odnajdujemy reportaż na temat wyboru na radnych dwóch niezależnych działaczy w słynnej gminie Fajslawice: Henryka Janusza Stępnika i Józefa Wrońskiego — ten drugi swego czasu doprowadził w gminie do unieważnienia wyborów do sejmiku, pierwszy jest działaczem struktur niezależnych. Przy czym właśnie Stępnik został przewodniczącym rady narodowej. W wypowiedzi dla dziennikarki stwierdza: „Gdyby PZPR i ZSL chciały, to by przecież zrobiły sobie te wybory według zamówienia, tak, żebym nie miał szansy stać się przewodniczącym. Bez oglądania się na frekwencję, bo wiadomo było, że tak czy siak, będzie niska. A jednak nie zrobiły tego”.

Rzecz jednak w tym, że tym razem zamówienie było inne. Chodziło właśnie o to, by ludzie, którzy zdecydowali się jako opozycjoniści jednak w wyborach kandydować, tych wyborów nie przegrali. I tu ma rację Kardasz, gdy mówi, że władza w ciągu tych lat nauczyła się więcej od opozycji. Powoli, lecz skutecznie poszerza swoje wpływy w społeczeństwie. Byłoby żałosne, gdybyśmy mieli tego nie dostrzegać. Również żałosne byłoby poddawanie w wątpliwość dobrych intencji ludzi, którzy decydują się na wchodzenie w struktury oficjalne. Rzecz bowiem w tym, że decyzje te stanowią reakcję na nieskuteczność i stereotypowość działań opozycji. Nie widząc w jej strukturach szansy na rozwiązanie problemów społecznych część ludzi obdarzonych temperamentem działaczy próbuje odnaleźć nowe pole działania. Warto też przy okazji zwrócić uwagę na zbieżność krytyki postępowania działaczy „Solidarności” w prasie podziemnej i w pismach oficjalnych.

W cytowanym wywiadzie inżynier Kardasz podkreśla: „Uważam, że należy oddzielić związek od polityki. Związkowi łatwiej będzie wywalczyć wówczas prawo do istnienia, a ludziom mającym ambicje polityczne związkowy statut nie będzie pętał rąk. Ci ludzie powinni szukać innych form działania”. Podobne uwagi odnajdujemy w liście Stanisława Góry do podziemnego *Przeglądu Wiadomości Agencyjnych*. „Uważam, że działalność, którą prowadzi RKW „Mazowsze” jest pożyteczna i potrzebna, ale na płaszczyźnie partii lub ruchu politycznego. Tutaj jednak potrzebne jest

kopolski na sprawę budowy elektrowni atomowej „Warta”, a także ujawnienie prawdy o niebezpieczeństwach związanych z tą budową — ukrywanych i bagatelizowanych przez władze. W poszczególnych akcjach koordynowanych przez Grupy Oporu „Solidarni” wzięli udział członkowie: SW, LDP, „Niepodległość”, PPS, KPN, PGN oraz uczestnicy ruchu ekologicznego, a także osoby nie należące do żadnych organizacji społecznych i politycznych.

Łącznie rozpowszechniono ok. 50 tys. ulotek i publikacji. Z osób uczestniczących w w/w akcjach nikt nie został aresztowany.

Poznań, 10.07.88
Wielkopolskie Grupy Oporu „Solidarni”

(*Solidarność Walcząca*, oddz. Poznań, nr. 16/95, 25.07-7.08.88)

APEL SOLIDARNOŚCI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ

Zwracamy się do wszystkich instytucji i ludzi dobrej woli w Polsce i Czechosłowacji o udział w akcji patronatu nad więźniami politycznymi. Naszym zdaniem solidarność między naszymi narodami należy budować na zrębach zwykłej ludzkiej solidarności, solidarności z tymi, którzy są w potrzebie, osamotnieni bądź represjonowani. Proponujemy, aby instytucje niezależne bądź osoby indywidualne objęły patronat nad jednym, konkretnym więźniem w kraju sąsiadów.

Fakt ten, dane kontaktowe, nazwisko wybranej osoby prosimy zgłaszać do naszych przedstawicieli. W zgłoszeniu prosimy o zaznaczenie danych podlegających publikacji.

Praga-Warszawa-Brno-Wrocław

13.04.1988

Adresy osób koordynujących akcje patronatu:

Radosław Gawlik — Wrocław, ul. Serowska 13/1, tel. 49-38-64;

Piotr Niemczyk — Warszawa, ul. Bruna 18/1

Petr Uhl — Praha, ul. Anglicka 8, tel. 26-19-573

Petr Pospichal — Brno, ul. Arbesova 6, 63 800

PWA, nr.24, 15.06.88)

Kraj w prasie zachodniej



Z ORBISEM PO AZYL?

Jak doniósł w dn. 5.07. rzecznik austriackiego MSW, trzy autobusy wycieczkowe z Polski w dn. 2. i 3.07. po przekroczeniu granicy austriackiej skierowały się bezpośrednio do obozu dla uchodźców pod Wiedniem, gdzie wszyscy turyści (181 osób) wraz z załogą poprosili o azyl polityczny. Jak skomentował to minister spraw wewnętrznych Austrii Blecha, zniesienie obowiązku wizowego między Austrią i Polską na początku br. doprowadziło do drastycznego powiększenia się liczby uchodźców z Polski. I tak w pierwszych 4 miesiącach br. na ok. 4,4 tys. podań o azyl w samym Wiedniu 1798 wniosków złożyli Polacy. Minister Blecha zauważył również, iż ok. 90% uchodźców z Polski to typowi „azyłanci gospodarczy”, którym jak wiadomo, nie przysługuje status uchodźcy.

Podając tę informację *Tagespiegel* (6.07.) przypomina, iż w maju Austriacy w stosunku do Polaków i Węgrów wprowadzili tryb przyspieszonego postępowania azylowego.

PLL „LOT”
Z IL-ÓW NA BOENINGI-767

W dn. 7.07. rząd amerykański udzielił pozwolenia firmie Boeing na sprzedaż nowoczesnych samolotów pasażerskich dalekiego zasięgu do Polski i Rumunii. Elektroniczne urządzenia pokładowe będą zaplom-

także, a może przede wszystkim, kierownictwo NSZZ „Solidarność” nastawione na działalność związkową i o odpowiednim autorytecie wśród ludzi pracy”.

Podobnych wypowiedzi pojawia się ostatnio coraz więcej. Świadczą one o poważnym kryzysie w ruchu opozycyjnym i solidarnościowym, wyrażającym się między innymi tym, że nie potrafi on oddzielić od siebie dwóch różnych płaszczyzn — związkowej i politycznej. Sygnały o wychodzeniu z tego kryzysu są wciąż jeszcze niezbyt liczne — wybory regionalne przeprowadzone ostatnio na Śląsku i w Małopolsce wskazują na możliwy kierunek rozwoju. W podobnym kierunku zmierza, jak się wydaje, działalność grupy, której jednym z poważniejszych przedstawicieli jest Zbigniew Romaszewski, przewodniczący Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”. Przewagę mają jednak nadal działacze próbujący konsekwentnie utrzymać przede wszystkim polityczny charakter Związku, co powoduje coraz większe zmniejszenie jego popularności u ludzi, którzy „polityką” czują się zmęczeni.

Przebudowa struktur „Solidarności” rozpoczęta po ostatniej fali strajków jest procesem długotrwałym i napotykałym na silne opory. W wymienionych wyżej regionach proces ten rozpoczęty został od dołu. Podobny postulat wysuwa w cytowanym liście do „PWA” Stanisław Góra wskazując, że w RKW „Mazowsze” powinni się znaleźć przede wszystkim działacze reprezentujący wielkie zakłady pracy. Jednocześnie coraz wyraźniejsze są zadania skoncentrowania działalności politycznej w ruchach o takim właśnie, politycznym charakterze. I choć można spokojnie uznać za naiwną mrzonkę marzenie Kardasza o utworzeniu klubu dyskusyjnego mającego z czasem przekształcić się w partię polityczną działającą oficjalnie, to przecież nie można odmówić pewnych racji takim grupom działania, jak choćby środowisko *Res Publici* skupione wokół Marcina Króla i budujące ważny ośrodek opiniotwórczy. Sens działania takich ośrodków — a jest ich przecież więcej, jak na przykład towarzystwo przyjaciół miesięcznika *Powściągliwość i Praca*, czy od dawna działające środowisko *Znaku* — określa ich zaplecze opozycyjne. I tu trzeba zwrócić uwagę, że część środowisk opozycyjnych unika wyraźnego sformułowania swego programu politycznego chroniąc się pod osłonę Związku. Jest to na dłuższą metę działalność samobójcza i dla tych środowisk i dla samej „Solidarności”. Manewry władz bowiem prowadzą do powolnego rozkruszania opozycji solidarnościowej, a tym samym osłabiają siłę przebiecia Związku.

Problem zresztą nie jest nowy. Pojawił się i był dyskutowany od chwili wprowadzenia stanu wojennego. Po pewnym czasie przycichł, lecz ostatnie wydarzenia znów postawiły go z całą wyrazistością. Jest tym bardziej dramatyczny, że władzy powoli udaje się uwikłanie coraz większej ilości osób w struktury od niej całkowicie zależne stwarzając pozory, iż mają one realny wpływ na przekształcanie systemu politycznego w Polsce. Jest to marnowanie wielkiej energii społecznej, którą zdołano zgromadzić w początkach lat osiemdziesiątych. Oczywiście jest bowiem fakt, że wykruszeni z opozycji działacze po pewnym czasie zostaną w oficjalnych strukturach zneutralizowani — tak było w okresie powojennym, tak też działo się po roku 1956: w momencie umacniania struktur władzy

komunistycznej i odzyskiwania przez nie kontroli nad społeczeństwem następowała zawsze eliminacja pozyskanych uprzednio działaczy niezależnych. Nie ma powodu, by sądzić, że tym razem proces ten będzie przebiegał inaczej.

Nie oznacza to jednak, że nie powinno się brać udziału w podobnych manewrach komunistów — pod warunkiem wszakże, że się nie zapomina o zagrażających tu niebezpieczeństwach. Zasada „brania, co dają” wydaje się zasadą rozsądną. Ale trzeba jednocześnie pamiętać, że wchodząc w oficjalne struktury nie osłabia się władzy, lecz ją umacnia, zwiększa też jej pole manewru i wiarygodność. Z punktu widzenia polityki niepodległościowej można więc udział w podobnych imprezach jak wybory traktować wyłącznie jako manewr taktyczny, a nie jako cel sam w sobie. Tylko pod tym warunkiem podobne postępowanie ma sens polityczny. By jednak ten sens stał się jasno widoczny, konieczne jest realne współdziałanie między tymi działaczami, którzy zdecydowali się na przenikanie do struktur oficjalnych, a tymi, którzy pozostają poza nimi. Trzeba wypracować system koordynacji podobnych działań, a do tego, niestety, ciągle jeszcze daleko. ■

bowane, a przeglądy techniczne i ewentualne naprawy mają być przeprowadzane wyłącznie w krajach zachodnich. Na początek Polacy jak i Rumuni otrzymają po 3 samoloty tego typu. (*Tagesspiegel*, 8.07.)

GORĄCZKA ŻŁOTA W ŚRODZIE ŚLĄSKIEJ

Tagesspiegel (10.07.) podał do wiadomości, iż w Środzie Śląskiej robotnicy budowlani odkryli skarb pochodzący z XIII lub XIV w. składający się z ok. tysiąca srebrnych i złotych monet, jak i kamieni szlachetnych. Wartość wszystkich znalezionych przedmiotów ocenia się na ok. 12 mln DM, co polskie środki masowego przekazu nazwały skarbem stulecia.

Wiadomość o znalezisku rozeszła się błyskawicznie i na placu budowy pojawiło się wielu poszukiwaczy złota. To z kolei pociągnęło za sobą masowe rewizje na ulicach i w prywatnych mieszkaniach. Jedna osoba została aresztowana a cztery dalsze muszą się liczyć z procesem sądowym. By rozwiać wszelkie wątpliwości, zachodniobерliński dziennik wyjaśnił swym czytelnikom, iż w PRL wszystko jest własnością państwa.

GORBACZOW W POLSCE

Wizyta Gorbaczowa w Polsce w dn. 12-17.07. była komentowana w prasie zachodniemieckiej w dość specyficzny sposób. Przed i w trakcie trwania odwiedzin z Moskwy dziennikarze niemieccy nasłuchiwali hasła „Katyń”, które jednak nie padło.

Wiele uwagi poświęcono kolejnej propozycji rozbrojeniowej Gorbaczowa, odrzuconej zresztą przez Amerykanów, którą zgłosił w przemówieniu do Sejmu w pierwszym dniu wizyty. Wizyta sowieckiego szefa w Szczecinie, wg zgodnej opinii tutejszych komentatorów, wskazuje, iż jest on za utrzymaniem dotychczasowych granic w Europie. Nie trzeba chyba dodawać, iż zdaniem zachodniemieckich obserwatorów wizyta, uśmiech Gorbiego zaskarbił mu



dozgonną sympatię w sercach Polaków.

Włos się jeży! — redaktor.

JAN STRZELECKI NIE ŻYJE

W dn. 11.07., jak donosi *Tagespiegel* (13.07.), Jan Strzelecki — polski socjolog, doradca „Solidarności” — zmarł w szpitalu wskutek ran odniesionych w zagadkowym napadzie, którego ofiarą padł w dn. 30.06., kiedy to znaleziono go nieprzytomnego na brzegu Wisły w Warszawie. Milicja podejrzewa, iż sprawca lub sprawcy wyciągnęli swą ofiarę z samochodu, pobili a następnie pozostawili na brzegu Wisły. 60-letni naukowiec zmarł w szpitalu nie odzyskując przytomności.

W dn. 31.07. agencja PAP podała do wiadomości, iż Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wyznaczyło 5 mln zł nagrody za informacje prowadzące do ujęcia sprawców zbrodni. *Frankfurter Rundschau* (1.08.) podając tę informację dodaje, iż już 6.07. warszawscy przyjaciele i koledzy Strzeleckiego zgromadzili na podobny cel milion zł.

ZATRZYMANIE POLSKIEGO STATKU

W dn. 23 lipca władze Wenezueli zarekwirowały znajdujący się na wodach terytorialnych tego kraju polski statek „Kuźnica”, transportujący sowiecką broń dla Peru. Jak wyjaśnił prezydent Wenezueli Luisinchi, prawodawstwo jego kraju zabrania przewozu broni na wodach terytorialnych i w związku z tym statek wraz z ładunkiem uległ konfiskacji. Załogę zwolniono.

(*Tagesspiegel*, 26.07.)

REFERAT CHRUSZCZOWA W „POLITYCE”

Do dziś nieopublikowany w Sowietach tekst referatu Chruszczowa, potępiający politykę i praktyki Stalina, wygłoszony na XX zjeździe partii w dn. 25.02.1956 r. wydrukowany został w warszawskim tygodniku. Jak przypomina podający tę informację dziennik *FAZ* (28.07.),

treść przemówienia Chruszczowa jest w Polsce znana od dawna, ponieważ 21.03.1956 r. polskie przywództwo rozesało tłumaczenie referatu funkcjonariuszom partyjnym w poszczególnych szczeblach. W ten sposób, poprzez Warszawę, tekst dostał się na Zachód i polskie tłumaczenie jest do dziś jedyną oficjalną wersją referatu.

ZASTĘPCZA SŁUŻBA WOJSKOWA

W dn. 12.07. uchwałą Sejmu w Polsce osoby odmawiające czynnej służby wojskowej będą miały prawo do złożenia podania o odbycie służby zastępczej. Rozpatrywane one będą przez specjalną komisję. W uzasadnionych przypadkach odmawiający regularnej służby wojskowej jak i pobierania nauk w Szkole Oficerów Rezerwy pracując w wskazanych instytucjach państwowych odpowiednio 3 i 2 lata.

(*Die Welt*, 14.07.)

O POLAKACH W „NEUE PRESSE”

Hanowerski dziennik opublikował 29.07. wywiad z byłym zachodniobierlińskim senatorem d/s wewnętrznych, obecnie posłem do Bundestagu z ramienia CDU Heinrichem Lummerem, w którym polityk ten żądał odmówienia prawa pobytu na terenie RFN przesiedleńcom nie mogącym w bezsporny sposób udokumentować swego niemieckiego pochodzenia. Ma to szczególnie dotyczyć przesiedleńców z Polski. Wg Lummera wielu przesiedleńców z Polski może jedynie udowodnić, iż „kiedyś posiadali w rodzinie owczarka niemieckiego”.

(*Tagesspiegel*, 31.07.)

DEMONSTRACJA W ROCZNICĘ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Jak donosi zachodniobierliński *Tagesspiegel* (2.08.), w 44 rocznicę powstania warszawskiego wielu uczestników demonstracji zorganizowanej przez KPN w Warszawie zostało pobitych przez milicję. Dozszło do licznych zatrzymań. Na jed-

nym z transparentów korespondent dziennika odczytał hasło: „Nigdy nie ugniemy się przed Moskwą”.

Wiele nie podanych z nazwy polskich gazet przedrukowało wywiad z historykiem Eugeniuszem Duraczyńskim, w którym domaga się on wyjaśnienia prawdziwych powodów zatrzymania sowieckiej ofensywy na Wiśle w czasie wybuchu powstania.

Natomiast *Süddeutsche Zeitung* (3.08.) donosi o obchodach rocznicy powstania na cmentarzu powązkowskim w Warszawie, gdzie zebrały się dziesiątki tysięcy ludzi. Przy tej okazji uczczono również pamięć ofiar mordu w Katyniu.

ODWIESZENIE PEN-CLUBU

Zawieszona od 1983 r. w PRL sekcja międzynarodowej organizacji pisarzy PEN-Club zgodnie z oświadczeniem ministra kultury prof. Krawczuka, będzie mogła wznówić działalność. Do walnego zgromadzenia członków PEN-Clubu dojdzie przypuszczalnie w końcu września. Jednakowoż reżim Jaruzelskiego jest zdania, iż zarząd wybrany na ostatnim walnym zgromadzeniu polskiej sekcji z 1980 r. winien najpierw ustąpić. Zasugerowano też skład tymczasowego zarządu komisarycznego, co jednak spotkało się ze sprzeciwem polskich jak i zagranicznych członków organizacji.

(*Tagesspiegel*, 3.08.)

PRYMAS POLSKI ODWIEDZI KATYŃ

Agencja Reutera powołując się na dobre poinformowane kręgi kościelne podała do wiadomości w dn. 4.08., iż kardynał Glemp w czasie swojej wizyty na Białorusi w wrześniu br. odwiedzi również groby polskich oficerów zamordowanych w Katyniu.

Jak przypomina podający tę informację *Tagesspiegel* (5.08.), kardynał Glemp w czerwcu br. jako pierwszy polski prymas odwiedził ZSRS i podczas wizyty zaapelował o wyjaśnienie przyczyn i szeregów katyńskiej tragedii.

W połowie lipca grupa polskich kapelanów wojskowych po raz pierwszy odprawiła mszę św. na katyńskich grobach. Uroczystość uświetniła swą obecnością sowiecka warta honorowa.

NIESPODZIEWANY KONIEC SEZONU OGÓRKOWEGO

W zachodnoniemieckiej prasie codziennej coraz częściej znaleźć można notatki o zatrzymaniu Polaków parających się nielegalną pracą. Poniższa pochodzi z *Süddeutsche Zeitung* (5.08.):

Kitzingen (dpa) — „W zakrojonej na szeroką skalę akcji policji i prokuratury w Albertshofen przyłapano na nielegalnej pracy 26 obcokrajowców, w tym 25 Polaków (7 kobiet), którzy wkrótce będą musieli opuścić terytorium RFN. Polacy zatrudnieni zostali przy zbiorze ogórków i posiadali w paszportach 3-miesięczną wizę zachodnoniemiecką z kategorycznym zakazem podejmowania pracy.

50-letni ogrodnik zatrudniał polskich robotników za głodowe stawki oddając do dyspozycji pomieszczenia mieszkalne, których stan uwłaczał ludzkiej godności. Część zatrudnionych Polaków przybyła do RFN na zaproszenie pracodawcy, część zaś znalazła zatrudnienie przy zbiorze ogórków za pośrednictwem organizacji, pobierającej za swe usługi 50 marek od osoby.”

ŚLAWOMIR DUTKIEWICZ NA WOLNOŚCI

W dn. 5.08. prokuratura wojskowa zaleciła natychmiastowe zwolnienie ostatniego z więzionych członków organizacji „Wolność i Pokój” — 21-letniego Sławomira Dutkiewicza, aresztowanego w listopadzie 1987 r. i skazanego na 27 miesięcy więzienia za odmowę służby wojskowej.

Rzecznik MON poinformował, iż w chwili obecnej za odmowę służby wojskowej odsiaduje jeszcze karę około 500 świadków Jehowy. (*Tagesspiegel*, 10.08.)

Kraj w prasie PRL



POLSKA REZERWUJEMY SIŁY ROBOCZEJ

Edmund Osmańczyk tak wypowiedział się na łamach *Tygodnika Powszechnego* (nr 28/88): „Realia są takie: Niemcy Zachodnie, po 40 latach odbudowy swej gospodarki, są dziś partnerami USA i ZSRR; NRD jest partnerem ZSRR; my nie jesteśmy już niczym partnerem, ani NRD, ani Czechosłowacji, ani ZSRR. Mówmy otwarcie: spadliśmy do roli rezerwu siły roboczej coraz selektywniej dobieranej przez naszych potencjalnych partnerów. Sytuacja ekonomiczno-społeczna zdaje się podobna do tej, jaką Polacy mieli 70 lat temu! (w Rosji też rewolucja... — red.). Z tą różnicą na gorsze, że wtedy byliśmy bezsilnymi peryferiami trzech zaborczych imperiów, a dziś reprezentujemy państwo, które budując nowy ustroj nie dotrzymało tempa swym zachodnim sąsiadom.

WIZJA JÓZEFA CZYRKA

Z członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC PZPR, Józefem Czyrkiem, wiceprzewodniczącym PRON, przeprowadził rozmowę reporter *Trybuny Ludu*, opublikowaną w dn. 17.07.

Zapytany o wizję Polski lat najbliższych Czyrek odpowiada: „My taką wizję mamy. Być może jeszcze nie upowszechniliśmy jej szeroko, tak jak na to zasługujemy... To stworzenie humanistycznego i de-

mokratycznego modelu socjalizmu. Dlatego humanistycznego, że w centrum naszych wszystkich działań jest człowiek w całym jego wewnętrznym bogactwie jako wartość nadrzędna. Dlatego demokratycznego, że odrzucającego zdecydowanie centralistyczno-nakazowy system zarządzania. Za istotę ludowładztwa uznaliśmy szeroko pojętą samorządność i dla tej samorządności stwarzamy coraz szersze gwarancje prawne”.

Z dalszego ciągu wypowiedzi dowiadujemy się, iż „nie zawsze chcemy pamiętać, że zmieniamy się jako społeczeństwo, stajemy się bardziej dojrzały, powiedziałbym bardziej obywatelscy. Jest to niewzrostowany dorobek ostatnich lat”.

W CZORSZTYNIE COŚ ZA COŚ

Jak wynika z informacji podanej przez *Politykę* (16.07.), władze gminy malowniczego Czorsztyna nadzwyczaj chętnie przydzielają wszystkim zainteresowanym działki nad zalewem, którego jeszcze nie ma, w zamian za obietnicę wybudowania w czynnie społecznym szkoły i przedszkola.

OPISAŁOŚĆ POCZTY PRL

Z *Trybuny Ludu* (29.08.) dowiadujemy się, iż do Przewodniczącego Rady Państwa Wojciecha Jaruzelskiego depeze gratulacyjne z okazji święta Odrodzenia (22 lipca) od prezydenta Federacyjnej Republiki Nigerii — gen. Ibrahima Badamasi Babangidy oraz prezydenta Jemeńskiej Republiki Arabskiej — płk. Ali Abdullaha Saleha nadeszły 28 lipca. A może szły pocztą polową?

CENNIK ROBOCZOGODZIN W PRL

...opracował Marek Popielechata na potrzeby *Polityki* (30.07). Dowiadujemy się, iż godzina pracy dydaktycznej tzw. ponadwymiarowej profesora zwyczajnego na uczelni kosztuje 230 zł. Mechanik samochodowy za pracę w prywatnym warsz-

tacie liczy sobie 800 zł, zaś lekarz na ostrym dyżurze (II stopień specjalizacji) otrzymuje aż 105 zł.

Za godzinę pracy studentka opiekująca się wieczorem cudzym dzieckiem żąda 300 zł. Godzinna praca murarza na budowie prywatnej kosztuje 1200 zł, plus wikt; pomocnika murarza — 600 zł, człowieka znoszącego węgiel do piwnicy — 1500 zł, masażysty — 1500 zł, „panienki” — 10.000 zł, nurka na głębokości 60 metrów — 6000 zł.

GORBONALIA

W czasie wizyty Michaiła Gorbaczowa w Polsce (12-17.07):

Raisa Gorbaczowa, wraz z listem od małżonka, przekazała społeczeństwu Górnego Śląska w dn.

15.07. aparaturę umożliwiającą odbiór sowieckiego programu telewizyjnego.

W Poroninie spontaniczny głos z tłumu zapewnił sekretarza generalnego: „Będziemy umacniać nasze wzajemne stosunki i będziemy wspólnie dążyć do pokoju na całym świecie!”, na co Gorbaczow odparł: „Chcemy ręką w rękę kroczyć z Wami drogą pierestrojki-odnowy, bo to jest jedna droga!”.

Janusz Przymanowski, zapewne widząc ostatnią szansę dla pozyskania czytelników, zaproponował Gorbaczowowi: „Urządźmy na wiosnę przyszłego roku targi książki (...). Ażeby sprawdzić jak się to robi, jako stary żołnierz, proponuję zwiad bo-

jowy. Pozwólcie mi na początku listopada zabrać do paru ciężarówek 30-50 tys. moich książek. zawiozę je do Grodna i Wilna i posprzedaję”.

Prezes Związku Literatów Polskich, Wojciech Żukrowski, znalazł winny niewydawania przez lata pewnych dzieł literatury rosyjskiej i zapytał Gorbaczowa: „Czy »Mistrz i Małgorzata« mogła zaszkodzić socjalizmowi? Czy wielka epicka powieść Pasternaka »Doktor Żywago« — także? (...)”

Wydawcom trzeba obciążyć uszy i wymienić zajęte serca, gdyż oni zawsze są skłonni do drukowania takich książek, które są podobne do już przez nich wydawanych. Bo są to książki »bezpieczne“.

(Trybuna Ludu, 12.-16-07.) ■

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

ZNÓW TRAGEDIA W ZATOCE PERSKIEJ

W dn. 3.07. rano, amerykański krążownik „Vincennes” omyłkowo zestrzelił pasażerski samolot irańskich linii lotniczych z 290 pasażerami na pokładzie. Wszystkie osoby poniosły śmierć.

Scenariusz tragicznych wydarzeń, odtworzony na podstawie amerykańskich i irańskich informacji, wyglądał następująco:

O godz. 8.10 irańskie łodzie bojowe ostrzelały helikopter krążownika „Vincennes”. W pół godziny później z pokładu krążownika dostreżono zbliżające się łodzie irańskie. Krążownik, jak i znajdująca się w pobliżu amerykańska fregata „Elmer Montgomery”, otworzyli ogień, w wyniku czego dwie łodzie zatopiono, jedna uległa poważnym uszkodzeniom. Pięć minut później (8.47) system wczesnego ostrzegania amerykańskiego krążownika zasygnalizował szybko zbliżający się samolot nad terytorium Iranu. Próby nawiązania łączności nie dały rezultatów. Był to irański „autobus powietrzny” z 290 pasażerami na pokładzie. O godz. 8.54, gdy samolot znajdował

się w odległości 14 km od krążownika, został zestrzelony.

Bezpośrednio po tragedii ścigacze irańskie ostrzelały norweski supertankowiec wywołując na nim pożar. Jak przypomina *Tagesspiegel* (5.07), nie jest to pierwsza tragedia tego typu. W 1954 r. Chińczycy zestrzelili samolot cywilny brytyjskich linii lotniczych, w wyniku czego śmierć poniosło 10 osób. W 1970 nad terytorium Bułgarii zestrzelono samolot izraelskich linii lotniczych — zginęło 56 osób. W 1973 r. obrona powietrzna Izraela zestrzeliła nad swoim terytorium cywilny samolot libijski — 108 zabitych. Wreszcie w 1983 r. Sowieci zestrzeliłi nad Sachalinem południowokoreański samolot pasażerski z 259 osobami na pokładzie.

O PRZYCZYNACH KATASTROFY

W dn. 3.08. amerykańska sieć telewizyjna ABC podała do wiadomości fragmenty nieujawnionego jeszcze sprawozdania amerykańskiej komisji, badającej przyczyny zestrzelenia samolotu irańskiego. Eksperci stwierdzili jednoznacznie, iż

winę za tragedię ponoszą ludzie, nie zaś komputery, bowiem najnowsze urządzenia radarowe i elektroniczne na pokładzie amerykańskiego krążownika „Vincennes” pozwalały zorientować się, iż irański samolot poruszał się wolno, a przede wszystkim był w trakcie lotu wznoszącego, czego nie czyniłby jakikolwiek atakujący samolot wojskowy.

ZAMACH NA GRECKI STATEK PASAŻERSKI

W dn. 11.07. wieczorem grecki statek pasażerski „City of Poros” stał się obiektem brutalnego zamachu terrorystycznego. Sprawcy — przypuszczalnie dwóch mężczyzn i jedna kobieta — otworzyli niespodziewanie ogień z broni maszynowej i rzucili granaty na pokładzie statku, by zbiec w zamieszaniu łodzią motorową. W wyniku zamachu zginęło 11 osób a 98 odniosło rany.

Statek znajdował się w drodze z wyspy Egina do Pireusu (*Tagesspiegel*, 13.07).

W dn. 26.07. policja grecka podała do wiadomości, iż znalezione na pokładzie statku pistolety maszynowe zamachowców, jak stwierdzono

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

na podstawie numerów, zostały wyprodukowane we Włoszech a następnie sprzedane Libii.

(*Tagesspiegel*, 27.07.)

ESTOŃCZYCY POD WŁASNYM SZTANDAREM

Jak wynika z doniesień angielskiej mutacji sowieckiego tygodnika *Moskowskoje Nowosti*, prezydium Najwyższego Sowieckiego Estonii w dn. 25.06. specjalnym ukazem zezwoliło, by przy wszelkich uroczystościach oficjalnych w Estonii obok sowieckiej flagi powiewał niebiesko-czarno-biały sztandar Estonii z czasów niepodległości państwa w latach 1918-40. Jak donosi sowiecki tygodnik, „jest to najnowsze, niebagatelne osiągnięcie Estończyków w dążeniu do uzyskania większej autonomii”.

(*Tagesspiegel*, 7.07.)

MAFIA W SOWIETACH

Tagesspiegel (22.07.) cytuje fragmenty wywiadu, jakiego udzielił *Literaturnoj Gazietie* sowiecki ekspert policyjny Gurow. Oto już w połowie lat 70-tych miało dochodzić do „kongresów”, w których udział brali z jednej strony gangsterzy, z drugiej zaś królowie czarnego rynku, a chodziło o ustalenie wysokości okupu. Obecnie, w związku z liberalizacją polityki gospodarczej ZSRS i dopuszczenia sektora prywatnego, przestępcy tam właśnie lokują owoce swojej pracy.

Wg oceny Gurowa ok. 1/4 majątku sektora prywatnego w Sowietach to inwestycje mafii. Z drugiej zaś strony aż 80% przedsiębiorstw prywatnych musi opłacać się sowieckiej „Cosa nostra”. Aż 1/3 swych „dochodów” mafia wydaje na łapówki. I tak przekupienie oficera policji ma kosztować od 300 tys. do miliona rubli, mord na zamówienie od 30 do 100 tys. Ekspert policji skarżył się, iż zwalczanie mafii napotyka na wielkie trudności, ze względu na to, iż jest ona... lepiej wyposażona i lepiej płaci.

NA KUBIE KOREKTA ZAMIAST PIERIESTROJKI

W dn. 27.07. w Santiago, podczas „dnia rewolucji”, w rocznicę nieudanego zamachu Castro na koszarę w Montada z 1953 r., przywódca kubański wygłosił 3-godzinne przemówienie oświadczając m.in., iż „byłoby stanowczym błędem, gdybyśmy mechanicznie kopiowali rozwiązania stosowane w innych krajach, ponieważ każdy kraj ma swoje własne problemy i własną specyfikę”. Na przykład Kuby „niepotrzebne są igraszki z wzorcami kapitalistycznymi, natomiast niezbędna jest jedna partia – komunistyczna”. Nie musi też Kuba wzorować się na ZSRS, ponieważ nie jest wyspą na Morzu Czarnym i 150 km dzieli ją od Miami, nie zaś od Odessy.

Castro wezwał rodaków do „kontynuacji, pogłębienia i rozszerzenia wprowadzonej przed trzema laty polityki reform pod nazwą »korekta«, polegającej na podniesieniu intensywności i wydajności pracy. Przywódca kubański postawił słuchaczom za przykład Japończyków, „którzy właśnie wyteżoną pracą, posiadając przeciętnie tylko 6 dni urlopu w roku, zbudowali jedno z największych mocarstw gospodarczych świata”.

(*Die Welt*, 30.07.)

AMERYKANIE – DO SZKOŁY!

Die Welt (29.07.) przytacza rezultaty sondażu Instytutu Gallupa w 9 stanach USA wśród 10.820 respondentów, mającego wykazać stopień ich orientacji w geografii.

I tak 75% pytanym nie potrafiło wskazać na mapie Zatoki Perskiej; 45% nie wiedziało, gdzie leży Ameryka Środkowa; połowa na pytanie, gdzie toczy się walka między „contras” i sandinistami, wskazywała na Iran i Afganistan; 48% nie umiało odnaleźć na mapie Wlk. Brytanii, Japonii, Francji, Afryki Płd.; połowa pytanym nie potrafiła wymienić ani jednego kraju należącego do Układu Warszawskiego, a 32% nie potrafiło

wymienić ani jednego państwa-członka NATO; natomiast 16% ankietowanych twierdziło, iż do NATO należy Związek Sowiecki, a 10% umieściło własny kraj w Układzie Warszawskim. W tej sytuacji prezydent amerykańskiego Stowarzyszenia Geograficznego w dn. 28.07. przeznaczył 20 mln dolarów na walkę z amerykańskim analfabetyzmem geopolitycznym.

Zapewne nie ma w tej sytuacji nic dziwnego, skoro 70% respondentów było zdania, iż w dzisiejszym świecie znajomość geografii nie jest do niczego potrzebna.

IZRAELSCY DYPLOMACI W MOSKWIE

Od 29.07. w Moskwie przez przynajmniej dwa miesiące, po raz pierwszy od 20 lat, działacze będący dyplomacjami izraelskimi. Mimo iż rzecznik MSZ ZSRS stwierdził, że wizyta ta posiada czysto techniczny charakter i poświęcona jest inspekcji nie zamieszkałemu od 1967 r. budynku ambasady Izraela, obserwatorzy zachodni są zdania, iż Moskwa dyskretnie (ze względu na swych arabskich przyjaciół) pragnie otworzyć przedstawicielstwo dyplomatyczne Izraela w Moskwie. Podający tę wiadomość *FAZ* (30.07.) przypomina, iż od ponad roku sowieckie przedstawicielstwo działa w Jereozolimie.

UDANA UCIECZKA DWÓCH RUMUNEK

Dwie Rumunki, matka z córką, w dn. 25.07. ukryły się w ciężarówce transportującej pomidory z Rumunii do Austrii, by 29.07. wyłudować w okolicach Linzu. Nie posiadające się ze szczęścia uciekinierki narzekały jedynie na jednostajność pożywienia. (*Tagesspiegel*, 30.07.)

DOZBROJENIE MOSKIEWSKIEJ POLICJI

Jak wynika z wywiadu udzielonego agencji TASS w dn. 29.07.

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

przez szefa policji Moskwy, gen. Bogdanowa, oddziały policji zmotoryzowanej będą obecnie uzbrojone w gumowe pałki, hełmy i tarcze plastikowe. W ostatnim czasie przybrały bowiem na sile walki pomiędzy bandami przestępczymi, poza tym w I półroczu br. w Moskwie odbyło się 246 spotkań i demonstracji bez zezwolenia odpowiednich władz (last but not least? — red.).

(*Tagesspiegel*, 31.07.)

JAK WYOPCZYWAJĄ DZIECI W NRD

Ukazujący się w Karl-Marx-Stadt dziennik partyni *Freie Presse* w końcu lipca zamieścił reportaż z 10-dniowego obozu „młodzieży gotowej do obrony” w Zwickau. Jak donosi reporter, jest to jeden z wielu obozów tego typu, organizowanych na terenie NRD poprzez towarzystwo... „Miłośników Sportu i Techniki”. Kochająca sport i technikę młodzież poświęca wiele godzin dziennie szkoleniu wojskowemu i politycznemu, spotkaniom z przedstawicielami armii NRD jak i żołnierzami sowieckimi. Gwoździem programu jest tzw. „dzień gotowości bojowej”, gdzie wszyscy uczestnicy obozu, w tym także dziewczęta, biorą udział w manewrach mających charakter egzaminu.

Dziennikarz *Freie Presse* zauważył, iż młodzież właściwie wykorzystała swój czas, wykazując świetnie przygotowanie paramilitarne. W komentarzu czytamy: „Przewództwo komunistycznej organizacji FDJ kładzie szczególny nacisk na wyszkolenie obronne młodzieży NRD. A jest to szczególnie ważne, gdy weźmie się pod uwagę, z jaką intensywnością NATO rozbudowuje możliwości ofensywne swych sił bojowych. Poza tym doświadczenie historyczne i realistyczna ocena sytuacji międzynarodowej wymaga wzmoczonej czujności. Zresztą szkolenie paramilitarne jest immanentną częścią komunistycznego wychowania.” (*Tagesspiegel*, 31.07.)

ZSRS ODDAJE SIĘ W DZIERŻAWĘ!

Nie cały... Podczas plenum KC partii sowieckiej Gorbaczow w wielogodzinnym przemówieniu w dn. 29.07. stwierdził, iż rozwiązanie permanentnego kryzysu rolniczego widzi w umożliwieniu osobom prywatnym dzierżawienia od państwa ziemi uprawnej. Umowy mają opiewać na 50 lat. Ma to we właściwy sposób przywiązać chłopka do ziemi. Podobne możliwości mają zostać stworzone w przemyśle, jednakże dotyczyć będą jedynie zakładów przynoszących straty.

Poza tym wypowiedziano zdecydowaną wojnę kolejkom do sklepów, jak i ujęto w formalne i czasowe ramy „pierestrojkowe” reformy, wydiskutowane na XIX Wszechniżkowej Konferencji Partyni. (Patrz artykuł W. Grotowicza na str. ...)

(*Frankfurter Rundschau*, 1.08.)

KTO SIĘ NABAWI KATARU?

W dn. 24.07. rząd Stanów Zjednoczonych w związku z informacją, iż państwo Katar nad zatoką Perską weszło w posiadanie nowoczesnych rakiet Stinger (prawdopodobnie z Afganistanu) zażądał ich zwrotu pod groźbą nacisków dyplomatycznych i ekonomicznych. Rakiety jednak zwrócone nie zostały, a 1.08. agencja Reutera podała do wiadomości, iż Katar nawiązał stosunki dyplomatyczne z... ZSRS.

(*FAZ*, 2.08.)

SOWIECKA TV ZNÓW ŻŁE O STALINIE...

Potężny cios reputacji „ojca narodów” we własnym kraju zadała sowiecka telewizja w dn. 1.08. wieczorem. W filmie skomponowanym ze zdjęć dokumentalnych pokazano m.in. Stalina podpisującego z uśmiechem pakt z Hitlerem. Sekwencję opatrzone następującym komentarzem: „On wierzy w ten pakt i w samego siebie, wierzy, że Hitler go nie

oszuca”. Na końcu można było zobaczyć Stalina odbierającego defiladę zwycięstwa na Placu Czerwonym w Moskwie — komentarz: „Wojna skończyła się, ale Stalin ma nowego wroga — swój własny naród. Naród ten nie był już wystarczająco posłuszny i trzeba było go nauczyć posłuszeństwa od nowa. Więc Stalin przygotował mu tak huraganowy atak terroru, jakiego ten nie przeżył podczas wojny. W ten sposób podziękował mu za heroiczny wysiłek włożony w walkę o wolność ojczyzny”. (*Tagesspiegel*, 3.08.)

MATHIAS RUST ULASKAWIONY

Odbywający karę 4 lat więzienia za „chuligaństwo powietrzne” zachodniemiecki pilot sportowy Mathias Rust został ulaskawiony decyzją Najwyższego Sowietu i w dn. 3.08. powrócił do RFN.

Jak przypomina podający tę informację *Tagesspiegel* (4.08.), Mathias Rust w dn. 28.05. zeszłego roku po wystartowaniu z Finlandii, wyładował na Placu Czerwonym w Moskwie. Działo się to w dzień święta obrony lotniczej ZSRS i umknęło uwadze świętujących. W związku z tym na emeryturę udali się: minister obrony Sokołow i szef obrony przeciwlotniczej Kołodunow.

TASS komentując decyzję Najwyższego Sowietu stwierdził, iż Związek sowiecki po raz kolejny dał światu przykład humanitaryzmu.

CO NOWEGO W AFGANISTANIE

Według zgodnej opinii ekspertów zachodnich, wycofywanie wojsk sowieckich z Afganistanu przebiega zgodnie z planem, a przywódcy Mudżaheddinów zaapelowali do partyzantów, by nie atakowali wycofujących się konwojów sowieckich.

W dn. 3.08. w Moskwie sowiecki minister spraw zagranicznych Szewardnadze spotkał się ze swoim pakistańskim kolegą z urzędu Yaku-

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE

bem Khanem i stwierdził, iż Pakistan nie dotrzymuje postanowień układu geneńskiego i aktywnie wspiera Mudżaheddinów. Po raz pierwszy w historii tej wojny szef sowieckiej dyplomacji ujął się za ludnością cywilną ginącą w Kabulu. Jednakże chodziło mu jedynie o ofiary 200 ataków raketowych powstańców na Kabul w ostatnich dwóch miesiącach.

Natomiast w moskiewskim dzienniku wojskowym *Krasnaja Zwiezda* (2.08.) można znaleźć wypowiedź generała Ludina, z której wynika, iż Kabulu broni z zapalem garnizon złożony z afgańskich ochotników — żołnierzy, chłopów, kobiet i młodzieży.

Tymczasem w dn. 3.08. brat szefa państwa Nadżibullacha — Sid-dik Ullah — zbiegł do Pakistanu wraz z żoną i dwójkiem dzieci. (*Tagesspiegel*, 5.08.; *FAZ* 6.08.)

WĘGRY: ZASTĘPCZA SŁUŻBA WOJSKOWA

Węgierski dziennik partyjny *Nepszabadsag* zacytował słowa

członka KC Szombathelyi, z których wynika, iż odmawiający czynnej służby wojskowej będą mogli skorzystać ze służby zastępczej. Do tej pory odmowa służby wojskowej karana była na Węgrzech więzieniem do lat 5-ciu. Nie stosowano jej jednak wobec Świadków Jehowy i Adwentystów Dnia 7-go.

Z powodu odmowy służby wojskowej, jak poinformował buda-peszteński dziennik, w ostatnich 10-ciu latach aresztowano szacunkowo rocznie od 40 do 45 osób.

SABOTAŻ LIGACZOWA

Gorbaczow udał się na urlop, tymczasem drugi człowiek Kremla — Ligaczow — odwołał mu „pieriestroj-kę”. Tak w każdym razie można wnosić z przemówienia, jakie strażnik sowieckiej czystości ideologicznej wygłosił w dn. 7.08. do aktywu partyjnego miasta Gorkij. Obszerne fragmenty nadano w telewizji. Oto wyjątki:

„Kopiewanie modeli gospodarki rynkowej, jak np. prywatna własność, jest pryncypialnie niedo-

puszczalne w systemie socjalistycznym, którego podstawą jest własność społeczna. W przemyśle grozi to chronicznym bezrobociem.

Polepszenia sytuacji gospodarczej kraju należy przede wszystkim szukać we wzmocnieniu sprawiedliwości społecznej i stabilności politycznej.

»Pieriestrojka« nie oznacza mrzonek o systemie wielopartyjnym czy istnieniu politycznej opozycji. Zaś w ścisłym oddzieleniu funkcji partii i państwa chodzi przede wszystkim o to, by wzmocnić polityczny wpływ partii na system priorytetów w gospodarce i praktyce społecznej.

Socjalizm jest ustrojem dla ludu pracującego, gdzie strajkowanie jest idiotyzmem skierowanym przeciwko samemu sobie.

Stosunki międzynarodowe mają charakter klasowy.”

Godzi się wspomnieć, iż w czasie, gdy Ligaczow wygłaszał te słowa, szef sowieckiego MSZ — Szwernadze — bawił w Kabulu. (*FAZ*, 8.08.)

Pogląd

sprzedajemy także: **AUSTRIA** — Polnische Buchhandlung, Burggasse 22, 1070 Wien; Polnische Buchhandlung — „Dwójka”, Margaretenstr. 2-4, 1040 Wien; **FRANCJA** — Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, 75004 Paris; **RFN** — Stodieck's Buchhandlung, Richard-Wagner-Str. 39, 1000 Berlin 10; **ARKADY** Kunst und Buchhandlung, Alsterarkaden 10, 2000 Hamburg 36; Osteuropäische Buchhandlung **WAWEL**, Stephanstr. 11, 5000 Köln 1; Buchhandlung **DIALOG**, Gut-leutstr. 15, 6000 Frankfurt/M.; **USA** — POLONIA Books Store & Publ. 2886 Milwaukie Ave., Chicago Ill. 60618; Księgarnia „Nowego Dziennika”, 21 West Bloov Street, New York 10018; **WIELKA BRYTANIA** — Orbis Books London Ltd., 66 Kenway Road, Earst Court, London SW5.

AUKCJA SOTHEBY'S W MOSKWIE

W Moskwie odbyła się sprzedaż aukcyjna nowoczesnej sztuki sowieckiej, głównie obrazów, zorganizowana przez słynny dom aukcyjny w Londynie Sotheby's oraz sowieckie Ministerstwo Kultury.

Rzecz zrozumiała, sprzedaż odbywała się wyłącznie za dewizy. Kupujący pochodzili przede wszystkim z Europy Zach. i Ameryki, wśród nich piosenkarz Elton John. Najwyższą cenę — 930 tys. DM — uzyskał obraz zmarłego w 1956 r. Aleksandra Rodzeńki. Obraz pochodzi z 1920 r. i przedstawia na czarnym tle trzy białe linie. Natomiast zupełnie plajtę przeżył Ilya Głusunow, chyba najbardziej znany i najbogatszy malarz sowiecki, ceniony przez władze za nacjonalistyczne motywy w sztuce. Jego „Jwan Groźny” wyceniony dość wysoko, znalazł nabywcę — jednak poniżej wyceny. (*Tagesspiegel*, 9.07.)

CZY BRAK „MARTWYCH DUSZ”?

Tadeusz Nowakowski w tak zatytułowanym felietonie (*FAZ*, 4.07.) zajmuje się sytuacją polskich twórców żyjących na obczyźnie i odbiorem ich dzieł w Polsce. Dotychczas sprawy te załatwiały rozliczne wydawnictwa podziemne, które drukowały to wszystko, czego nie było w obiegu oficjalnym. Zdaniem Nowakowskiego najnowsza polityka kulturalna uległa znacznej liberalizacji i wiele pozycji autorów emigracyjnych zostało ujętych w najnowszych planach wydawniczych lub przynajmniej są one omawiane w prasie, nawet tak znani przeciwnicy reżimu jak Józef Łobodowski (Madryt), Stanisław Barańczak (Nowy Jork) czy Wacław Iwaniuk (Toronto).

Dotyczy to zresztą nie tylko literatury. Nagle pojawiły się nazwiska od dawna przemilczanych kompozytorów jak Roman Palestra (Paryż) czy Andrzej Panufnik (Londyn). Tygodnik *Odrodzenie* otwarcie żąda likwidacji ingerencji cenzury postulując publikację dzieł Zofii Romanowiczowej (Paryż), Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (Neapol) i Józef Czapkiego (Paryż). Na wydziałach polonistycznych wielu uniwersytetów przygotowuje się prace doktorskie na temat twórczości autorów emigracyjnych. Konkluzja Nowakowskiego: nie wiadomo jak długo potrwa ta odwilż. Dotychczas niektórzy twórcy emigracyjni mogli liczyć tylko na „pośmiertne ulaskawienie” w myśl słynnego sloganu jednego z zakładów pogrzebowych w Hollywood: „musisz tylko umrzeć, resztę pozostaw nam!”.

Z okazji 75-lecia urodzin Witolda Lutosławskiego dyrekcja festiwalu w Salzburgu (Salzburger Festspiele) zamówiła u niego koncert fortepianowy. Premierowym wykonaniem, które odbyło się na początku sierpnia, dyrygował osobiście kompozytor, partie solowe grał Krystian Zimerman, (*Süddeutsche Zeitung*, 5.08.).

„POWRÓT” BELI BARTOKA

Po 43 latach powrócił do Budapesztu prochy słynnego kompozytora węgierskiego Beli Bartoka. Władze węgierskie od dłuższego czasu prowadziły rokowania z rodziną kompozytora na temat sprowadzenia prochów do kraju.

Bela Bartok opuścił Węgry w 1940 r. i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmarł na białaczkę w 1945 r.

Władze planowały początkowo złożenie prochów na cmentarzu Mezö-Imre, gdzie spoczywają węgierscy bohaterowie narodowi i partyjni promineneci, jednak rodzina Bartoka stanowczo protestowała przeciwko tym planom i w końcu wybrano mały cmentarz Farkasrét na wzgórzach Budy, gdzie spoczywają jego matka, żona i siostra jak i drugi słynny węgierski kompozytor Zoltán Kodály.

Jak pisze *Süddeutsche Zeitung* (4.07.) w roku ucisku mniejszości węgierskiej w Rumunii sprowadzenie zwłok Bartoka nabiera symbolicznego charakteru. Dla wielu Węgrów jest on ucieleśnieniem starych Węgier, gdyż urodził się w Nagyszentmiklos — miasteczku, które leży obecnie w Rumunii. Jak jednak cierpko zauważa monarchijski dziennik, Bartok za życia nie cieszył się takim uznaniem. Już w 1913 r. po skomponowaniu „Tańców rumuńskich” zarzucano mu zdradę interesów narodowych. Pisał on wówczas: „Moją nacelną zasadą jest braterstwo wszystkich narodów, zbratanie się wszystkich mimo wojen i konfliktów. Moją muzyką służę tej idei!”.

Również w czasach stalinowskich muzyka Bartoka, zwłaszcza jego balet „Cudowny mandaryn” oraz kwartety smyczkowe, nie mogły być wykonywane publicznie. Dopiero po śmierci Stalina zaczęto o nim mówić jako o „wielkim synu Węgier”. Skąd my to znamy?

NOWY FILM MARTINA SCORSESE

Całą falę niesłychanie gwałtownych protestów w Stanach Zjednoczonych wywołał najnowszy film Martina Scorsese „Ostatnie kuszenie Chrystusa” (*The Last Temptation of Christ*). Scenariusz bazuje na powieści greckiego autora Nikosa Kazantzakisa (Grek Zorba), który też miał kłopoty. Kościół grecko-katolicki obłożył jego powieść klątwą, a jego o mały włos nie ekskomunikował.

Kością niezgodą jest jedna z ostatnich sekwencji filmu, przedstawiająca kuszenie Chrystusa na krzyżu przez szataną: rezygnacja z roli Mesjasza i posłobienie Marii Magdaleny.

Wytwórnia filmów Universal, chcąc złączyć protesty, zaprosiła najzagorzalszych krytyków jak i przedstawicieli różnych Kościołów chrześcijańskich na specjalne pokazy. Większość nie przyjęła jednak zaproszenia. Dzięki zmasowanemu naciskom konserwatywistów wiele kin zrezygnowało z zakupienia tego filmu.

Do dziś nie wiadomo też, czy film Scorsese zostanie pokazany w trakcie festiwalu filmowego w Wenecji (poza konkursem). Jeden z adwokatów mediolańskich zwrócił się do prokuratury weneckiej o zakaz wyświetlenia. Powód: bluźnierstwo, obsceniczność oraz zranienie uczuć religijnych. (*Tagesspiegel*, 13.08.).

ROZTROPOWICZ O GLASNOSTI

Pozbawiony obywatelstwa sowieckiego światowej sławy wiolonczelista rosyjski Mściśław Rostropowicz udzielając bońskiemu dziennikowi *Die Welt* (12.07.) wywiadu na temat głośności powiedział m.in.:

„Głośność egzystuje lecz nie dla mnie, gdyż nie mogę koncertować w Związku Sowieckim. Tam umarłem. Muszę jeszcze czekać — czekać aż nadejdzie prawdziwe »otwarcie«.”

Wie Pan dlaczego zrehabilitowano Andrieja Tarkowskiego i Borysa Pasternaka? Gdy ludzie ci nie mogą już niczego powiedzieć, niczego skomentować. Zmarli i teraz mówią się o nich: wielcy sowieccy artyści.”

NIEMCY PRACUJĄ CORAZ KRÓCEJ

Jak podano do wiadomości w Düsseldorfie, ponad 70% wszystkich zatrudnionych w zachodniemieckiej gospodarce (ok. 13 mln osób) pracuje poniżej 40 godzin w tygodniu, a przeciętna wynosi 39,1 godz. (*Frankfurter Rundschau*, 30.07.)

NOWA POLITYKA CELNA W NRD

Od dn. 29.07. obywatele NRD przebywający z wizytą w RFN i wywożący stąd prezenty, będą musieli na granicy uścić za nie cło w walucie zachodniej wynoszące 60% (!) wartości prezentu – co charakterystyczne, chodzi tu tylko o prezenty większej wartości, np. gramofon, aparat fotograficzny. (*Tagesspiegel*, 30.07.)

PÓLSKIE ZADŁUŻENIE ZMNIJSZA SIĘ!

Tagesspiegel (30.07.) powołując się na informacje podane przez pismo *Rzeczpospolita* zauważa, iż po raz pierwszy od wczesnych lat 70-tych zadłużenie PRL zmniejszyło się, jeśli porównać je ze stanem z roku poprzedniego. W końcu czerwca br. Polska winna była bankom zachodnim 38 mld dolarów (39,2 mld w grudniu 1987). Wynika to jednak w głównej mierze ze zwyżki kursu dolara, choć wartość polskiego eksportu wzrosła o 14,8% i bilans handlowy posiada solidne saldo dodatnie (662 mln dol.). Jednakże inflacja jeszcze pod koniec 1987 r. na poziomie 26,2% wzrosła w pierwszym półroczu br. do 49,4%.

SYTUACJA GOSPODARCZA AFGANISTANU

Powołując się na dane różnych organizacji, w tym ONZ, FAZ (1.08.) analizuje sytuację gospodarczą w Afganistanie stwierdzając, iż produkcja rolna od roku 1978, a więc przejścia władzy przez komunistów do 1986 r. spadła o ok. 65%. Wynika to m.in. ze zniszczenia 40% systemu nawadniającego, od którego zależne jest 2/3 produkcji rolnej. Jeśli chodzi o hodowlę – pogłowie bydła zmniejszyło się przeciętnie o 60%, natomiast zwierzęta pociągowe (konie, muły, osły) padły prawie całkowicie ofiarą działań wojennych. Zniszczono 2000 budynków szkolnych, 130 szpitali, jak i 70% sieci dróg.

Produkcja pszenicy spadła o 50%, obszar zasiewów zmniejszył się o 30%. Wzrosła jedynie produkcja maku, przetwarzanego na opium, później heroine, jak i tego gatunku włókna konopii, z którego produkuje się haszysz i marihuana. Inflacja osiągnęła poziom 50% w skali rocznej, a rząd przeznacza 60% budżetu na wydatki wojenne.

STANDARD ŻYCIA W RFN

Süddeutsche Zeitung (2.08.) opublikowała wyniki badań statystycznych instytutu „Globus”, który zbadał wyposażenie techniczne gospodarstw domowych rodzin zachodniemieckich dysponujących przeciętną zarobków miesięcznych.

W końcu ubiegłego roku na 100 takich gospodarstw: odkurzacz posiadało 99, pralkę automatyczną 98, aparat fotograficzny 98, samochód osobowy 95, telefon, 97, telewizor kolorowy 91, lodówkę 81, zamrażarkę 76, elektryczną maszynę do szycia 78, maszynę do pisania 75, aparaty stero-

foniczną 60, maszynę do mycia naczyń 47, wideo 32, komputer 18, przyczepę kempingową 4.

NAJWIĘKSZE OBROTY KONCERNÓW

Süddeutsche Zeitung (2.08.) podaje listę koncernów, które w roku ubiegłym obracały największym kapitałem wraz z różnicą w procentach w stosunku do roku 1986: General Motors – 183 mld DM (-1%); Royal Dutch/Shell 140,5 (+8%); EXXON – 157,4 (+9%); Ford – 128,8 (+14%); IBM – 97,5 (+6%).

Z firm zachodniemieckich najwyżej, bo na 10 miejscu, plasuje się Daimler-Benz – 67,5 (+3%), na 18 miejscu Volkswagen – 54,6 (+3%) i zaraz za nim Fiat – 52 (wzrost o 30%). Dopiero na 49 pozycji sklasyfikowano koncern Tajmensa – obrót 26,6 mld, zaś szwedzki koncern Volvo zajmuje 50-te miejsce z 26,2 mld obrotu.

BEZROBOCIE W RFN

Liczba bezrobotnych w RFN w lipcu br. w porównaniu do czerwca wzrosła o 68 tys. osób i wynosi obecnie 2,2 mln, a więc więcej o 23,5 tys. osób niż w analogicznym okresie roku ubiegłego.

W ten sposób bezrobocie obejmuje 8,6% Niemców w porównaniu z 8,4% w czerwcu. Jednocześnie wzrosła ilość zatrudnionych w RFN w stosunku do roku ubiegłego o 123 tys., zaś w porównaniu z rokiem 1983 o 800 tys. i wynosi obecnie 26 mln pracujących, przy czym 51,6% to mężczyźni.

Najwięcej bezrobotnych notuje się w Bremie – 15,1%, następnie w Hamburgu – 13,1%, Zagłębiu Saary – 12%, Dolnej Saksonii, Nadrenii-Westfalii – 11,1%, Berlinie Zachodnim – 11%. Natomiast najlepiej sytuacja przedstawia się w Badenii-Wirtembergii, gdzie bezrobocie sięga 5,2% oraz w Bawarii – 5,7%. (*Süddeutsche Zeitung*, 5.08.)



BANGKOK. W dn. 30.06. Wietnamczycy wycofali z Kambodży swój sztab generalny i po raz pierwszy podali do wiadomości straty własne w dotychczasowych walkach z partyzantką Czerwonych Kmerów, szacując je na ok. 55 tys. zabitych. (Tagesspiegel, 1.07.1988)

PEKIN. W dn. 29.06. w okręgu Fang-zan, 50 km na południe od Pekinu, doszło do starć z chłopami, protestującymi przeciwko zatruciu lokalnego zbiornika wodnego przez fabrykę chemiczną a chińskimi siłami bezpieczeństwa, w której ponad 70 tajniaków zostało rannych a 3 chłopów poniosło śmierć. (Neue Zürcher Zeitung, 1.07.1988)

MOSKWA. W dn. 4.07. prokurator generalny ZSRS Suchariow poinformował na konferencji prasowej, iż ogłoszono amnestię dla wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej, którzy zdezertowali z jej szeregów na terenie Afganistanu (oficjalnie zarejestrowanych ok. 200 takich przypadków). (FAZ, 5.07.1988)

WASZYNGTON. W dn. 7.07. rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu podał do wiadomości na konferencji prasowej w Waszyngtonie, iż od początku br. do ambasady USA w Moskwie zgłosiło się 9,5 tys. obywateli sowieckich, pragnących z powodów politycznych wyemigrować do Stanów Zjednoczonych; w 1987 było zaledwie 1800 takich przypadków. (Tagesspiegel, 10.07.1988)

MOSKWA. W dn. 9.07. agencja TASS podała do wiadomości, iż Nikołaj Bucharin, rozstrzelany wyrokiem sądu po procesie pokazowym w Moskwie przed ponad 50 laty, został zrehabilitowany i pośmiertnie ponownie przyjęty do partii. (Tagesspiegel, 10.07.1988)

BUDAPESZT. W dn. 13.07. po raz pierwszy w historii krajów socjalistycznych telewizja transmitowała bezpośrednio mecz węgierskiej KC. (Tagesspiegel, 14.07.1988)

MOSKWA. W dn. 14.07. w 10 dni po rozpoczęciu strajku generalnego w Erywanii, lokalny szef partii Lewon Saakjan został usunięty ze stanowiska i zastąpiony przez Michaiła Minasbekjana, by... przejść na stanowisko wiceszefa lokalnego Sowietu. (Tagesspiegel, 15.07.1988)

WIESBADEN. Jak podał tamtejszy Federalny Urząd Statystyczny, w I półroczu br. liczba obokrajowców na terenie RFN wzrosła o 2% i wynosi obecnie 4,717 mln osób, z czego: 1,511 mln Turków (32%), 603 tys. Jugosłowian (13%), 540 tys. Włochów (12%), 287 tys. Greków (6%), 178 tys. Austriaków (4%), 163 tys. Polaków (3%) oraz 145 tys. Hiszpanów. (Tagesspiegel, 15.07.1988)

MOSKWA. Jak wynika z doniesień „Prawdy” z dn. 2.07., wszystkich członków rodziny Breżniewa pozbawiono dodatków do renty i innych przywilejów, a podając tę informację w dn. 22.07. zachodniobermberski dziennik „Tagesspiegel” przypomina, iż szwagier Breżniewa, Jurij Czurbanow, stanie wkrótce przed sądem w związku z aferą łapówkarską, co spotkało już w styczniu br. byłego sekretarza Breżniewa, Browina, skazanego wówczas z tego samego powodu na 9 lat więzienia. (Tagesspiegel, 21.07.1988)

LA PAZ. W dn. 20.07. policja boliwijska zaresztowała skazanego w 1983 r. zaocznie na 12 lat więzienia „króla kokainy” – Suareza Gomeza, który wówczas zaproponował rządowi Boliwii w zamian za uniewinnienie całkowitą spłatę długów państwowych, wynoszących w tym czasie 3 mld dolarów. (Frankfurter Rundschau, 24.07.1988)

BUDAPESZT. Do dn. 26.07. na Węgrzech rozpatrzone pozytywnie 6,5 tys. podań o prawo pobytu złożonych przez uchodźców z Rumunii, a przeciętnie w Budapeszcie w tej sprawie codziennie pojawia się ok. 400 rumuńskich peten-

tów. (Tagesspiegel, 27.07.1988)

PEKIN. W dn. 27.07. pekiński „Dziennik Ludowy” podał do wiadomości, iż w Chinach dziennie umiera na gruźlicę 900 osób, natomiast liczbę chorych w całym państwie szacuje się na 5,7 mln osób, a więc 55 razy tyle niż w USA, przy 40-krotnie wyższej śmiertelności. (NZZ, 29.07.1988)

WILNO. Przeciwko planowanemu ograniczeniu praw do demonstracji i zgromadzeń w Sowietach, w dn. 28.07. z inspiracji „Demokratycznego Ruchu dla Poparcia »Pierestrojki«” protestowało w Wilnie pod gmachem lokalnego Sowietu ok. 10 tys. osób. (FAZ, 29.07.1988)

MOSKWA. Sowiecki prawnik Kuraszwili, najwyraźniej polemizując z decyzjami podjętymi przez XIX Wszechzwiązkową Konferencję Partijną z przełomu czerwca i lipca, na łamach „Izwiesti” ostrzegł przed konsekwencjami skupienia nadmiernej władzy w jednym (gorbaczewowskim) ręku. (FAZ, 29.07.1988)

MOSKWA. Władze sowieckie wydały 27 lipca do Etiopii znajdującego się od kwietnia w więzieniu armeńskiego działacza niepodległościowego Paruira Airikjana. (NZZ, 30.07.1988)

PHNOM-PHEN. W dn. 29.07. władze północnokoreańskie zaproponowały kongresowi USA rozmowy na temat zastąpienia zawieszania broni z 1953 r. układem pokojowym. (Die Welt, 30.07.1988)

MOSKWA. W dn. 29.07. agencja TASS podała do wiadomości, iż przewodniczący oficjalnej komisji praw człowieka w ZSRS zwrócił się do prezydium Najwyższego Sowietu o ulaskawienie uwięzionych z powodów religijnych (wg zachodnich szacunków ok. 260 osób). (Frankfurter Rundschau, 30.07.1988)

BONN. Rzecznik Ministerstwa Obrony RFN poinformował, iż w ramach odświeżania kadry wyższych oficerów, w najbliższym 5-leciu ponad 100 generałów i admirałów zostanie przeniesionych w stan spoczynku przed osiągnięciem przez nich wieku emerytalnego. (Frankfurter Rundschau, 30.07.1988)

MOSKWA. W dn. 28.07. sowiecki politbiuro postanowiło znieść przyznawanie orderów i odznaczeń za wykonanie planu oraz z okazji rocznicowych. (Tagesspiegel, 30.07.1988)

LONDYN. Władze brytyjskie postanowiły ewakuować rodziny wszystkich 45 Anglików reprezentujących agendy rządowe w Kabulu stwierdzając, iż „Kabul jest bardzo niebezpiecznym miejscem, więc powinny one wyjechać, póki jest to jeszcze możliwe”. (Tagesspiegel, 31.07.1988)

MOSKWA. W dn. 31.07. zwolniono ze stanowiska szefa partii w Kujbyszewie w związku z mającą tam miejsce 10 dni wcześniej demonstracją, w której wzięło udział ponad 40 tys. osób protestujących przeciwko fatalnemu zaopatrzeniu i skandalowi przy rozdziale mieszkań. (Frankfurter Rundschau, 1.08.1988)

BONN. „Die Welt” podał do wiadomości, iż papież Jan Paweł II podczas kolejnej podróży do Alzacji i Lotaryngii w jesieni tego roku odwiedzi także Parlament Europejski. (Die Welt, 3.08.1988)

MOSKWA. Najwyższy Sowiet zamienił karę śmierci na dożywocie studentowi, który podczas zamieszek w Alma-Acie zabił policjanta. (Die Welt, 3.08.1988)

WASZYNGTON. Prezydent Reagan założył veto wobec przedstawionego mu przez Kongres projektu budżetu wydatków wojskowych na rok 1989 (299,5 mld dol.), uważając go za niewystarczający. (Tagesspiegel, 4.08.1988)

BUENOS AIRES. W okresie od czerwca 1987 r. do czerwca 1988 r. w Argentynie miało miejsce ponad tysiąc strajków. (Tagesspiegel, 4.08.1988)

MOSKWA. Przed sądem w Moskwie stanęło dwóch mieszkańców tego miasta oskarżonych o zbezczeszczenie grobów na cmentarzu żydowskim. (Die Welt, 6.08.1988)

MOSKWA. W dn. 5.08. podczas spotkania wielu tysięcy sowieckich weteranów wojny w Afganistanie, w moskiewskim parku Gorkiego doszło do poważnych starć z policją wywołanych przez pijanych kombatanów, którzy rzucali masowo na ziemię przyznane im ordery i usiłovali przedostać się na Plac Czerwony. (Tagesspiegel, 7.08.1988)

NOWY JORK. Po blisko 8 latach wojny między Irakiem a Iranem pokój wydaje się być blisko jak nigdy, bowiem obie strony, po żmudnych wysiłkach mediacyjnych ONZ, przystały na zaproponowane warunki i do ostatecznego zawieszenia broni ma dojść 25.08. (Frankfurter Rundschau, 8.08.1988)

MOSKWA. Na łamach czasopisma „Ogoniok” dyrektor moskiewskiego centrum kultury pyta, czy to nie profanacja, iż największy zbrodniarz wszechczasów — Josif Wissario-

nowicz Stalin — nadal spoczywa w pobliżu kremłowskiego muru i mauzoleum twórcy państwa Lenina. (Frankfurter Rundschau, 8.08.1988)

NOWY JORK. Po całej serii konferencji w sprawie rozwiązania konfliktu angolańskiego wszystkie zainteresowane strony, a więc USA, Afryka Płd. „Angola i Kuba oświadczyły w dn. 8.08. we wspólnym komunikacie, iż zawieszenie broni weszło już praktycznie w życie, natomiast od dn. 1.09. rozpocznie się wycofywanie wojsk kubańskich. (TAZ, 10.08.1988)

BUDAPESZT. Węgierskie politbiuro, jak poinformował rzecznik KC w dn. 9.08., wezwało wszystkich członków Układu Warszawskiego do „baczniejszego przestrzegania praw człowieka”. (Tagesspiegel, 10.08.1988)

HELSINKI. Na łamach fińsko-sowieckiego czasopisma „Maailma je Me” (Świat i ja) ukazał się wywiad z moskiewskim historykiem Dymitrem Wołkogonowem, z którego sowieccy czytelnicy po raz pierwszy mogli dowiedzieć się, iż wojnę sowiecko-fińską z lat 1939/40 wywołał... Stalin. (Tagesspiegel, 10.08.1988)

NOWOŚĆ

Nowa pozycja książkowa »Poglądu« album Ryszarda Dąbrówskiego »Polska 1976-1982. Fakty, zdjęcia, dokumenty«

to kopalnia wiedzy o polskiej opozycji lat 1976-1982. Opisane w nim wydarzenia dzieją się w ponad 300 miejscowościach i dotyczą ponad 650 organizacji, instytucji i przedsiębiorstw z udziałem ponad 740 osób wymienionych z nazwiska.

140 stron

cena 30 DM
(koszta wysyłki 3 DM)

Wszyscy wszystkiego mają dosyć

PARTIA W OCENIE „PRORZĄDOWYCH” OPINIOTWÓRCÓW

Sześć lat temu płk doc. Stanisław Kwiatkowski, szef Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) wpadł na pomysł, aby raz w roku zapraszać do wspólnego stołu ludzi o tzw. nazwiskach z kręgu nauk społecznych, dziennikarzy, działaczy, a nawet studentów, reprezentujących odmienne światopoglądy. Umownie można by nazwać takie spotkanie „dialogiem grup prorządowych z opozycją”. Spotkania te nazwano „warsztatem opiniotwórczym”. Zaproszeni do udziału w warsztacie pisali wstępne szkice na zadany temat, które w postaci broszury dostawali przed spotkaniem wszyscy uczestnicy. W tym roku temat ten brzmiał „Szanse reform w PRL”. Na 170 osób zaproszonych odpowiedziało na ankietę 83, z których 67 przybyło na spotkanie 6-7 maja br. w Jadwisinie pod Warszawą, w poniemieckim ośrodku wypoczynkowym.

Jeszcze przed rokiem stanowiska uczestników „warsztatu” wobec rzeczywistości PRL były wyraźnie zróżnicowane. Filozofowie, ekonomiści i publicyści przyznający się do marksistowskiego światopoglądu i politycznej opcji pro-Jaruzelskiej, nie mieli, mimo rozlicznych zastrzeżeń i uwag krytycznych, zasadniczych wątpliwości wobec pryncypiów ideologicznych i politycznych realnego socjalizmu. Nie mieli również zastrzeżeń wobec obranego kierunku reform w PRL. W tym roku nastąpiło „zdumiewające” zbliżenie między popierającymi ongiś „władzę” i „opozycją” w tak zasadniczych kwestiach, jak podstawy ustrojowe w PRL, rola PZPR jako „przywódcy”... polskiego kryzysu i ocena skuteczności polityki reformator-

skiej z nazwy, a nieskutecznej i wprost oszukańczej de facto.

Poniżej cytuję opinie wypowiedziane w czasie dwudniowej dyskusji (a właściwie monologu rozpisanego na głosy), spisane z taśmy magnetofonowej:

„Dopóki nie skończymy z przewodnią rolą partii, dopóki nie skończymy z nomenklaturą, to możemy mieć jeszcze dziesięć partii i nic się nie zmieni.”

„Trzeba odsunąć PZPR od władzy, bo jej program jest zły. Złe są jej założenia ideologiczne, filozoficzne i etyczne. Nie sprawdziły się. PZPR nie ma w tej chwili żadnej wizji dla młodych.”

„Jeszcze w okresie SOLIDARNOŚCI miałem kolegów, którzy się nie wstydzili, że są w partii. Nie wiem, czy dzisiaj jeszcze któryś z nich w niej jest. Jeśli, to się już tym nie chwali. Dlatego dziwię się: dlaczego ta partia może się nazywać robotnicza i występować w imieniu robotników?!”

„Czy rzeczywiście należy robić wszystko, aby ratować PZPR jako strukturę polityczną? Czy w skrajnej postaci, wyprzedzając to, co może nastąpić za rok lub dwa nie trzeba by zmienić gruntownie tej partii — rozwiązując ją po prostu?”

„Jeśli dla zwolenników reformy jakieś elementarne poparcie społeczne jest potrzebne, to nie dostanie go PZPR. Nawet, jeśli będzie forsować te reformy i przyznawać się do nich.”

„Partia się zmienia, zmienia się również opozycja. Co jest potrzebne partii? Partii jest potrzebna mądra opozycja. Wspaniały program (!), który powstał na IX zjeździe PZPR sformułowano pod

wplywem mądrej opozycji. Opozycja to nie żadne ustępstwo, ona jest dla rozwoju partii potrzebna."

"Protestuję przeciwko utożsamianiu jedynie PZPR z lewicą! Czasami mam nawet wątpliwości, czy część kolegów z PZPR ma prawo nazywać się lewicą, bo tak naprawdę stoją na prawicy."

"Tej struktury politycznej dalej utrzymać się nie da. O tym nie tylko jest przekonana opozycja, nie tylko opiniotwórcy, a tym jest przekonany aparat partyjny, rozpaczliwie szukający dla siebie wyjścia, a nieraz i ucieczki."

"Nieszczęściem dla Polski było to, że z dwóch partii robotniczych, które miały swoje tradycje (PPS i PPR), miały swoje społeczne korzenie, miały różne koncepcje, stworzono jedną partię, która zwyrodniała tak szybko. Tak szybko obróciła się przeciw ideom, które głosiła."

"Mimo, że Stalina nie ma, mentalność stalinowska ciąży na partii i na całym naszym życiu."

"Władzy można wiele wybaczyć, można jej wybaczyć błędy, ale nie można jej wybaczyć krętactwa. Do krętactwa zaliczam m.in. to, że w zapowiedziach reformy były zawarte dwa istotne elementy: ustawa o inicjatywie gospodarczej i ustawa o stowarzyszeniach, a teraz o jednej i drugiej milczy się (projekt pierwszej, wspomnianej ustawy został jednak przedłożony sejmowi przez rząd na początku czerwca — przyp. R.R.). Jedną rzecz zrobiono natychmiast i możliwie najuciążliwiej, to operację dochodowo-cenową."

"To nie ustroje są nierreformowalne, ale są kraje, w których nie ma sił zdolnych do zreformowania tych ustrojów. I być może casus Polski polega właśnie na tym, że nie ma sił potrzebnych do zreformowania ustroju."

"Jeżeli ta partia ma taki program, który powoduje, że w obecnej sytuacji zadłużenia kraju, kraju rolniczego jakim jest Polska, sprowadza się rocznie około 40 tysięcy ton masła i 5 tysięcy ton sera, to ta partia i jej program nie mają żadnego prawa do rządzenia."

Warto tu zaznaczyć, że protokoły z „warsztatu” trafiają na biurka przywódców partyjnych i członków rządu PRL. Jeżeli można żywić zrozumiałą chyba nieufność co do stoprocentowej rzetelności CBOS w publikowanych przez Centrum wynikach badań socjologicznych, to informacja przekazywana władzom nie jest fryzowana. W przeciwieństwie do ekip Gomułki i Gierka, które bardzo nie lubiły niepomyślnych sygnałów „z dołu”, Jaruzelski chce znać prawdę. Ale czy coś z tego wynika? Jak dotąd poglądy społeczeństwa,

którym Jaruzelski włada, nie są w czołówce czynników powodujących „przestrojenie”. Zauważono i na spotkaniu w Jadwisinie, że: *W interesie Polaków jako obywateli świata jest dążenie do tego, aby polski dialog był prowadzony nie metodą przemocy, a metodą autentycznego dyskusowania spraw i przekonywania. Te konflikty, które przyjdą, trzeba będzie rozgrywać na jakiejś płaszczyźnie politycznej, nie oczyszczonej, oczywiście, przez gąsiennice ZOMO.*

Ktoś ironicznie zauważył, że władza rozumie przez „porozumienie” — „aprobatę przez opozycję programu przedstawionego przez władzę!”

Warto w tym miejscu zauważyć, że gros czasu spędzonego w Jadwisinie dyskutanci poświęcili mniej lub więcej miazdzącej krytyce istniejącej rzeczywistości w „realnym socjalizmie”, natomiast to, co miało w zamierzeniu CBOS stanowić esencję spotkania — szukanie dróg wyjścia z zapaści reformy — było dość wątpliwym podsumowaniem. Właściwie trudno się dziwić, że nikt nie próbował nawet reanimować trupa — ustroju opartego na marksizmie-leninizmie, gdyż każda nieśmiała próba afirmacji tego, co jest wywoływała śmiech na sali, zarówno w grupie „marksistów”, jak i „katolików”. Jak ratować system, gdy partia jest martwa, a rząd nieudolny? Znow cytuję z taśmy spisane głosy:

"Obecny rząd nie jest w stanie przeprowadzić koniecznych, szybkich reform. Jest za słaby na to. On jest silny jedynie przymusem, tylko, że opierając się wyłącznie na przymusie nie przeprowadzi się reform gospodarczych. Reformy realizuje tylko rząd silny poparciem społecznym."

"Proponuję rząd zaufania społecznego, ponieważ rząd porozumienia narodowego jest czymś bardziej instytucjonalnym, zakłada konieczność formalnej platformy dla różnych sił politycznych w kraju. Rząd zaufania narodowego mógłby się składać z osobistości cieszących się powszechnym zaufaniem społeczeństwa."

Prócz domagania się powołania nowego, sprawnego i składającego się z ludzi kompetentnych i godnych zaufania rządu, mówiono również o konkretnych rozwiązaniach politycznych. Oczywiście chodziło wszystkim zwolennikom marksizmu o uratowanie PZPR w jakimś zmienionym, zreformowanym kształcie, ale zasada pluralizmu nie miała, z jednostkowymi wyjątkami, przeciwników. Jeden z marksistów powiedział:

"Kto neguje różnorodność, ten neguje swoją przynależność do marksizmu i socjalizmu. Jeżeli

różnorodność, to oczywiście autentyczna a nie pozorowana, a więc autentyczny pluralizm polityczny." Inny marksista dodał:

"Przekonanie, że ustroj wielopartyjny czy pluralistyczny może zachwiać podstawami ideologicznymi tego państwa jest bez sensu, ponieważ od tych postaw ideologicznych państwo samo odchodziło tyle razy, że gdyby naprawdę opierać się miało na ideologię, to by już dawno runęło, nawet bez pluralizmu."

Padają głosy o konieczności reaktywowania, a właściwie oficjalnego uznania powstałej już z martwych PPS, która weszłaby do rządzącej koalicji, lub też nawet walczyła w wolnych wyborach o mandaty poselskie, przedstawiając alternatywny program ekonomiczny, polityczny i społeczny. Na takie propozycje odezwał się jakiś młodzieniec z reżimowej prasy, który wykrzyknął: *"Przestańmy rozmawiać o rzeczach słusznych, np. o powołaniu nowych partii politycznych, a zaczynamy rozmawiać o rzeczach możliwych!"* Nieoczekiwanie zreplikował "stary marksista", cytując z zapisu: *"Pojawiają się apele: rozmawiamy o tym, co jest możliwe. Są to apele i słuszne, i rozsądne, ale zarazem szalenie niebezpieczne. Ale co jest możliwe?! Z jakiego punktu widzenia?! Kiedy możliwe?! A kiedy niemożliwe?! Zachowajmy wielką ostrożność w ocenianiu tego, co jest możliwe; a co niemożliwe. Jestem zwolennikiem poglądu, że za możliwe uważać to, co chwilowo może wydawać się niemożliwe. Bo inaczej popadniemy w ostrożniacki oportunizm i wręcz konformizm, a marksizm nie przystoi był konformistami. Postawa marksisty polega na negowaniu tego, co zastane, ale nasza partia ciągle namawia, aby afirmować. Przecież najlepsi byli ci, którzy byli aktywni w posłuszeństwie!!!"*

Przy okazji zakreślenia granic możliwości zwracano uwagę na zasadniczą zmianę, która zaszła w tzw. geopolityce wraz z deklarowaną przez Gorbaczowa nową polityką. Nie grozi już nam tak jednoznacznie „bratnia lufa ze Wschodu”, zwłaszcza, że to nie PZPR, ale społeczeństwo polskie jest „proradzieckie” w tym znaczeniu, że bardziej niż partia liczy na zwycięstwo reformatorów w ZSRR. W tej sytuacji PZPR nie może już rościć sobie pretensji o to, że jest jedynym gwarantem interesów radzieckich w Polsce...

Obiektywnie można stwierdzić, że tegoroczny „warsztat opiniotwórczy” jest ostrym ostrzeżeniem pod adresem władzy z pozycji nie tylko umiarkowanej opozycji („ekstrema” nie bierze, oczywiście, udziału w tym „warsztacie”), ale i

wyglaszanym przez reprezententów tego odłamu społecznego, który w badaniach CBOS występuje jako baza realnego socjalizmu! Czy ostrzeżenie to zostanie zlekceważone? Niewątpliwie — nie. Pytanie tylko, czy w dalszym ciągu funkcjonować będzie psychologia „zagrożonej twierdzy”? I czy cały wysiłek władzy sprowadzi się do wykorzystania aparatu przymusu? Czyli, że chęć utrzymania dotychczasowych przywilejów „czerwonej burżuazji” pozostającej poza kontrolą społeczną zaćmi możliwość zrozumienia rozmiarów stanu zagrożenia bytu narodowego?

Nowy członek biura politycznego i sekretarz KC PZPR Mieczysław F. Rakowski wygłosił 24 czerwca br. na spotkaniu z szefami reżimowych środków przekazu „expose” w duchu raczej znanym z przeszłości, niż takim, jakiego można by oczekiwać. Powiedział, „że to właśnie partia inicjuje poczynania reformatorskie (!!!)”.

Zamiast rzeczowej, wiarygodnej krytyki dotychczasowych praktyk sprawowania władzy przez partię, Rakowski wygłosił parę gładkich słów samokrytyki i równie banalnych stwierdzeń typu „trzeba pozyskać”, „wyzbij się nieufności wobec obywateli” itd. Słowem „przodująca siła” ma nadal przodować... łaskawie dopuszczając do głosu „konstruktywną opozycję”.

Pułkownikowi docentowi Stanisławowi Kwiatkowskiemu trzeba poradzić, aby przestał mieć jakiegokolwiek złudzenia, że interes władzy i dobro społeczne mają jakiegokolwiek punkty wspólne. Są nadal, tak jak były od wkroczenia Sowieców na ziemię polską w 1944 r. z ekipą mającą władać Polską — diametralnie sprzeczne. Ta władza żyjąca w „wyspach obfitości” na oceanie niedostatku, a nawet nędzy Polaków — ma wytknięty tylko jeden cel nadrzędny: przetrwanie. Byle dłużej. Byle jeszcze dwa, trzy lata, a nawet warto walczyć o pół roku luksusowego życia dłużej.

Przecież jest chyba i dla płk. doc. Kwiatkowskiego jasne, że w demokratycznym państwie nie mógłby urządzić dwudniowej wilegiatury dla „opiniotwórców” na koszt państwa, czyli podatników, fundując bezpłatne wyżywienie, noclegi i podróż. A z kolei w normalnym kraju czołowi intelektualisci nie traktowaliby takiego zaproszenia na dwudniowy, bezpłatny pobyt, jako dobrodziejstwa władzy, która da się najeść za darmo. Oto okrutna, polska rzeczywistość, ta nieopisana przepaść między władcami a poddanymi, przepaść materialna i duchowa, jak gdyby były to dwa plemiona — zwyciężonych i zwycięzców! ■

Być kobietą

Z modnej w PRL piosenki:

*być kobietą, być kobietą
— Tak marzyłam będąc dzieckiem
Być kobietą, bo kobiety
Są występne i zdradzieckie...*

Kiedy polskie władze w odpowiedzi na zdławione 13 grudnia '81 aspiracje wolnościowe społeczeństwa postanowiły... budować pomniki, nie bez powodu wymyśliły, że obok takich monumentów, jak upamiętniający Bitwę nad Bzurą i Powstanie Warszawskie, przydałby się pomnik Matki — Polki (ostatecznie zdecydowano się na szpital — pomnik w Łodzi, tradycyjnej stolicy kobiecego zagłębia przemysłowego). Opinia publiczna bowiem na pomysł takiego pomnika zareagowała gwałtownie i żywo: matka — Polka to powinna być gruba baba z żyłakami na nogach, obustronnie objuczona siatami zakupów...

Nie było to tylko satyryczne uproszczenie, ale koncept o charakterze symbolicznym. W 45-lecie realnego socjalizmu w Polsce, kobieta wkroczyła jako wielbłąd wielogarbny, stworzenie juczne, najbardziej obciążone i podlegające najbardziej bezlitosnej eksploatacji. A takie miłe były złego początku...

Polska emancypacja w sowieckim stylu zaczęła się u progu lat pięćdziesiątych wraz z ogólną „pierekową” tj. przekuwaniem dusz młodego, poddanego przemysłnej indoktrynacji i szybkim przemianom gospodarczym pokolenia. Sześcioletni Plan Budowy Podstaw Socjalizmu (czytaj: przemysłu ciężkiego!) w Polsce metodami eksten-sywnymi stworzył ogromny rynek pracy i stał się gigantyczną pompą wysysającą ludzi z tradycyjnych układów społeczno-gospodarczych do budującego się przemysłu. Rozpoczął on masową migrację ze wsi do miast i proces powszechnego zatrudniania kobiet, które dotychczas przypisane

były przede wszystkim do ról rodzinno-domowych i na rynku pracy występowały w ilości nader umiarkowanej i to głównie w sferach stanowiących jakby profesjonalne przedłużenie tradycyjnych ról kobiecych (wychowanie, oświata, opieka zdrowotna, włókiennictwo itp.). Teraz zaczęła się moda na traktorzystki, milicjantki, hutniczki, wytapiaczki (do górniczek jakoś nie doszło) i to właśnie one opiewane były w piosenkach, malowane na plakatach, o nich pisano wiersze i kręciono filmy. Przeciw „zamykaniu” kobiet w domu kierowano ostre satyry (np. film „Irena, do domu!”) ekonomiczny przymus podejmowania przez kobiety pracy wspierając nie pozbawioną wówczas atrakcyjności ideą: ograniczanie się do pieluch i garów wiąże i hamuje naturalne ludzkie dążności-i potencje kobiety, która nie inaczej od mężczyzna ma przecież prawo do samorealizacji na szerszym forum publicznym; która jest nie mniej zdolna od mężczyzny i uprawniona do korzystania z wszelkich ofert jakie niesie życie. Tak rozumianą emancypację kobiet w ówczesnej propagandzie traktowano jako jeden z elementów składowych ogólnej walki o wyzwolenie uciesnionych i wyzyskiwanych klas i grup społecznych, obok proletariatu i ludów kolorowych. Kobiety właśnie zamykały ową schematyczną trójkę obiektów godnych wyzwolenia z ucisku.

Dziś pora pomyśleć, że uruchomienie rozpoczętego wtedy procesu masowego zatrudniania kobiet być może miało przesłanki nie tylko ekonomiczne i ideologiczne, lecz także polityczne: destabilizację rodziny jako głównej ostoji tradycji i narodowych wartości, jako ostatecznego matecznika względnej mikro-wolności i mini-niezależności od państwa, sięgającego po totalną władzę nad społeczeństwem. Dziś, po dokonaniu się tego procesu, można stwierdzić, że o ile powszechne zatrudnienie kobiet i przezwyżyczenie

ich „stanowej” nieśmiałości i niepewności w wykonywaniu ról zawodowych uprzednio zarezerwowanych dla mężczyzn stało się faktem, o tyle deprecjacja rodzinnych ról kobiecych i rodzinnych wartości i zmiana zasadniczej orientacji kobiet (podobnie zresztą, jak odciążenie ich przez państwo z części obowiązków rodzinnych) nie powiodły się i okazały zupełnym fiaskiem. Oczywiście, zgodnie z komunistyczną zasadą, że za błędy władzy płaci społeczeństwo, zapłaciły za to bardzo wysoką cenę same zainteresowane.

Tak więc w okresie powojennym polskie kobiety przeszły — zgodnie z intencjami władz — pełny cykl emancypacyjny. Roi się dziś od nich w szkołach średnich, na uniwersytetach, w biurach, fabrykach, kolejkach, zatoczonych autobusach i sklepach: wykazują większą i bardziej wszechstronną od mężczyzn żywotność, ruchliwość i aktywność, tak że czasem zdawać się może — nie bez podstaw — iż ta nasza wschodnioeuropejska cywilizacja jest cywilizacją kobiet. Co oczywiście nie znaczy — dla kobiet.

Kobiety stanowią zdecydowaną większość w Polsce. Dysproporcja ta, zmniejszająca się w czasach powojennych, gdy była największa (wojna i okupacja w oczywisty sposób dotykały w pierwszym rzędzie mężczyzn), obecnie ustabilizowała się na poziomie 5%-owej przewagi kobiet. Wprawdzie chłopców rodzi się więcej, ale już powyżej 2-go roku życia dziewczynki uzyskują przewagę liczebną nad swymi rówieśnikami i z biegiem lat relacja ta — jaskrawiej niż w innych krajach — zmienia się na korzyść kobiet, szczególnie po 40-tym roku życia (ostatnio statystyka notuje „nadumieralność” mężczyzn w wieku 40-50 lat). Powyżej 64 roku życia na 100 mężczyzn przypadają już ponad 133 kobiety, rok później — ponad 173 kobiety, a powyżej 80 roku życia aż ponad 235 kobiet. Jest to o tyle interesujące, że z praktycznego punktu widzenia życie polskiej kobiety wydaje się być znacznie trudniejsze niż życie mężczyzn. Być może, obok powszechnie znanego zjawiska większej odporności i długowieczności kobiet, działa tu silniejsza motywacja życiowa Polek i — przy całym nadmiernym ich obciążeniu — większe poczucie użyteczności, niezbędności i związane z tym satysfakcje.

Większą aktywność kobiet potwierdza nawet oficjalny rocznik statystyczny, choć typowo kobiecych problemów, a nawet „kobięcych” hasel skrętnie unika. Kobiety są ruchliwsze z punktu widzenia migracji przestrzennej (wewnętrznej i za

granicę) i tzw. pionowej (zmiana pozycji społecznej). Stanowią połowę ogółu zatrudnionych w gospodarce narodowej. Zawodowo pracuje 45% wszystkich Polek (75% Polek w wieku produkcyjnym) i 70% Polek mieszkających w mieście. Przy okazji dodajmy, że znaczna przewaga kobiet mieszka w mieście, a trudny problem „żony dla rolnika” dostał się nawet na łamy czasopism. Ucieczka kobiet ze wsi (w stopniu jeszcze większym niż młodych mężczyzn) jest odpowiedzią na szczególną degradację cywilizacyjną wsi polskiej.

W przytaczającej większości pracujące kobiety zatrudnione są na pełnym etacie. Polki legitymują się wyższym wykształceniem od mężczyzn. Nie znajduje to odzwierciedlenia ani w zajmowaniu przez nie eksponowanych stanowisk, ani w tzw. aktywności społeczno-politycznej (kobiety stanowią niespełna 30% członków PZPR i tzw. bratnich partii, a nawet w dekoracyjnym sejmie mają tylko 20% miejsc poselskich), ani w awansowaniu po szczeblach kariery naukowej (na 328 nadanych w 1986 roku tytułów profesora zwyciężyła tylko 54 otrzymały kobiety, na 2470 tytułów doktora i doktora habilitowanego — analogicznie tylko 740; w GUS-owskim hasle „członkowie rzeczywisti PAN” nie wymienia się kobiet w ogóle). Wydaje się, że monopolizacji władzy przez mężczyzn towarzyszy swego rodzaju przyzwolenie kobiet, które uważają, że w „istniejących warunkach” kobieta nie ma możliwości zajmowania wyeksponowanej pozycji zawodowych (w badaniach Marii Pomorskiej tylko 15% badanych kobiet wyraziło gotowość kierowania innymi, ponad 60% zdecydowanie możliwość taką odrzuciło, a 16% odpowiedziało, że podjęłyby się takich ról tylko wtedy, gdyby nie kolidowały one z interesem rodziny). Wolno przypuszczać, że ów brak zainteresowania karierą uzasadniony jest nie tylko przedkładaniem spraw rodzinnych ponad role zawodowe, lecz także — typowym dla ludzi żyjących w tym ustroju — przeświadczeniem, iż owe oficjalne role publiczno-zawodowe z reguły niewiele mają wspólnego z rzeczywistym pożytkiem społecznym, a często wprost przeciwnie.

Przypomina się tu interesujący reportaż sprzed lat ze szpitala położniczego, w którym młode matki pytane o marzenia i pragnienia wobec swych nowo narodzonych dzieci, odpowiadały: żeby był dobry... żeby był wykształcony... żeby nie krzywdził ludzi... żeby nie był dyrektorem... Prostem odbiciem rzeczywistej pozycji kobiety na rynku pracy są płace — statystycznie

niższe od płac mężczyzn o około 20%, między innymi dlatego, że kobiety przeważają w najniższej płatnych działach gospodarki narodowej, jak przemysł tzw. lekki (w istocie pod względem warunków pracy i zagrożeń zdrowotnych jeden z najcięższych!), handel, usługi, administracja, oświata i wychowanie, służba zdrowia. Feminizacja w tych działach jest ogromna (kobiety stanowią: w finansach i ubezpieczeniach 85% zatrudnionych, w ochronie zdrowia i opiece społecznej – 80%, w oświacie i wychowaniu – 75%, w handlu – 71%, w kulturze i sztuce – 61%, w przemyśle odzieżowym – 84%, włókienniczym i skórzanym – prawie – 70%) Odkąd w 1987 r. zlikwidowano na akademiach medycznych *numerus clausus* dla kobiet: dentyści-mężczyźni są tam gatunkiem wymierającym (obecnie 2,5 tys. mężczyzn na ogólną liczbę ponad 17 tys. lekarzy dentyistów). Kobiety realizują się w pracy w bardzo różnym stopniu, w zależności od charakteru i dziedziny pracy (lekarzki akurat znacznie częściej od innych kobiet, a nawet kolegów-lekarzy stwierdzają, że są ze swego zawodu zadowolone).

Jednak najbardziej rozpowszechnioną postawą Polek wobec pracy jest traktowanie jej jako zła koniecznego, jako działalności wymuszonej presją ekonomiczną i z satysfakcją osobistą nie mającą nic zgoła wspólnego (2/3 pracujących kobiet pragnie iść na wcześniejszą emeryturę). Sondażowe badania Piotra Antoniewicza i Juliana Kazimierskiego dowodzą, że ok. 70% ankietowanych przez nich kobiet jest z pracy niezadowolonych lub bardzo niezadowolonych. Te wszakże, które twierdzą, iż z pracy są zadowolone, z reguły uzasadniają takie nastawienie okolicznościami nie mającymi nic wspólnego z treścią wykonywanych zajęć, jak to: kontakt z ludźmi, dobre stosunki lub dobry przełożony, miłe koleżanki, blisko miejsca zamieszkania, możliwość korzystania z przedszkola itd. Tylko 4% kobiet uważało, że zarabia dobrze, przy czym były to kobiety o najniższym poziomie wykształcenia, kwalifikacji i wymagań życiowych. Im wyższe wykształcenie, kwalifikacje i im niższy wiek kobiet, tym bardziej są one z płacy i warunków pracy niezadowolone. Te same zmienne: wysoki poziom wykształcenia, intelektu i młody wiek sprzyjają przedkładaniu wartości rodzinnych ponad pracę zawodową: młode kobiety, wczorajsze „dzieci z kluczami na szyi”, córki i wnuczki pierwszego pokolenia powszechnie pracujących kobiet, obciążone ich trudnym doświadczeniem emancypacyjnym i jego społecznymi oraz prywatnymi

konsekwencjami – dziś młode żony i matki – najboleśniej odczuwają skutki kryzysu. Uderza on w same podstawy bytu społecznego i rodzinnego i pojawia się jako odpowiedź systemu na rozbudzone w ciągu poprzedniego dwudziestolecia („mała stabilizacja” Gomułki, sztuczne prosperity za zdefraudowane pożyczki z czasów Gierka) apetyty i aspiracje.

W rozmowach z takimi kobietami coraz częściej słyszeć można opinie, że wykształcenie jest dobrą kwalifikacją do pracy w domu; że rodzina jest płaszczyzną realizowania ambicji intelektualnych i duchowych; że wychowanie dzieci jest ważniejsze niż wszystko inne. Kobiety te wykazują całkowity brak kompleksów (typowych dla pokolenia ich matek), nie podzielają przekonania, że pieluchy i garnki to sprawy podrzędne i że słynne „trzy K” (Kinder, Kirche, Küche – dzieci, kościół, kuchnia – przyp. red.) to formuła uwłaczająca ludzkiej godności, biorąc w ten sposób całkowity rozbrat z modelem tzw. współczesnej kobiety, lansowanym przez oficjalną propagandę. Uważają, że właśnie w rodzinie można i trzeba tworzyć i kultywować ważne społecznie wartości, narażone na szwank na każdym z opanowanych przez państwo terenów publicznych. Tendencjom tym w pewnym – niezamierzonym – sensie współtowarzyszy wycofywanie się państwa z ról socjalnych i opiekuńczych (brak żłobków, miejsc w przedszkolach, szkołach itp.), niewywiązywanie się z obowiązków, jakie państwo wzięło na siebie wysyłając kobiety masowo do pracy.

Ponad 65% Polek utrzymuje się z pracy, o standardzie życia pozostałych częściej decyduje zarobek męża, niż własny. Ciekawe, że najbardziej zdecydowane zwolenniczki pracy zawodowej kobiet to zazwyczaj osoby ceniące sobie pracę przede wszystkim jako społecznie akceptowaną ucieczkę od obowiązków domowych i rodzinnych, jako płaszczyznę kontaktów towarzyskich czy wręcz rozrywkowych, jako remedium na nudę i jednostajność, jako sposób atrakcyjnego urzędzenia się w życiu. Wartość pracy – sama w sobie – jest tu prawie niezauważana; podobnie zresztą jak w grupie tej negowane są istotne wartości życia rodzinnego. Być może mamy tu do czynienia z nieszczęsnymi ofiarami propagandy lansującej przez dziesięciolecia model kobiety „publicznej”. Tyle tylko, że ta – statystycznie zresztą niezbyt wielka – grupa entuzjastek pracy zawodowej nie wydaje się również wykazywać szczególnymi walorami pracowniczymi.



Tak więc z różnych, a nawet przeciwstawnych powodów mówić można o alienacji kobiet w pracy (1/3 pracujących Polek zdradza wedle socjologów objawy typowe dla pełnej alienacji). Postawy tej nie wyjaśnia sama przez się ekonomiczna motywacja podejmowania pracy zawodowej. Znacznie szkodliwsze od tej motywacji jest skonstatowane przez socjologów słabe zaangażowanie kobiet w pracę, brak poczucia satysfakcji zawodowej oraz wyraźnie negatywny wpływ środowiska pracy na uznawany przez większość z nich system norm (badane często zwracają uwagę, że środowisko pracy wywiera zdecydowanie demoralizujący wpływ na nowe pracownice, które przychodzą pełne dobrej woli i dopiero w toku kontaktów społecznych uczą się lekceważyć swoje obowiązki). Przy okazji wskazuje się na swoistą socjalistyczną normę zachowania, nakazującą ukrywanie wysiłku wkładanego w pracę, nie przyznawanie się do takich cech, jak ambicja i obowiązkowość. Do „dobrego tonu” bowiem należy ambicje i wysiłki kierować na wymigiwanie się od pracy oraz demonstrować lekceważenie dla tego, co się robi. Nie jest to oczywiście zachowanie specyficzne dla kobiet, choć akurat kobiety mogłyby się tu wykazać poważnymi okolicznościami łagodzącymi. Tak czy owak, są to postawy dewastujące etos

pracy i społecznie bardzo groźne. Życie kobiet jest tym terenem, na którym wszystkie mistyfikacje tego systemu widać najjaskrawiej i kobiety uderzają one najmocniej.

Rozdźwięk między słowami i czynami, agresywne natręctwo propagandy (czytaj: każdego wygłaszanego publicznie słowa) nie liczącej się z rozsądkiem, utwierdzone przekonanie, że nie można i nie opłaca się solidnie pracować, ponieważ jest to niepotrzebne, niemożliwe lub źle widziane, godzi w szczególnie typowo kobiecą potrzebę sensu, ład i rozsądku. Kobieta pracująca z zasady na co najmniej „dwóch etatach” (85% kobiet w wieku produkcyjnym łączy obowiązki pracownice z prowadzeniem domu) nie jest w stanie poprawnie wywiązać się z tych pozostających we wzajemnym konflikcie ról i dokonywać musi codziennych wyborów. Jest rzeczą zrozumiałą, że zamiast „pracowicie” pozorować pracę (bo brak surowca, energii, bo czegoś nie dowiedzieli, albo nie odebrali) woli wybiec i ustawić się w kolejce przed sklepem, by zaoszczędzony w ten sposób „wolny” czas przeznaczyć na wcześniejsze przygotowanie obiadu dla rodziny, pomoc dziecku w nauce czy inne zajęcia domowe. Uciążliwości życia codziennego — bo problemem jest wszystko, począwszy od dojazdu do pracy poprzez zakupy

najprostszych artykułów codziennych: waty, papieru toaletowego, zeszytu zaordynowanego przez panią nauczycielkę, po reperację butów, kranu czy kłamki – sprawiają, że niezależnie od osobistej pracowitości i ponoszonych wysiłków żadna kobieta za żadną cenę nie może uzyskać poczucia, iż wykonała poprawnie wszystko, co do niej należy i że jest w porządku. Nakłada się na to ciężkim brzemieniem ogólna i wzrastająca bieda, która sprawia, że przeciętna Polka nie tylko sama sprząta, pierze, gotuje (brak półproduktów), zmywa itd., ale także szyje, reperuje, przerabia, robi na drutach, odnawia mieszkanie, a nadto, co nie najmniej ważne, *zdobywa* niezbędne do tego wszystkiego środki i surowce.

Przeciętna Polka jest przemęczona fizycznie i psychicznie. Nadmiar obowiązków, brak odpoczynku i rozrywek, niedostatek snu, otyłość (co trzecia ma nadwagę), niewłaściwe odżywianie (Andrzej Bujwid szacuje, że prawidłowo odżywia się w Polsce 15-20% kobiet), liczne zagrożenia przemysłowe (a w tym trzecia, nocna zmiana, na której pracuje część kobiet), brak środków sanitarnych i higienicznych, nieustanne przepracowanie i „zagonienie” przynoszą efekt w postaci licznych zaburzeń chorobowych i zwiększonej absencji w pracy. Uciążliwościom fizycznym towarzyszy nieustanny stres, związany z poczuciem niewywiązywania się ze wszystkich kolidujących ze sobą ról i niemożnością pełnej identyfikacji z żadną z nich, w tym także brak warunków do pielęgnowania swej kobiecości przy równoczesnym poczuciu potrzeby bycia atrakcyjną. Efektem tych rozbieżnych i uciążliwych oczekiwań wobec kobiet staje się coraz częstsza ucieczka w chorobę, skłonność do nerwicy i depresji oraz chorób o charakterze psychogennym, nadużywanie papierosów i alkoholu (1/3 Polek pali; w kraju, gdzie około 6 milionów ludzi upija się, 25% wypitego alkoholu przypada na kobiety), lekomania, zaburzenia snu.

Około miliona kobiet (i około 200 tys. mężczyzn) wychowuje dzieci samotnie i sytuacja tych osób jest niewątpliwie najtrudniejsza, bowiem do wszystkich wymienionych napięć dochodzi tu jeszcze stres niezastąpioności.

W ciągu minionych 45 lat istnienia PRL zaszły znamienne przemiany relacji pomiędzy obupłciami. Tradycyjny podział ról – mężczyzna utrzymuje rodzinę i reprezentuje jej interesy na zewnątrz, kobieta zaś organizuje życie rodzinne, wychowuje dzieci i „rządzi” w domu – uległ za-

sadniczej zmianie. Teraz oboje „zarabiają” i borykają się z problemami życia pozarodzinnego, przy czym w dalszym ciągu – szczególnie w średnim pokoleniu – za dom i dzieci odpowiada tylko lub przede wszystkim matka. W dodatku zmieniły się i uwspółcześniły (również w średnim pokoleniu, w pokoleniu młodszym daje się zaobserwować próby powrotu do dawnych wzorów obyczajowych) stosunki erotyczne kobiety. W latach 60-70 uznano je za równorzędne partnerki, co oznacza, iż winny tu się wykazywać aktywnością i odpornością nie pozwalającą liczyć na żadne względy. Winny też – i robią to – być strażniczkami i przekazicielkami tradycyjnie cennych dla życia społecznego wartości duchowych i moralnych.

Wszystko to sprawia, iż samorealizacja kobiety w tych warunkach i na wszystkich tych polach staje się wyczynem niemal sportowym, żeby nie rzec – cyrkowym. Równocześnie ta wymuszona nadmierna ekspansja kobiet we wszystkich wspomnianych dziedzinach bumerangiem godzi w nie pośrednio – poprzez mężczyznę. Przez dziesięciolecia systematycznie wypierany ze swojej tradycyjnej roli głowy rodziny i pana domu, autorytetu i wzoru stracił on poczucie pewności siebie i bezpieczeństwa, poczuł się wyrugowany ze swych praw i zwolniony z obowiązków, zagrożony w swej pozycji, na co nierzadko odpowiada faktyczną czy psychiczną nieobecnością w życiu rodzinnym.

W ciągu minionych dwóch pokoleń kobiety – nie bez wysiłku i trudu – udowodniły, że nie są od mężczyzn „gorsze”, a nawet lepsze i że to na nich przede wszystkim wspiera się ta nasza specyficzna wschodnioeuropejska cywilizacja. To pyrusowe zwycięstwo ukazuje im dziś swą drugą, ciemną stronę. Przewaga męskiej aktywności przejawia się dziś chyba głównie w dwóch dziedzinach: w sprawowaniu władzy i... w przestępczości. Kobiety stanowią zaledwie 12% skazanych przez sądy, przy czym, takie przestępstwa, jak przeciwko życiu i zdrowiu, wolności i obyczajności, nietykalności cielesnej czy rodzinie, stanowią zdecydowanie domenę mężczyzn. Z pełną równowagą mamy do czynienia w takich dziedzinach, jak przestępstwa gospodarcze, skarbowe, czy też przeciwko porządkowi publicznemu. Wspominając tę ostatnią pozycję, która zapewne kamufluje także „przestępstwa” o charakterze politycznym, należy zauważyć, że wbrew wszelkim odnotowanym przez socjologów deklaracjom na temat swego braku zainteresowania dla spraw politycznych

— kobiety właśnie zdają się stanowić podstawową „armię” działalności opozycyjnej, niezależnego ruchu wydawniczego i wszelkich autonomicznych działań społecznych, w sposób niezwykle feminizując także pejzaż społeczny polskiej opozycji.

Przy tym wszystkim — wając, iż opozycja to środowiska z natury elitarne i społecznie znaczące wartościami całkowicie niestatystycznymi — skłonna jestem upierać się przy twierdzeniu, że kobiety, ta najbardziej eksploatowana grupa społeczna, stanowią równocześnie najbardziej naturalną bazę tego opresyjnego systemu. To właśnie ideologią kobiet jest być, istnieć, trwać, zakładać gniazda, rodzić, podtrzymywać i pielęgnować życie. To właśnie one — w swej masie — najżywiej zainteresowane są w utrzymaniu status quo, w zachowaniu tego, co władza nazywa ładem i porządkiem, w tym, aby *nic się nie działo*.

Są bowiem nie bez racji przekonane, że każda zmiana może godzić w elementarne wartości, jakie wyznają: w rodziny, dzieł, bezpieczeństwo. Sytuacja polskich kobiet jest więc pod każdym względem paradoksalna: to one, najza-

jadlejsze przeciwniczki systemu swą aktywnością najskuteczniej go podtrzymują, ale też dzięki ich zabiegom i przekazowi etyczno-kulturowemu być może istniejemy jeszcze jako naród.

Są więc Polki skromne, pracowite, uległe, pogodzone z losem, niewymagające, umiające się usatysfakcjonować byle czym, nieskończenie wytrwałe i dzielne, w stosunkach z bliskimi na ogół bardzo altruistyczne — w relacjach zawodowo-publicznych kompensując to sobie obronno-agresywną postawą wrogości i niechęci. Ta zachowawcza, wyzuta z szerszych aspiracji i osobistych wymagań postawa najczęściej przez system poszkodowanej grupy społecznej wydaje się być istotną społeczną przesłanką trwałości tego ustroju, bazującego na nieograniczonych możliwościach adaptacyjnych natury ludzkiej, daje bowiem pozytywną odpowiedź na pytanie, czy można żądać od człowieka wszystkiego, niczego mu w zamian nie dając. Zademonstrowane przez Polki przywiązanie do życia i umiejętność organizowania go w każdych warunkach wydaje się być zjawiskiem z wielu powodów godnym uwagi. ■

LIBELLA

12, rue St-Louis-en-l'Île — 75004 Paris, France

Metro: Pont Marie Tel 43-26-51-09

poleca swoje wydawnictwa

JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI

Kadencja

stron 2237

Cena FF. 95.00

Kadencja — czyli okres, w którym Jan Józef Szczepański wykonywał funkcje Prezesa Związku Literatów Polskich. Dokładnie: od 30 grudnia 1980 do 19 sierpnia 1983 roku. Dwie te daty wystarczą na podkreślenie wyjątkowości i przełomowości tej kadencji. Autobiografia — którą czyta się jak powieść. Polityka — ale i historia. Dramat — ale i dokument z pierwszej ręki. Sztuka — bo jak w teatrze występują w niej znane i mniej znane postacie — ale mówią one własnymi słowami. Z „Kadencji” więcej się można dowiedzieć o polskich wydarzeniach tego okresu niż z innych relacji, tak już licznych i — co najważniejsze — z dnia na dzień, ze strony na stronę, bierze się w nich udział. „Kadencję”, która była bestsellerem drugiego obiegu, opatrzyliśmy koniecznym i bardzo przydatnym na dziś i na jutro indeksem nazwisk.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT
Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Temida w ekspresie

Sobota, godzina 9 rano. Sala sądu rejonowego jest pusta. Przysiadłem w ostatnim rzędzie, po stronie ławy oskarżonych. Usiłuję przyrzeć się siedzącemu na niej człowiekowi. Jest już niemłody, wydaje się drobny, gdy siedzi zgarbiony między dwoma milicjantami. Wchodzi sąd w osobie młodej blondynki, wszyscy wstajemy, oskarżony także. Teraz widzę wyraźnie, że jest niskiego wzrostu i raczej miernej postury. U końca sędziowskiego stołu podnosi się niedbale oskarżyciel, młody człowiek w cywilnym ubraniu, milicjant albo esbek, sprawa toczy się bowiem w trybie przyspieszonym. Sędzia otwiera rozprawę przeciwko — nazwijmy go Robertem Kozera — oskarżonemu o znieważenie funkcjonariuszy MO. Za czyn ten grozi oskarżonemu kara do trzech lat pozbawienia wolności oraz wysoka grzywna.

Postępowanie przyspieszone na skalę bardzo szeroką i nie znaną poprzednio prawu karnemu PRL wprowadziła ustawa z dnia 10 maja 1985 r. o szczególnej odpowiedzialności karnej, która weszła w życie z dniem 1 lipca 1985 r. na okres trzech lat, czyli do dnia 30 czerwca 1988 r. Ten właśnie z góry ograniczony okres obowiązywania ustawy sprawił, że zaczęto nazywać ją epizodyczną. Wprowadzenie ustawy znacznie zaostrzającej odpowiedzialność za około 30% czynów uznanych za przestępstwa przez kodeks karny, a także inne ustawy np. o zwalczaniu spekulacji, tłumaczono narastaniem fali przestępczości w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, jak również oczekiwaniami społeczeństwa, zwłaszcza klasy robotniczej, która rzekomo domagała się surowego traktowania przestępców wszelkiej maści, go-

dzących w ład, bezpieczeństwo i porządek publiczny — jeśli wierzyć prasie i telewizji.

Wejście w życie ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej znacznie zaostrzyło represyjność systemu karnego PRL i tak już należącego do najsurowszych w Europie, nawet wśród krajów demokracji ludowej. Na mocy nowej ustawy zaczęto bowiem znacznie częściej niż przedtem stosować areszt śledczy w momencie wszczęcia sprawy (stosowanie aresztu dla szerokiej kategorii spraw stało się bowiem obligatoryjne), ograniczając zawieszenie wymierzanych kar pozbawienia wolności. Na mocy ustawy zaprzestano też udzielania warunkowych przedterminowych zwolnień, (po odbyciu dwóch trzecich kary) wobec sprawców licznych i wymienionych w ustawie przestępstw. Wyniki takiej polityki karnej nie dały na siebie długo czekać i zaowocowały gwałtownym wzrostem populacji więziennej już pod koniec 1985 r., czyli zaledwie w pół roku po wejściu w życie ustawy epizodycznej. Wedle oficjalnych danych, latem 1986 r., przed uchwaleniem ustawy o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw z dnia 17 lipca, będącej swoistym rodzajem amnestii, w zakładach karnych przebywało około 115 tys. ludzi. Wypuszczenie na wolność około 15 — 20 tys. więźniów poprawiło sytuację jedynie częściowo.

Więzienia PRL są nadal przepelnione, a wiele świetlic i pomieszczeń sportowych zamieniono na cele, by uzyskać choć trochę powierzchni. Bywa też, że osoby zgłaszające się do odbycia kary są odprawiane z kwitkiem w powodu braku miejsc. Sytuacja panująca w więzienictwie i pogorszenie warunków bytowania osób odbywających karę — to nie jedyny, a w każdym razie nie najważniejszy skutek funkcjonowania ustawy „epizodycznej”. Znacznie dramatyczniejsze szkody spowodowała

ona w samym sądownictwie, zmuszając sędziów do rozpatrywania spraw i wyrokowania w warunkach wykluczających rzetelne, bezstronne i wnikliwe rozpatrzenie sprawy, przy respektowaniu praw przysługujących oskarżonemu, przede wszystkim zaś prawa do obrony. Przepisy regulujące przebieg odbywania się rozprawy urągają bowiem podstawowym kanonom sądenia. Rozprawa w trybie przyspieszonym musi odbyć się najpóźniej w czterdzieści osiem godzin od chwili popełnienia przestępstwa, przeprowadzenie dochodzenia nie jest konieczne. Zawiadomienie o przestępstwie złożone przez funkcjonariusza MO (lub innego uprawnionego funkcjonariusza) zastępuje akt oskarżenia (udział prokuratora w tego rodzaju sprawie nie jest w ogóle przewidziany), orzeka i wyrokuje jeden sędzia, terminy odwoławcze są odpowiednio skrócone.

Oskarżony ma oczywiście prawo się bronić, a także korzystać z pomocy adwokata, prawo to jest jednak iluzoryczne. Wszczęcie sprawy w trybie przyspieszonym pociąga bowiem najczęściej natychmiastowe zastosowanie przeciwko oskarżonemu aresztu. W ciągu dwóch dni, albo nawet dnia, jaki dzieli go od rozprawy sądowej, nie ma zazwyczaj możliwości skontaktowania się z rodziną (o zatrzymaniu milicja nie informuje rodzin, pomimo formalnego istnienia takiego obowiązku), ani wyboru adwokata. Jeśli nawet znajdzie obrońcę, najczęściej jest to adwokat przypadkowy, który przy najlepszej nawet woli niewiele może pomóc swemu klientowi. Nie ma zazwyczaj czasu na zaznajomienie się ze sprawą, opracowanie wniosków dowodowych, odszukanie i wezwanie świadków itd. Stąd też starania obrońcy koncentrują się najczęściej na próbie przekonania sądu o konieczności przekazania sprawy do trybu zwykłego, co od czasu do czasu „chwytą” i jest uważane za sukces.

★ ★ ★

Robert Kozera nie ma obrońcy, nie miał szans na znalezienie go podczas nocy spędzonej w areszcie. — Oskarżony będzie bronił się sam — stwierdza raczej, niż pyta sędziego, dodając natychmiast, że udział adwokata w sprawie nie jest potrzebny. R. Kozera grzecznie potakuje. Nie zdaje sobie być może sprawy, że ma prawo domagać się obrońcy, albo po prostu woli nie sprzeciwiać się sądowni. Nie wie też, że na dole w gmachu sądów dyżurują adwokaci, by w razie potrzeby bronić

osoby doprowadzone do sądu i odpowiadające w trybie przyspieszonym. Sąd nie uważa za właściwe poinformować o tym człowieka zagrożonego karą dwóch lat więzienia.

Teraz pani sędzia zauważa mnie. — Czy pan jest rodziną oskarżonego? — pyta. Zaprzeczam. — No to, kim pan jest? — kontynuuje indagację, dając do zrozumienia, że obecność moja jest niewłaściwa. — Publicznością — odpowiadam. Rozprawa wszak toczy się jawnie, sąd nie zarządził zamknięcia drzwi. Sędzia waha się chwilę, lecz nie każe mi wyjść z sali.

★ ★ ★

Po roku wprowadzenia ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej w życie, padły pierwsze oceny jej działania z ust luminarzy wymiaru sprawiedliwości. Ustawę uznano za skuteczną, celową, sprzyjającą skutecznej walce z przestępczością, która wedle oficjalnych danych w roku 1986 spaść miała o 2,6% w wyniku dobroczynnego jej działania. Oceny oficjalne pozostawały jednak w jawnej niezgodzie z opinią naukowego środowiska prawniczego, które od początku wypowiadało się przeciwko wprowadzeniu ustawy, ze względu na jej represyjny charakter, jak i niekorzystny wpływ na poziom pracy sądów. Opinie te zaczęły przenikać na łamy prasy prawniczej, potem zaś, w 1987 r., wraz z wyraźnym złagodzeniem cenzury, frontalny atak na ustawę „epizodyczną” przypuścili publicyści, zarzucając jej, że prowadzi z jednej strony do absurdujnej wprost penalizacji, z drugiej zaś do upadku powagi i autorytetu sądów. Niektóre wyroki orzeczone w trybie przyspieszonym swą surowością zbulwersowały opinię publiczną. Pewien złodziej samochodów, przyłapany na kradzieży koła, skazany został na dwa lata więzienia i konfiskatę całego mienia. Pokątny handlarz za sprzedaż butelki wódki — na rok pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 100 tys. zł, drobny złodziejaszek — recydywista, który po pijanemu ukraść narzędzia wartości 4 tys. zł z ogródków działkowych — na trzy lata więzienia i częściową konfiskatę mienia. Podobne wyroki nie mogły oczywiście mieć wiele wspólnego ani z racjonalną polityką karną, ani z tym, co się określa mianem społecznego poczucia sprawiedliwości.

A tymczasem ustawa nadal zbierała swe żniwo. W 1986 r. na jej podstawie skazano ponad 46 tys. osób, w 1987 r. — ponad 40 tys., co w obu wypadkach stanowiło około 25% wszystkich skazań

zapadłych w sądach rejonowych. Niedawno Min. Sprawiedliwości przyznało, że w całym niespełna trzyletnim okresie obowiązywania ustawy do sądów rejonowych skierowano w trybie przyspieszonym ponad 138.600 spraw, z których osądzono ponad 114.800. Tylko 17% spraw przekazano do prokuratury i skierowano do trybu zwykłego. Dane te w oczach resortu miały stanowić potwierdzenie sprawnego działania ustawy.

Dla wielu przedstawicieli, zarówno teorii, jak i praktyki prawa, statystyki te były alarmujące. Świadczyły bowiem o zalaniu sądów rejonowych lawiną spraw byle jak przygotowanych, sądzonych powierzchownie i w pośpiechu, który nie służy prawidłowemu funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości. Przeciwno ustawie „epizodycznej” wypowiadać zaczęli się wreszcie sami sędziowie, zmuszeni do jej stosowania. Wielu z nich zresztą po wprowadzeniu ustawy w życie zrezygnowało z wykonywania zawodu. Choć główny exodus z sądownictwa nastąpił po wprowadzeniu praw stanu wojennego w latach 1982-83, również w 1985 i 1986 r. z sądownictwa odeszło ponad 200 osób, przechodząc do innych zawodów.

Wydawano się, że ustawa będzie zniesiona, zanim umrze śmiercią naturalną w połowie 1988 roku.

Wróćmy na chwilę do Roberta Kozery. W wigilię rozprawy sądowej, nie przeczuwając, jakie chmury wkrótce zawisną nad jego głową, przyjął zaproszenie swoich kolegów na kolację. Miała to być kolacja pożegnalna, Kozera po długiej chorobie przeszedł właśnie na rentę i musiał rozstać się ze spółdzielnią krawiecką, w której pracował lat kilkanaście. Gdy wraz z towarzyszami opuszczał restaurację, zatrzymał ich patrol milicyjny, żądając dokumentów. Koledzy bez sprzeciwu wyjęli dowody osobiste, R. Kozera uznał jednak, że do legitymowania nie ma powodu; wypili niewiele, zachowywali się bardzo spokojnie, zapytał więc o przyczynę milicyjnej interwencji. Zamiast odpowiedzi usłyszał, że ma natychmiast wraz z patrolem udać się na komendę, gdyż jest zatrzymany. Oświadczył, że nie pójdzie, a gdy funkcjonariusze próbowali go ciągnąć, uczepił się barierki przy witrynie sklepowej. Wtedy jeden z funkcjonariuszy bez słowa wy dobył pistolet gazowy i strzelił mężczyźnie prosto w twarz. Czy obezwładniony i półprzytomny Kozera rzucił wówczas pod adresem stróżów porządku publicznego jakieś słowa mogące uchodzić za obelżywe? On sam utrzymywał, że nie, ale nie było to ważne. Sąd

szuchał pilnie tylko tego, co na sali jako świadekowie mówili obciążający go funkcjonariusze. Na próżno oskarżony prosił o odszukanie i wezwanie w charakterze świadków kolegów, którzy byli obecni przy zajściu. Sąd prośby tej nie uwzględnił, w trybie przyspieszonym nie ma zresztą czasu na podobne ceregiele.

Nie padło też z ust przewodniczącej pytanie, czy konieczne było użycie gazu łzawiącego przez dwóch młodych i silnych milicjantów wobec słabego fizycznie człowieka, a potem jeszcze pobicie go na komendzie. O pobiciu tym zresztą Wysoki Sąd słucał z niedowierzaniem i niesmakiem. Robert Kozera nie zasługiwał na wiarę.

Przewidywania, że ustawa „epizodyczna” dogorywa i zostanie wkrótce uchylona wydawały się tym bardziej realne, że w 1987 r., po sześciu latach przerwy, znów podjęła pracę komisja kodyfikacyjna przy ministrze sprawiedliwości, mająca za zadanie przygotowanie projektu nowelizacji kodyfikacji karnej. Obowiązujący obecnie kodeks karny z 1969 r., ostro krytykowany zwłaszcza w czasach „Solidarności”, okazał się bowiem nienowoczesny, nadmiernie surowy i obciążony licznymi wadami.

Z wywiadów, jakie udzielał prasie przewodniczący komisji kodyfikacyjnej prof. Kazimierz Buchała i inni jej członkowie wynikało, że zmiany pójść mają w kierunku liberalizacji. O samych pracach komisji i ich zaawansowaniu wiadomo było jednak stosunkowo niewiele. Od czasu do czasu z gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości przedostawały się wiadomości, że skład komisji pomyślany jest tak, aby zapewnić przewagę zwolennikom tendencji rygorystycznych. Od czasu do czasu powtarzano też uporcezywą plotkę, jakoby komisja miała zamiar inkorporować ustawę „epizodyczną” na stałe do kodyfikacji karnej.

Informacje te znalazły nieoczekiwane potwierdzenie w projekcie ustawy przygotowanej w lutym 1988 r. przez Ministerstwo Sprawiedliwości i wniesionej w maju br. do łaski marszałkowskiej. Projekt o enigmatycznej nazwie „Ustawa o zmianie niektórych przepisów prawa karnego z dnia...” rozpatrywany obecnie przez Sejm ma zostać uchwalony w najbliższym czasie, jeszcze przed wygaśnięciem osławionej ustawy z dnia 10 maja 1985 r. W rzeczywistości ma on przedłużyć jej żywot przez wpisanie nieco zmodyfikowanych norm ustawy do procedury karnej. We wprowadzeniu do projektu czytamy: „W związku z gaśnięciem mocy obowiązującej ustawy z dnia 10 maja

1985 o szczególnej odpowiedzialności karnej... zachodzi potrzeba włączenia na stałe do przepisów kodeksu postępowania karnego tych instytucji oraz tych rozwiązań, co do których praktyka trzyletniego obowiązywania ustawy wykazała ich przydatność. Odnosi się to do przepisów normujących tryb postępowania uproszczonego i przyspieszonego..."

Przedłożenie — mimo publicznej krytyki, jakiej poddano tryb przyspieszony — projektu Sejmowi stanowi spektakularne zwycięstwo zwolenników twardej ręki w polityce karnej. Potrzebę przeprowadzenia już obecnie częściowej nowelizacji prawa karnego Ministerstwo Sprawiedliwości tłumaczy również faktem, że prace nad przygotowaniem nowej kodyfikacji potrwają mogą jeszcze lata.

Złagodzenia proponowane przez projektodawców w dotychczasowych drakońskich przepisach są stosunkowo niewielkie. Tryb przyspieszony i związana z nim uproszczona (i ekspresowa) procedura zostać mają w zasadzie utrzymane, choć przewiduje się częstsze niż dotychczas wymierzanie kar pozbawienia wolności i zawieszeniem, kary ograniczenia wolności i grzywny samostojnej, zamiast bezwzględnej więzienia.

W trybie przyspieszonym sądy będą mogły wymierzać kary do dwóch (dotychczas trzech lat) więzienia oraz grzywny do wysokości pół miliona złotych. Uzasadniając potrzebę utrzymania w wymiarze sprawiedliwości trybu przyspieszonego, Ministerstwo Sprawiedliwości specjalną uwagę poświęca kwestii zapewnienia oskarżonym prawa do obrony. Zdaniem resortu, który nie liczy się z faktami, prawo to nigdy nie było naruszane ani zawężone przez ustawę epizodyczną. Możliwość skorzystania z obrony wszystkim oskarżonym, którzy jej pragnęli, zapewniały wspomniane już dyżury adwokackie wprowadzone zresztą na podstawie rozporządzenia ministra sprawiedliwości. Jeśli wierzyć Ministerstwu, w trakcie trzyletniego obowiązywania ustawy nie było żadnych skarg osób zainteresowanych na ograniczenia ich prawa do obrony. Nie licząc zapewne tych, które wpływały do sądów wojewódzkich, jako instancji rewizyjnych. Z wielu rewizji, z którymi udało mi się zetknąć wynikało, iż skazani przypisywali nietrafność bądź niewspółmierną surowość wyroku okoliczności, iż podczas przyspieszonej rozprawy pierwszej instancji nie byli w ogóle bronieni, lub nie mogli korzystać z obrońcy z wyboru, do którego mieli zaufanie.

Rozprawa przeciwko Robertowi Kozere zajęła Wysokiemu Sądowi niecałą godzinę. Oskarżony uznany został winnym znieważenia milicjantów i skazany na 80 tys. zł grzywny. Był to wyrok wyjątkowo łagodny, jak na orzeczenie zapadłe w trybie przyspieszonym. Oskarżony nigdy nie odwołał się od tego wyroku. Nie udało mi się też dowiedzieć czy spłacił grzywnę. Nie było to łatwe, zważywszy na fakt, iż renta, jaką otrzymywał, wynosiła w owym czasie niecałe 11 tysięcy złotych i obok pensji żony stanowiła podstawę utrzymania czteroosobowej rodziny.

W gruncie rzeczy R. Kozera skazany został za to, że osmieszył się zapytać milicjanta, dlaczego go legitymuje. Nie uczyniłby tego zapewne, gdyby znał ustawę o Ministrze Spraw Wewnętrznych przyznającą funkcjonariuszom nieograniczoną władzę nad obywatelom.

Przedłożenie Sejmowi projektu inkorporowania ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej do systemu prawa karnego uznać można za bardzo charakterystyczne posunięcie władz. Już nie po raz pierwszy, zapowiadając liberalizację i demokratyzację, władza okazuje się konsekwentna w swym dążeniu do utrzymania ograniczeń praw obywatelskich i ustanawiania przepisów pozwalających na mocne trzymanie w ryzach społeczeństwa. Oczywiście z praw tych, zapisanych w rozmaitych ustawach i rozporządzeniach, wśród których szczególnie miejsce zajmuje wspomniana już ustawa o ministrze spraw wewnętrznych, uchwalona w przeddzień zniesienia stanu wojennego 14 lipca 1983 r., ekipa rządząca korzysta stosunkowo rzadko i przynajmniej w ostatnim okresie z umiarem.

Ważne wydaje się jednak, że liczne przepisy, które użyć można przeciwko obywatelom istnieją i zachowują swą moc, pomimo rozmaitych niby to demokratyzujących przeobrażeń prawa. Należy do nich również ustawa „epizodyczna”. Na jej podstawie można było aresztować, postawić przed sądem i osądzić w czterdzieści osiem godzin każdego, kto naruszył prawo, w tym także sprawców występów politycznych. Warto tu przypomnieć, że znaczna część osób oskarżonych z art. 282a (słynny już dziś artykuł penalizujący działania podjęte w celu wywołania niepokoju publicznego) odpowiada w trybie przyspieszonym. Przepis ten figuruje nadal w kodeksie karnym, choć zaprzestano stosowania go po amnestii 1986 r., i można posłużyć się nim w każdej chwili, podobnie zresztą jak trybem przyspieszonym.

Wystarczy być może jeden straszny sen gen. Czesława Kiszcza, albo i Najważniejszego Generała, aby znów zaczęto go stosować. Zwłaszcza, że w projekcie nowelizacji trybem przyspieszonym objęto także inne przestępstwa o charakterze politycznym, dotychczas spod niego wyłączone, jak udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy dopuszczają się zamachu na osobę lub miennie (art. 275 kk), publiczne pochwalanie przestępstwa (np. dzikich strajków, albo akcji WiP) — art. 280 § 2, publiczne nawoływanie do nieposłuszeństwa lub przeciwdziałania ustawie — art. 282 kk, bądź też znieważenie godła, flagi itp. nie tylko polskiego ale i sprzymierzonego państwa (art. 284 i 285 kk).

Dążenie do trwałego wprowadzenia do i tak nadmiernie surowej kodyfikacji ustawy, która przyczynia się do drastycznego zaostrzenia penalizacji, mówi więcej o prawdziwych zamiarach ustawodawcy, niż reklamowa kampania towarzysząca pracom komisji kodyfikacyjnej. Przed kilkoma miesiącami, kodyfikatorzy zwrócili się do wszystkich katedr uniwersyteckich i instytutów prawa karnego, w tym także do Instytutu Państwa i Prawa PAN, z prośbą o zgłaszanie postulatów i uwag dotyczących zmian w przyszłych przepisach prawa. Wśród uwag nadesłanych przez Zakład Prawa Karnego Instytutu Państwa i Prawa PAN znalazła się i taka, aby do nowych przepisów „nie przyjmować uregulowań wprowadzonych ustawą o szczególnej odpowiedzialności karnej z dnia 10 maja 1985” i „poczynić starania o jak najszybsze uchYLENIE tej ustawy”.

Przeciwko dalszemu obowiązywaniu ustawy wypowiedział się również Instytut Badania Prawa Sądowego przy Ministerstwie Sprawiedliwości oraz szereg katedr prawa karnego przy naszych uniwersytetach, m.in. w Warszawie, Krakowie i Łodzi. Ogromna większość uczonych opowiedziała się też za depenalizacją kodyfikacji karnej, w których jest to możliwe, kar eliminacyjnych przez kary wolnościowe. Powszechnie domagano się także dostosowania polskiego prawa do norm międzynarodowych przyjętych i ratyfikowanych przez PRL. Z opracowań i propozycji tych powiało humanizmem, który jak powietrze potrzebny jest naszemu zaściankowemu prawu. — Gość lubi, żeby go radzić — mawiał kiedyś stary kelner w nieistniejącej już restauracji żydowskiej „Amico”, przy ulicy Kredytowej w Warszawie. Władze PRL lubią być konsultowane, czemu ciągle dają wyraz. Po cóż jednak konsultacje i opracowania naukowe

przygotowywane przez ekspertów, jeśli władze nie biorą ich pod uwagę. Powoływanie coraz to innych ciał doradczych i zwracanie się do autorytetów naukowych sprawiać mają wrażenie politycznej wiośny, albo jeśli kto woli, peerelowskiej pieriestrojki. W rzeczywistości jednak owe spektakularne gesty spełniają jedynie rolę dymnej zasłony. Oświecony głos środowisk naukowych pozostaje głosem wołającym na puszczę.

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e.V.	lub
„Pogląd”	Postscheckkonto
Sparkasse der Stadt Berlin West	586 90-102
Konto Nr 122 001 238 2	BLZ 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postscheckamt
	1000 Berlin (West)

Na Towarzystwo Solidarność

1. St. Rejman, Weinstadt	DM 10,-
2. K. Owczarz, Dortmund	DM 30,-
3. A. Hryniewiecka, Pfullingen	DM 20,-
4. R. Hryniewiecki, Pfullingen	DM 20,-
5. St. Brodnicki, Dortmund 2 x	DM 12,-
6. A. Dominik, Hagen	DM 16,50
7. M. Bialecki, Kassel	DM 30,-
8. W. Kawczyński, Dortmund	DM 30,-
9. M. M., Berlin	DM 130,-
10. Z. Wysocka, Dortmund	DM 30,-
11. H. R. Horosiewicz, Dortmund	DM 120,-
12. B. Redzko, Nieby	DM 95,-
13. G. Kalinowska, Bremen	DM 30,-
14. St. Piórkowski, Berlin	DM 20,-
15. T. Puchalska, Neu Anspach	DM 120,-
16. M. Zywczyk, Dortmund	DM 30,-
17. M. Leśniewski, Mannheim	DM 15,-
18. A. Szczerbiec, Hamburg	DM 20,-

Na Solidarność Walczącą

1. J. Sazon, Dortmund	DM 10,-
2. P. Luczuk, Batinga	DM 40,-

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

Polak w więzieniu

„Tak żyjemy i pomrzemy, nie usłyszy o nas świat...” śpiewa o marnej wegetacji szarego człowieka sowieckiego Jacek Kaczmarski w „Epitafium na śmierć Włodzimierza Wysockiego”. To o ludziach, którzy cierpią, lecz ich cierpienia świat nigdy nie dostrzeże. Można domyślać się lub dopowiadać: świat zachodni, opinia publiczna bądź świadomość społeczna kraju, w którym żyją, jest to mniej ważne: pozostaną anonimowi, a więźdani na siebie tylko. Chciałbym napisać o doli przeciętnego więźnia kryminalnego w Polsce.

Po 13.12.1981 r. temat „więzienia” stał się jednym z najczęstszych w niezależnej prasie krajowej i prasie emigracyjnej. Jednak było to więzienie specjalne: najpierw obozy internowania, później, od roku 1983 nie różniące się i nazwą więzienia, w których przebywali więźniowie polityczni. Szczególnie duże zainteresowanie budził zawsze III pawilon Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie.

Więźniowie polityczni cierpieli, czasem byli maltretowani i poniżani, zdarzało się nawet, że umierali w więzieniach. Ich cierpienie oburzało tym bardziej, że dotyczyło ludzi niewinnych żadnej zbrodni, wręcz przeciwnie: często najodważniejszych i najbardziej wartościowych, często wybitnych naukowców, pisarzy, aktorów, intelektualistów, a więc tych, którzy stanowią tzw. elitę społeczeństwa. Ich cierpienie przysłańało jednak inne cierpienie, bezimienne i bardziej pokorne, cierpienie szarego człowieka, który — czasem za kradzież paru złotych — otrzymywał do odsiedzenia lekką ręką sądu parę lat. „Nie usłyszał o nim świat” — bo usłyszeć nie mógł. Szary więzień nie mógł liczyć na czyjąkolwiek obronę, na wspaniałe paczki z Zachodu, które jakoś docierały do „politycznych”; na świetnych adwokatów; na powszechną — poza samym jądrem aparatu władzy

— życzliwość. Jedyne stowarzyszenie opieki nad więźniami o nazwie „Patronat”, powstało pod koniec 1981 roku i zostało wkrótce zawieszono, następnie rozwiązano..., zaś część spośród jego członków-założycieli trafiła... do więzienia.

Zatrzymajmy się na chwilę nad losem szarego więźnia PRL. Nie chodzi tu o jego winę, w jakiej proporcji pozostaje ona do zadanego mu cierpienia bądź „dolegliwości”, jak to nazywają kodeksy karne. Nie można mówić o takim rachunku w sytuacji, kiedy system więzienniczy nie kontroluje zupełnie swej opresywności. Więzień kryminalny jest więc też ofiarą, choć nie ofiarą czyjejś przemyślanej akcji — jak więzień polityczny — lecz ofiarą żalosnej nieporadności systemu.

Więzień kryminalny, złodziej. Kogoś takiego dobrze pamiętam. Nazywali go „Kret”, bowiem zrobił podkop i uciekł z więzienia. Złapano go i odtąd siedział w „naszym” Pawilonie, izolacyjnym. Pomagał nam — politycznym. Jak trafił do więzienia? Był magazynierem. Wykryto braki na 300 tys. zł. Skazano go na 14 lat więzienia i przepadek mienia w całości. Po kilku latach żona wystąpiła o rozwód. On stał się wykwalifikowanym kryminalistą.

Rozmawiałem z „Kretem”, gdy ogłoszono wyrok w sprawie M. Szczepańskiego. Za niedobór 10 mln zł „Maciuś” dostał bodaj 6 lat i konfiskatę mienia. W kilka miesięcy później był na wolności. „Kret” siedzi w więzieniu do dziś. Dwie miary „ludowej” sprawiedliwości.

Wszystkich więźniów było w Polsce w roku 1986 prawie 110 tysięcy. Taką liczbę podaje Rocznik Statystyczny. Ilu ich było i jest naprawdę, nikt nie wie: Raport Madrycki z 1981 roku szacował ich liczbę na ok. 200 tysięcy. Warto podkreślić, że nawet mniejsza z tych liczb stawia Polskę na I

miejsu w Europie pod względem ilości uwięzionych na 100 tys. ludzi (bez ZSRS — brak danych!) i przy mocno wątpliwych oficjalnych informacjach z innych krajów bloku). Z krajów zachodnich najwyższe wskaźniki mają Austria i RFN, są one jednak niemal trzy razy niższe od polskiego. Sądy PRL skazują bowiem wszystkich, jak leci i na długo wcześniej jeszcze prokurator podpisuje w zasadzie automatycznie nakaz tzw. tymczasowego aresztowania. Trwa ono nawet i do trzech lat; znałem człowieka, który był „tymczasowo aresztowany” przez prawie pięć lat, dopóki nie umarł w areszcie.

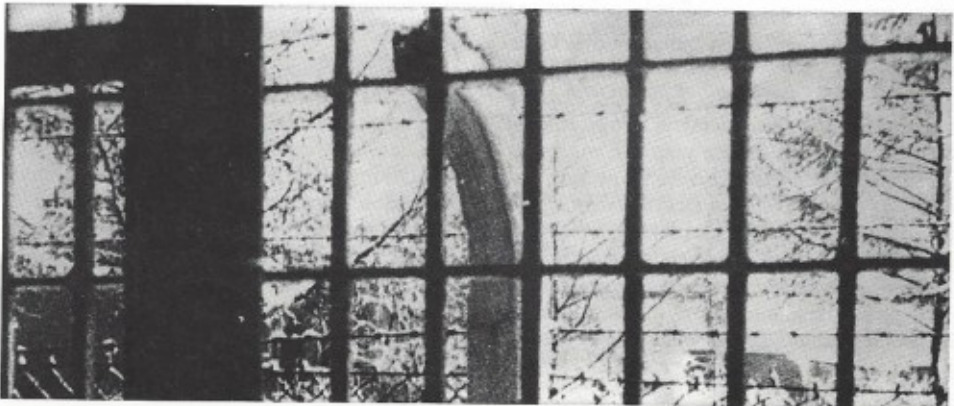
Amerykański socjolog Erving Goffman pisał o instytucjach totalnych, w których zasadniczym podziałem jest podział na personel (staff) i więźniów (inmates). Jednak więzienie polskie nie jest instytucją totalną z eleganckiego szkicu Goffmana, co potwierdza skądinąd tezę niektórych polskich socjologów, że kraje realnego socjalizmu wraz ze swoją rzeczywistością społeczną domagają się nowej socjologii, która stworzyłaby aparat pojęciowy i wypracowała własne metody badania.

Niesprawna organizacja więzienna, nie istniejąca przeciw w oderwaniu od socjalistycznych realiów sprawia, że więźniowie pozostawieni są właściwie sami sobie. Nikt ich zanadto nie kontro-

luje, ale też i nie „resocjalizuje”. Za mało ludzi, pieniędzy, możliwości, miejsca. W areszcie śledczym zasadniczo nie wolno pracować (więźniowie czekający na rozprawę powinni pozostawać w możliwie ścisłej izolacji od świata zewnętrznego i innych więźniów, szczególnie swoich współników). Więźniowie siedzą więc w celach, w 7-8 na 6-9 m² powierzchni. Na *stodołach*, czyli 45-50 metrowych hałach siedzi ich z reguły ponad 40. Siedzą i zajmują się głównie swoimi sprawami. Skutki owego skarłowacenia administracji i jej form oddziaływania na podopiecznych są dla nich o tyle groźne, co i fascynujące jako materiał badawczy dla socjologa.

Społeczność więzienna aresztu śledczego podzielona jest z grubsza rzecz biorąc na trzy odrębne kategorie. Podziały te kształtują sami więźniowie i przypisanie więźnia do określonej kategorii odbywa się zwykle w pierwszych dniach po aresztowaniu. Wpływ administracji więzienia na te podziały jest praktycznie żaden.

Grypsujący stanowią większość, ok. 80-90% ogółu. Ta grupa właśnie wytworzyła silną subkulturę symboliczną; regulującą w dużej mierze zachowania w celach, w postaci norm, zasad, zakazów, a także obyczajów. Badacze akademicy i resortowi w Polsce nazywają ją „drugim życiem”, a



czasem — błędnie — „grypserką”. Skodyfikowane zasady grypsowania zakładają solidarność w działaniu i ni szczęście, odmowę współpracy z administracją, jest też w nich mowa o higienie osobistej i honorze grypsującego (*zastawka* — słowo honoru). Jak z każdą ideologią bywa, tak jest i z grypsowaniem: często jego zasady maskują tylko zwykłe dążenia silniejszego do eksploatacji słabszych. Grypsujący posługują się językiem ze skomplikowanymi regułami dotyczącymi używania pewnych słów, szczególnie tych, które zwyczajowo łączą się z kobietą. Nie wolno powiedzieć o współwięźniu: jaki to ładny chłopak! Należy użyć słowa *przystojny*, tylko o kobiecie można bowiem powiedzieć, że jest ładna. Nie wolno też zapytać: co ty taki czerwony jesteś? Należy *skrańcować* dodając po słowie „czerwony” — „na twarzy”. Najlepiej zaś w ogóle nie używać nazwy tego koloru i zastępować ją poprzez nazwę „różowy”. Czerwony może być tylko komunista, a to słowo w więzieniu jest jedną z największych obelg, czyli *bluzniewicz*. Nie bez powodu *klop*, *bardacha*, *kibel* najczęściej jednak nazywany jest od nazwiska I sekretarza KC PZPR *gierem*, a ostatnio coraz częściej *jaruzelem*.

Za złamanie sztywnych reguł językowych grożą surowe kary.

Aby stać się grypsującym, należy przejść przez serię testów na inteligencję, spryt, odporność na ból (*gierki*), a w niektórych celach dodatkowo przez obrzęd *chrztu*. Podczas *gierek*, którzy starzy więźniowie z nudów czynią dla rozrywki często szczególnie okrutnymi, *świeżacy* łamią czasem nogi, rozkwaszają nosy, bywają też boleśnie pobici. Jednak honor grypsującego zakazuje im poskarżyć się administracji na te praktyki, byłoby to zresztą nieskuteczne i „skarżacy” straciliby szansę na wyjście do grona grypsujących. Zostałby „*frajerem*”, albo czekałby go los jeszcze straszniejszy, los *cwela*. *Świeżak* zaciska więc z bólu zęby podczas *gierek* i milczy. Odbije to sobie na następnej grupie.

Frajerzy tworzą niższą kategorię. Przestraszeni i wykorzystywani, są raczej luźnym zbiorem atomów, niż grupą mającą poczucie więzi. Nad utrwaleniem tego stanu czuwają grypsujący. *Frajerem* grypsujący zostaje w efekcie *wychły* (przevinienia). Można zostać na powrót grypsującym poprzez *podniesienie*, zdarza się to jednak rzadko. W stosunku do *frajerów* nie obowiązują grypsujących zasady subkultury. Mogą ich więc okradać, bić, poniżać, zmuszając do wykonywania różnych prac w celi.

Cwel stoi najniżej w hierarchii więziennej. W społeczności więziennej jest ich nie więcej niż 1-2%. Krótko mówiąc, *cwel* jest to męska prostytutka. Nosi też żeńskie imię. *Cwelem* zostaje się w wyniku *przecwelenia*: gwałtu lub dotknięcia peni- sem innego więźnia i jest to zmiana statusu definitywna. Nie można już powrócić do którejś z wyższych kategorii. Subkultura zabrania niemal wszystkich form kontaktu z *cwelami*, również i tych dopuszczalnych wobec *frajera* — oprócz jednej. Często ambicją grypsującego w więzieniu jest *wyruchać cwela*. Dokonuje się to poprzez jego odbytnicę (*cwel* nazywany jest wtedy czasem *rurą*) bądź usta (*parowa*); *cwel* może też onanizować grypsującego *dłonią*. W zbiorowych orgiach wykonuje te czynności jednocześnie. W dużych więzieniach karnych, gdzie więźniowie pracują, a więc wychodzą z celi i ich kontakty ogólnie są częstsze, arystokracja więzienna posiada swoich ulubionych, osobistych *cweli*, których wykorzystuje, ale i chroni przed szykanami innych.

„*Cwel*” — pewnego dnia do mojej celi wprowadzono nowego więźnia. Był wyraźnie wystraszony, patrzył przymilnie na moich współwięźniów-recedydywistów. Jeden z nich raczej stwierdził niż zapytał:

— Ty, „*cwel*” jesteś! Przybysz skinął głową. Pytający załomotał w drzwi.

— Panie oddziałowy zabierz pan tego „*cwela*”. Zgrzytnął zamek. Stanął w drzwiach klawisz.

— Czego?

— Co pan, „*cwel*” ma siedzieć razem z tym panem? — więzień wskazał na mnie głową. Strażnik bez słowa skinął na przybysza. Zabrano go. Okazało się, że moi recydywiści zrobili to tylko ze względu na mnie. Gdyby mnie nie było w celi, to byłaby okazja do „*zabawy*” z „*cwelem*”. Bez trudu zrozumiałem co to miała być za zabawa.

Naszkiecowane podziały i zjawiska są najważniejsze dla zrozumienia życia w celi aresztu śledczego. W więzieniu karnym sprawy komplikują się nieco, pojawiają się konkurencyjne grupy subkulturowe, jak *feści* lub deklarujący neutralność wobec innych grup *szwajcarzy*; jednak intensywność regulacji subkulturowych spada. Inaczej mówiąc, pewne zasady postępowania traktowane tu są z przymrużeniem oka.

Wpływ administracji więziennej na życie w celi jest, jak zaznaczyłem na początku, mniej ważny. *Klawisz* (*gad*, *kurwa*) *rozklucza* i *sklucza*

celę, wyprowadzając z niej więźniów na spacer, *patronko* do lekarza. Może też wystawić *raport*, stanowiący przesłankę do ukarania więźnia. *Wychowek* (wychowawca) oprócz karania może też dodatkowo nagradzać. Od niego np. zależy głównie przydział talonów na dodatkowe paczki i wyjście na telewizję, co ma z reguły miejsce na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Ze szczególnie ważnymi sprawami, jak otrzymanie zezwolenia na posiadanie w celi własnych książek, należy się zwracać pisemnie do naczelnika więzienia, prokuratora bądź śledczego. Czynności, które wykonuje administracja w stosunku do więźnia są więc raczej rutynowe i jeśli ten specjalnie nie narazi się, może żyć praktycznie jej nie zauważając.

Plagą polskich więzień są samookaleczenia (samouszkodzenia). Na pozór sprawa wygląda prosto: ot, więzień wstrzykuje sobie kał lub ślinę w brzuch, rękę albo nogę, wbija igły w oczy lub sypie w nie tarte szkło, smaruje się pastą do podłogi i podpala, przybija penisa do drewnianego stołka, rozcina żyły, połyka łyżki, pałki od wiader, druty. Sam sobie winien, zwariował, normalny człowiek takich rzeczy nie robi!

Wracałem z widzenia z moim obrońcą. Na przeciw prowadzono młodego więźnia. Wyglądał na 16-17 lat. Posuwał się wolno czepiając się ścian. Eskortujący mnie strażnik chichotał:

— Nasypał sobie tłuczonego szkła w ślepią. Już nie będzie widział.

Dlaczego ten chłopak to zrobił?

Każdy sposób samookaleczania się ma swoją nazwę: *zasyпка, połyk, wstrzyk, wbitka*. Każdemu towarzyszy bogata wiedza „fachowa”, dotycząca najsprawniejszego i najmniej bolesnego jego przeprowadzenia. Połyk jest najczęstszą, można powiedzieć, klasyczną metodą samouszkodzenia się więźniów. *Połykacz* wchodzi najczęściej na stołek, odchyła głowę maksymalnie do tyłu i stara się jak najgłębiej włożyć do gardła połykany przedmiot, z reguły metalowy, o długości 10-20 cm. Nie może być za krótki, bo zostanie wydalony z kałem, ani za długi, bo „nie wejdzie”. Następnie połykacz zeskakuje ze stołka, a łykany przedmiot wbija się siłą bezwładności w gardło i schodzi do przełyku, aby potem powędrować w kierunku żołądka. Czasem trzeba tę operację powtórzyć i to niejednemu raz; na przemian połykacz ponawia więc próby i wymiotuje. Potem najczęściej trafia do szpitala na operację, a stąd po 2-3 tygodniach

z powrotem do celi lub, rzadziej, na wolność.

W mojej celi siedział włamywacz, który budził litość. Okradał ogródki działkowe. Łupem bywały najczęściej wiadro, łopata. Pracował i pieniądze oddawał żonie. Mówił, że się jej bał. To, co kradł, miał na wódkę. Został złapany, milicjanci pobili go i zmusili do przyznania się, iż dokonał 30 włamań. To zwykła praktyka. W ten sposób MO poprawia sobie statystykę „wykrywalności” przestępstw. Zapadł wyrok — 5 lat więzienia i konfiskata mienia. Był przerażony. W nocy przy umywalce buchnął ogień. Włamywacz wysmarował się pastą do podłogi i podpalił. Zanim ugasiiliśmy ogień i otwarto drzwi, minęło sporo czasu. Zabrano go z groźnymi poparzeniami. Widać było, że stracił jedno oko.

Nie wolno lekceważyć tak powszechnych samookaleczeń! Należy pytać: jak to jest możliwe i jakie motywy mogą popychać ludzi do zadawania sobie tak strasznych cierpień i okaleczania własnego ciała. Potrzebna jest wszak do tego ogromna determinacja, rozpacz i przekonanie, że nie ma się nic do stracenia.

Samouszkodzenie jest czasem jedyną drogą, aby uciec z celi, gdzie się jest gwałconym; jedyną drogą ucieczki przed biciem, które obowiązkowo czeka każdego podejrzanego o popełnienie przestępstwa kryminalnego. Czasem „samouszkodzeniowiec” liczy na szybsze wyjście z więzienia (*zmiana środka, przerwa w karze* lub *warunkowe zwolnienie*), czasem chce zaprostestować przeciw niesprawiedliwej jego zdaniem decyzji wychowawcy lub jest po prostu chory, zaś więzienny lekarz uparcie uznaje go za symulanta. Konieczna jest wówczas demonstracja bardziej widocznych objawów choroby. Samouszkodzenie, czy okaleczenie własnego ciała jest więc czasem jedyną dającą nadzieję skuteczności drogą do uzyskania pewnych drobnych udogodnień czy tylko respektowania podstawowych praw każdego człowieka, a do takich ma formalne prawo nawet więzień w polskim więzieniu.

Ponad 2 lata spędziłem w celach z więźniami kryminalnymi. Wśród nich nieliczni zasługiwali na miano zawodowych przestępców. Pozostali — ogromna większość — trafiła za kraty w wyniku różnych przypadków będących rezultatem „realnego socjalizmu”.

Stalowa Wola, kwiecień-lipiec 1988

Strajki w Hucie Lenina i w Stoczni Gdańskiej odbiły się szerokim echem w całej Polsce. Niemal nie zauważone przeszły natomiast wydarzenia, jakie rozegrały się w Stalowej Woli. A tymczasem załoga huty, szczególnie nadzorowana i kontrolowana z racji swej przynależności do przemysłu zbrojeniowego, dwukrotnie włączyła się do protestu, jaki wstrząsnął krajem. Był to protest szczególnie dramatyczny, wynikły z narastającego konfliktu między znaczną częścią załogi, a kierownictwem przedsiębiorstwa.

Ferment zaczął się jesienią 1987 r., gdy część pracowników Huty „Stalowa Wola” postanowiła założyć NSZZ „Solidarność” obok oficjalnie działającego związku. Na ponad 15 tys. zatrudnionych 9 tys. pracowników huty pozostawało bowiem poza organizacją związkową. Wtedy to zawiązał się komitet założycielski, liczący początkowo 14, następnie zaś 28 osób, na którego czele stanął szlifierz – Wiesław Wojtas. Wkrótce potem komitet złożył wniosek o rejestrację do Sądu Wojewódzkiego w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu.

Rozprawa odbyła się 7 grudnia 1987 r. i zakończyła oddaleniem wniosku, podobnie jak to się działo z innymi wnioskami o rejestrację niezależnych związków, licznie składanymi w całym kraju. Motywacją odmowy również była taka sama. Sąd uznał, że w kombinacie funkcjonuje już jeden związek, co powinno wystarczyć załodze, zwłaszcza, że tworzenia większej liczby organizacji zakazuje czasowo ustawa o związkach zawodowych z października 1982 r.

Komitet założycielski i stojący za nimi hutnicy nie zamierzali jednak rezygnować i złożyli od-

wołanie do Sądu Najwyższego. Postanowili też nie zwlekać z podjęciem działalności, zwłaszcza, że wobec podwyżek cen u progu 1988 r. materialne położenie załogi gwałtownie się pogorszyło.

Wystąpieniem, które stało się zarzewiem konfliktu, było wydanie przez komitet założycielski w dniu 3 lutego br. oświadczenia skierowanego do dyrekcji huty i rady pracowniczej, domagającego się podwyższenia zarobków pracowniczych o 20 tys. zł miesięcznie na osobę. Spotkanie w prywatnym mieszkaniu, na którym uzgodniono ostateczną treść oświadczenia, przerwane zostało jednak wtargnięciem funkcjonariuszy SB oraz zatrzymaniem czterech członków komitetu założycielskiego, a mianowicie Wiesława Turasza, Wiesława Podsiadło, Michała Rostka i Władysława Liwaka. Próba przesłuchania zatrzymanych nie dała rezultatów, wszyscy odmawiali odpowiedzi na zadawane im pytania i zostali ostatecznie zwolnieni.

Za to w kombinacie rozpoczęło się istne polowanie na czarownicę. Przesłuchiwano działaczy i sympatyków „Solidarności”, próbowano wymuszać podpisywanie zobowiązań o współpracy ze służbą bezpieczeństwa, straszono zwolnieniami. Powoływano się też na to, że huta pracuje na potrzeby przemysłu zbrojeniowego, z czym wiąże się szczególne wymagania i rygory obowiązujące pracowników. Muszą oni przede wszystkim wykazywać się odpowiednią postawą „polityczno-moralną”, zdyscyplinowaniem, nie przysługuje im też prawo do strajków.

W tym okresie doszło do spotkania prezydenta miasta Stalowa Wola z członkami komitetu założycielskiego. Nie przyniosło ono żadnych re-

zultatów. Prezydent oświadczył, że związkowcy działają nielegalnie, przypominając o grożącej im odpowiedzialności, na co odpowiedzieli, że są funkcjonującym legalnie komitetem założycielskim. Wkrótce potem szykany nasiliły się. Dwóch członków komitetu założycielskiego, Wiesława Gajdę i Józefa Serafina przeniesiono karnie na inne wydziały, co łączyło się ze znacznym obniżeniem zarobków, dwóch innych — Wiesława Wojtasa, przewodniczącego komitetu założycielskiego i Władysława Liwaka, radcę prawnego tegoż komitetu, postawiono przed kolegium do spraw wykroczeń pod zarzutem udziału w nielegalnej organizacji i ukarano grzywną. W tym samym czasie odbyła się rozprawa przed Sądem Najwyższym, zakończona prawomocnym oddaleniem wniosku o rejestrację NSZZ „Solidarność”.

Dla członków komitetu założycielskiego i popierających ich hutników rozpoczęły się teraz czarne dni. Dyrekcja wypowiedziała im zdecydowaną walkę. Organizowano zebrania na wydziałach, na których straszono pracowników zwolnieniami za nielegalną działalność związkową, roztozczono ścisły nadzór nad członkami komitetu założycielskiego do tego stopnia, że trudno im było swobodnie poruszać się po terenie kombinatu. Byli wielokrotnie rewidowani przez straż przemysłową. Atmosferę w zakładzie charakteryzuje komunikat o represjach, w którym członkowie komitetu założycielskiego wzywają dyrekcję do ich zaniechania. „Powyższe działania administracji są bezprawne — czytamy w nim — a ponadto dezorganizują pracę, wprowadzając strach i zamęt... Wielu pracowników nie wykonuje normalnej pracy ze względu na oddalenie ich do śledzenia innych. W tej sytuacji oświadczamy, że w przypadku niezaprzestania w/w działań podejmiemy statutowe środki obrony.”

Tymczasem dyrekcja podjęła pierwszą próbę pozbycia się W. Wojtasa, który złamał nogę i przez pewien czas korzystał ze zwolnienia lekarskiego. Gdy komisja lekarska uznała go za zdrowego, decyzję tę anulował dyrektor podległego kombinatu i Zespołu Opieki Zdrowotnej, lek. M. Paluch, sugerując, że 30-letni hutnik powinien przejść na rentę inwalidzką. W. Wojtas odmówił jednak stawienia się przed specjalną komisją powołaną przez M. Palucha w celu ponownego przeprowadzenia badań, a ten ostatni z kolei nie wyraził zgody na zbadanie hutnika w niezależnej od huty klinice chirurgicznej. Sprawa przycichała więc, a niedoszły inwalida pozostał w pracy, ale

nie uniknął nowych szykan. W dniu 18 marca przeniesiono go na inny wydział, przydzielając znacznie cięższą i gorzej płatną pracę. Nowy rodzaj pracy trzeba też było wykonywać na stojąco, co świadczyło o szczególnej złośliwości przełożonych. Liczono, że W. Wojtas będzie zmuszony do rezygnacji z pracy z powodu stanu swojej nogi, ale on odwołał się tylko do sądu pracy o przywrócenie na poprzednie stanowisko. Do rozstrzygnięcia tej sprawy nigdy nie doszło. Przerwały ją inne wypadki.

Wobec pogarszającej się sytuacji w hucie, jak również nieuwzględnienia postulatów płacowych wysuwanych przez komitet założycielski „Solidarność” i popieranych przez załogę, w dniu 21 kwietnia przed budynkiem dyrekcji odbył się wiec, w którym wzięło udział 5 tys. ludzi. Do zebranych przemówił Wiesław Wojtas. Wysunięto dwa postulaty: natychmiastowego zaniechania represji wobec członków komitetu założycielskiego „Solidarność” oraz podwyżki płac o 20 tys. zł dla każdego pracującego. W razie niespełnienia tych żądań hutnicy zapowiedzieli strajk. Oczywiście nikt z dyrekcji nie pojawił się, by podjąć rozmowy z zebranymi.

W następnych dniach w kombinacie panowała napięta atmosfera. Działacze związkowi rozrzucali ulotki zapowiadając akcję protestacyjną, dyrekcja ze swej strony nadal próbowała zastraszać pracowników. Postulatów oczywiście nie spełniono, co w dniu 24 kwietnia doprowadziło do ogłoszenia pogotowia strajkowego. W tym samym dniu zwolniono dyscyplinarnie W. Wojtasa i W. Turasza, który wyróżnił się aktywnością podczas wiecu. W następnych dniach kierownictwo starało się uspokoić wzburzone nastroje wśród załogi. Stosowano przy tym metodę kija i marchewki. Rolę marchewki spełniał komunikat sygnalizujący podwyżkę płac. Kija — zapowiedzi represji w przypadku wybuchu strajku. W dniu 28 kwietnia niespodziewanie odebrano przepustki uprawniające do wchodzenia do kombinatu 300 wytypowanym pracownikom, chcąc odciąć ich od załogi. Mieli udać się na zorganizowane nagle szkolenie, poświęcone reformie gospodarczej, poza Stalową Wolę. Większość pojechała w obawie przed utratą pracy w razie odmowy.

Pomimo to w dniu 29 kwietnia rozpoczął się strajk. O godzinie 6.45 na dziedzińcu kombinatu zgromadziło się 4 tys. hutników. Zza bramy, przez którą nie chciano ich przepuścić (huta była otoczona przez siły porządkowe) towarzyszyła im

grupa około 60 osób, które odmówiły wyjazdu na szkolenie i chciały przyłączyć się do protestujących. Zebrani udali się pod budynek dyrekcji. Ogłoszono też postulaty. Pracownicy domagali się uznania NSZZ „Solidarność”, podwyżki płac, przywrócenia do pracy W. Wojtasa i W. Turasza, zaprzestania represji wobec działaczy „Solidarności” oraz zagwarantowania na piśmie, że nikt nie będzie zwolniony z pracy za udział w strajku. Rozmowy z zebranymi podjęli dwaj dyrektorzy kombinatu, B. Ryba i M. Czernecki, odpowiedzialni za sprawy pracownicze. Odmówili jednak przyjęcia postulatów załogi grożąc represjami. Wówczas strajkujący rozpoczęli obchodzenie oddziałów. Część hutników przyłączyła się do nich, na co dyrekcja zareagowała poleceniem zamknięcia bram wewnętrznych, pozbawiając ludzi możliwości swobodnego poruszania się. Przez głośniki nadawano też komunikaty ostrzegające przed przyłączaniem się do strajku.

Po południu do zakładu nie wpuszczono drugiej zmiany. Hutę Stalowa Wola otaczał kordon milicji i ZOMO. Wieczorem około 1000 osób zdecydowało się na podjęcie strajku okupacyjnego, pozostając na noc w zakładzie.

Następnego dnia nie wpuszczono do huty również pierwszej zmiany. Stan oblężenia trwał. Od wczesnych godzin nad hutą krążył helikopter, siejąc niepokój, a dyrekcja w swych komunikatach straszyla siłowym rozwiązaniem konfliktu. Nastroje dodatkowo pogorszyła wiadomość, że w nocy ZOMO-wcy i funkcjonariusze MO wyprowadzili z zakładowego domu kultury, położonego poza terenem kombinatu, 60-osobową grupę hutników, z przewodniczącym Zarządu Regionu Stanisławem Krupką. Byli to ci, którzy odmówili udziału w szkoleniu. Nie mogąc przedostać się do huty, okupowali dom kultury, wyrażając poparcie dla strajkujących i domagając się rozmów z dyrekcją.

Pomimo zwanego oblężenia huty kilkaset osób zdołało przedostać się na jej teren, sobie tylko znanymi przejściami. Liczba osób biorąca udział w strajku wzrosła do 1500. Strajkujący urządzili zebranie, na które przyszedł ogólnie szanowany przewodniczący rady robotniczej, Stanisław Bakoński. Strajkujący, którzy z jego pojawieniem się wiąжали jakieś nadzieje, doznali srogiego zawodu. St. Bakoński nie miał strajkującym nic do powiedzenia od siebie i ograniczył się jedynie do przekazania stanowiska dyrekcji, bynajmniej nie skłonnej do ustępstw. Ustami przewodniczącego

rady pracowniczej dyrekcja raz jeszcze wzywała hutników do zakończenia strajku, zapewniając równocześnie uwzględnienie postulatów płacowych. O ustępstwach wobec innych żądań, w tym również ponownego przyjęcia W. Wojtasa i W. Turasza nie było jednak mowy, a z wystąpienia St. Bakońskiego wynikało, że załoga powinna zrezygnować z upominania się o nich. Przewodniczący zapowiedział, że w razie kontynuowania strajku, wszyscy biorący w nim udział utracą pracę. Nie omieszczał też poinformować zgromadzonych, niezgodnie z prawdą, o sytuacji w kraju, zapewniając ich, że wszędzie panuje absolutny spokój.

Wystąpienie St. Bakońskiego wywarło deprymujący wpływ na strajkujących. W chwilę potem dyrekcja wydała komunikat zapewniający na piśmie, że ci, którzy opuszczą hutę nie zostaną zwolnieni. Równocześnie niektórzy majstrowie i kierownicy wydziałów, współpracując z dyrekcją, a także w wprowadzeniu do kombinatu esbecy w cywilnych ubraniach prowadzili pseudo-przyjacielskie rozmowy z hutnikami, tłumacząc im, aby nie ściągali sobie na głowę niepotrzebnych kłopotów. Stalowa Wola jest niewielkim miastem i poza kombinatem o pracę trudno. Te łagodne perswazyje, utrzymane niby to w życzliwym tonie, okazały się bardziej owocne od gróźb.

Ludzie zaczęli tracić nadzieję na skuteczność strajku i grupkami opuszczali hutę. Po godzinie 12-tej z 1500 strajkujących pozostało jedynie 70 osób. Wtedy to pod bramą pojawił się dyr. Pawełczak w towarzystwie komendanta MO w Stalowej Woli i przedstawiciela Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Tarnobrzegu. Wszyscy trzej sypali zapewnieniami, że represji nie będzie. Po paru godzinach hutnicy zdecydowali się zakończyć strajk. Wyszli zwartą grupą, jak uczynili to w parę dni później stoczniowcy gdańscy, udając się do kościoła Matki Bożej Królowej Polski.

Dyrekcja dotrzymała swych obietnic tylko pod jednym względem. Rzeczywiście doszło do podwyżki płac w wysokości 22.300 zł na osobę, czyli nieco więcej, niż żądali hutnicy. Niektórzy pracownicy biorący udział w akcji protestacyjnej nie uniknęli jednak szykan i przykrości. Posypały się na nich nagany i upomnienia za samowolne opuszczenie stanowisk pracy w dniach strajku. Równocześnie kierownictwo podjęło akcję zbierania podpisów pod tzw. „lojalkami”, motywując taką potrzebę przynależnością kombinatu do

przemysłu zbrojeniowego. Operowano argumentem, że kto odmówi podpisania lojalności straci zaufanie konieczne do pracy w przemyśle zbrojeniowym. Treść lojalności zawierała zobowiązanie do niepodejmowania w przyszłości żadnych akcji protestacyjnych, a także zawierała upokarzające dla wielu sformułowanie o odcięciu się od strajku. Oczywiście nie wszyscy hutnicy godzili się na podpisywanie tego dokumentu, co doprowadziło do zwolnień. Ofiarą ich padło 5 członków komitetu założycielskiego „Solidarności”: Waldemar Dziura, Wiesław Podsiadło, Roman Sudoł, Władysław Liwak i Krzysztof Dębski. Ze wszystkimi rozwiązano umowę o pracę ze skutkiem natychmiastowym, zarzucając im samowolne porzucenie stanowisk pracy. Wszyscy zwolnieni, podobnie zresztą jak wcześniej W. Wojtas i W. Turasz odwołali się do sądu pracy, domagając się przywrócenia na poprzednie stanowiska.

Zwolnienie pięciu członków komitetu założycielskiego pogłębiło złe nastroje panujące po strajku, który załoga uznała za przegrany, pomimo otrzymania podwyżki. Rozpoczęły się protesty w obronie zwolnionych, ujął się też za nimi samorząd pracowniczy, uważając, że dyrekcja nie dotrzymała swych przeliczeń danych na piśmie. Doprowadziło to do zebrania z udziałem dyrekcji, które nie przyniosło jednak żadnych wyników. Kierownictwo upierało się, że warunkiem ponownego przyjęcia pięciu wyrzuconych jest podpisanie przez nich oświadczeń o lojalności, na co żaden nie wyraził zgody. O powrocie W. Wojtasa i W. Turasza do huty przedstawiciele dyrekcji nie chcieli nawet słyszeć.

Poszukiwanie satysfakcji na drodze sądowej, na którą wystąpili wszyscy zwolnieni dyscyplinarnie również nie rokowało żadnych szans. Rozprawy prowadzono stronnictwo i wielokrotnie odraczano, ciągnięto je przy tym przez wiele godzin, pragnąc zmęczyć i zniechęcić powodów. Pewnego dnia po dwunastogodzinnej rozprawie prowadzonej bez przerwy zasnął jeden z ławników, co było niezamierzonym efektem poczyną sądu. Wszystkim kompletem orzekającym w sprawach zwolnionych hutników przewodniczył sędzia Stefan Ulanicki, brat rzecznika prasowego huty, człowieka całkowicie dyspozycyjnego wobec dyrekcji. W mieście takim jak Stalowa Wola, stało się to wkrótce ogólnie wiadome, co nie tylko zachwiało do reszty wiarę w szansę na bezstronne rozstrzygnięcie sporów, lecz sprawiło, że ludzie po prostu zaczęli wyśmiewać się z sądu.

Pomimo wszystko hutnicy nie zrezygnowali z upominania się o zwolnionych z pracy. Ponad 2 tys. osób podpisało w ich obronie petycję do dyrekcji i rady pracowniczej, domagając się powrotu kolegów do huty. W mieście zaczęły ukazywać się ulotki i transparenty w obronie skrzywdzonych. W dniu 7 lipca pod budynkiem dyrekcji znów odbył się wiec. Z obłożonego przez tłum biura nikt nie wyszedł jednak, by porozmawiać z pracownikami. Wtedy padła, przyjęta oklaskami propozycja, aby zorganizować strajk w czasie wizyty M. Gorbaczowa. Zebrani uradzili też podjęcie jednej jeszcze próby w celu skruszenia uporu dyrekcji. Siedmiu zwolnionych miało następnego dnia udać się do kadr w celu zgłoszenia swej gotowości do pracy. Próba ta zakończyła się wyprowadzeniem ich za bramę kombinatu.

W dniu 11 lipca, kiedy to witano M. Gorbaczowa na warszawskim lotnisku Okęcie, w ośrodku badawczo-rozwojowym huty rozpoczął się strajk. Inne wydziały jednak pracowały. Wieczorem, nieoczekiwanie dla mieszkańców Stalowej Woli, ZOMO i milicja otoczyły kordonem kościół Matki Bożej Królowej Polski, gdzie odbywała się msza. Po wyjściu wiernych rozpoczęło się prawdziwe polowanie. Zomowcy i milicjanci legitymowali ludzi, spisywali ich personalia, szereg osób zatrzymano. Około 50 uczestników mszy, wraz z członkami komitetu założycielskiego i księżmi, schroniło się w domu katechetycznym, gdzie oczekali obławy.

Wydarzenie to wzmogło nastroje frustracji i buntu zarówno wśród hutników jak i mieszkańców miasta. Akcja podjęta nazajutrz przez dyrekcję i zmierzająca do uspokojenia atmosfery nie dała wyników. Podczas zebrania na wydziałach informowano pracowników, niezgodnie zresztą z prawdą, że sprawa siódemki jest już załatwiona, zapewniając równie kłamliwie, że huta wypłaca im pobory za okres pozostawiania bez pracy. Równocześnie kuszone podniesieniem nagród jubileuszowych, dodatków stażowych i innych, jeżeli tylko w hucie zapanuje spokój.

Następnego dnia w ośrodku rozwojowo-badawczym utworzono komitet strajkowy, na którego czele stanął Ignacy Dziura (nie mylić z Waldemarem, członkiem komitetu założycielskiego). Na teren kombinatu udało się przedostać kilku zwolnionym hutnikom, a mianowicie W. Turaszowi, Wł. Liwakowi, R. Sudołowi i W. Dziurze, których wkrótce zresztą zatrzymała i wyprowadziła za bramę straż przemysłowa. Rano rozeszła się też

wiadomość o zatrzymaniu przewodniczącego zarządu regionu, Stanisława Krupki, pracownika narzędziowni, co sprawiło, że wydział ten rozpoczął strajk, do którego przyłączyła się też nowa kuźnia. Na innych wydziałach, które nie podjęły strajku, atmosfera była niespokojna, co zakłócało normalny rytm pracy. Trzeba jednak powiedzieć otwarcie, że akcja strajkowa objęła zaledwie część pracowników. Wielomiesięczna akcja zastraszenia, przenoszenia na gorsze stanowiska, kary dyscyplinarne, zwolnienia i nieustanna inwigilacja załogi zrobiły swoje. Ludzie czuli się zagrożeni i nie wierzyli w skuteczność protestu.

Po krótkim czasie Stanisława Krupkę zwolniono i narzędziownia podjęła pracę, domagając się jednak rozmów z dyrekcją. Od akcji strajkowej odstąpiła też nowa kuźnia. Pracownicy ośrodka badawczo-rozwojowego w liczbie około 1 tys. osób, byli jednak zdeterminowani i nie zareagowali na zapowiedzi siłowego rozwiązania konfliktu. „Niech nas ZOMO-wcy wyniosą” — oświadczył Ignacy Dziura. Sformułowano też postulaty pod adresem dyrekcji. Tym razem nie miały one w ogóle charakteru ekonomicznego. Strajkujący domagali się przywrócenia do pracy swych siedmiu kolegów, zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim strajkującym i pozostawienia ich na tych samych stanowiskach oraz zaprzestania represji wobec hutników. W odpowiedzi dyrekcja poleciła odciąć strajkujących od stołówki, kiosków z żywnością, szatni, sanitariatów i telefonu.

Wówczas, gdy wydawało się już, że jakkolwiek kompromis nie ma szans, dyrekcja nagle zmiękła. Być może przyczyniła się do tego historyczna wizyta i obawa przed skandalem. Po południu rozpoczęły się rozmowy, które podjął St. Krupka wraz z grupą pracowników narzędziowni. Dyrekcja reprezentowana przez dyr. Kapustę zgodziła się również na udział w pertraktacjach W. Wojtasa, R. Sudoła, Wł. Liwaka i W. Dziury. Początkowo stanowiska obu stron wydawały się nieprzejezdne. Dyr. Kapusta upierał się, że nie może przywrócić do pracy w zakładach zbrojeniowych osób nie budzących zaufania, przedstawiciele załogi zapowiadali wezwanie do strajku solidarnościowego innych hut w Polsce.

Wieczorem gruchnęły pogłoski, iż mimo wszystko zarysowują się szanse na zawarcie porozumienia. Okazały się prawdziwe. Dyrekcja zgodziła się przywrócić do pracy pięciu zwolnionych, zaś W. Wojtasa i W. Turaszę zatrudnić w spółdzielni budowlanej, podległej kombinatowi, a

także zaniechać represji. Co najciekawsze, natchmiast, pomimo późnej pory, zredagowano pisma, które dostarczono przywróconej do pracy piątce. W pismach tych, podpisanych przez nieustraszonego dotąd dyrektora M. Czerneckiego, anulowano decyzje o zwolnieniu ze skutkiem natchmiastowym, zapewniono częściową wypłatę wynagrodzeń za okres pozostawiania bez pracy i przywracano na poprzednie stanowiska, chociaż nie wszystkich. W. Dziurę i K. Dębskiego przeniesiono na inne wydziały. Pozostali dwaj, Wojtas i Turasz, musieli zadowolić się ustnymi zapewnieniami dyr. Kapusty, że zostaną przyjęci do spółdzielni budowlanej z perspektywą późniejszego powrotu do huty. Pisma angażujące wręczono w dzień po zakończeniu strajku.

Strajk zakończył się więc pyrrusowym zwycięstwem, podniósł jednak na duchu załogę. Tym razem nowych zwolnień nie było. W Stalowej Woli zapanował spokój. W parę dni po zakończeniu strajku, 19 lipca br. w prasie centralnej ukazał się komunikat PAP. Zawierał oświadczenie rzecznika prasowego huty zapewniając opinię publiczną, że w kombinacie nie było żadnego strajku, a tylko grupa osób związana ze strukturami „Solidarności” bezskutecznie usiłowała siać niepokój. Ustępstw ze strony dyrekcji również nie było. W Stalowej Woli wraca nowe.



Prywatne rozmyślenia

I.

Jeszcze nigdy w powojennej historii Europy nie było dogodniejszej sytuacji dla nowego Rapallo, niż dzisiaj. Awanse, jakie czyni Moskwa wobec Bonn, przy całkowicie jasnej motywacji i politycznej i gospodarczej są chwilami zaskakujące, gdyż łamią całkowicie dotychczasowe reguły gry. Najważniejsza zmiana, to traktowanie Republiki Federalnej Niemiec jako samodzielnego podmiotu politycznego, którego postawa i działania będą mieć duży wpływ na losy Europy i świata. Druga – rezygnacja z tezy o istnieniu narodu NRD i uznanie banalnej prawdy, iż istnieje jeden naród niemiecki, cierpiący wskutek podziału. Zabiegi te mniej mają wspólnego z „głównością” traktowaną jako odwrót od schematów wroga klasowego i bastionu imperializmu, od politycznej mitologii w stronę realizmu; bardziej chodzi tutaj o udział potężnej i bardzo stabilnej gospodarki zachodnio-niemieckiej w przebudowie i unowocześnieniu sowieckiej ekonomii.

Wspomniałem o Rapallo – ten traktat był porozumieniem dwóch izolowanych w Europie państw, z których jedno przegrało wojnę, a drugie ukonstytuowało się na wrociej, rewolucyjnej ideologii, traktatem praktycznie wymierzonym przeciw wszystkim pozostałym. Gdyby dziś doszło do nowego Rapallo, jego ofiarą najpierw byłby samostanny byt państwowy NRD, a w drugiej kolejności Polska. Nie trzeba być specjalnie przenikliwym, żeby dostrzec szansę, jaką mogłaby dać narodowym interesom Niemców sytuacja wewnętrzna w Związku Sowieckim. Dlatego jeszcze większe zdumienie niż zdecydowana zmiana polityki sowieckiej wobec RFN budzi niezmienna polityka Warszawy wobec Bonn. Już w tej chwili Polska ma – może za wyjątkiem Rumunii – najslabiej rozwi-

nięte stosunki z RFN ze wszystkich państw Układu Warszawskiego.

W nieskończoność toczą się dyskusje w grupach roboczych powołanych po styczniowej wizycie ministra Genschera w Warszawie i wciąż bez żadnych rezultatów – wygórowanym polskim żądaniom finansowym (nawet porozumienie o wymianie młodzieżowej rozbija się o żądanie strony polskiej, by całość kosztów ponosiły Niemcy Zachodnie) towarzyszy nieustępliwość w kwestiach, co do których sternicy polskiej polityki zagranicznej są przekonani, że to najwyższej wagi kwestie polityczne – czysty ekstrakt substancji polskiego interesu narodowego. Te sporne kwestie uważane za polityczne, to przede wszystkim nazewnictwo miejscowości oraz fakt istnienia bądź nieistnienia niemieckiej mniejszości narodowej w PRL.

W roku 1992 faktem stać się ma zjednoczona Europa, znikną granice, kontrole, ograniczenia, powstanie, poza wszystkim innym, tygiel kulturowy, w którym żywiej jeszcze niż dotąd krążyć będą, wymieniać się i mieszać wartości stworzone przez poszczególne narody, a tymczasem w Polsce, w ramach odgórnie sterowanej ksenofobii zastanawiać się trzeba, czy Wrocław ma prawo nazywać się po niemiecku Breslau i czy, jeśli ktoś chce, to może modlić się i spowiadać po niemiecku. Jest to zdrowa porcja obłądu, praktykowanego przez sieroty po Dmowskim, uważające się na dodatek za czołowy oddział klasy robotniczej. Usunięto ze stanowiska ministra spraw zagranicznych Mariana Orzechowskiego i na jego miejsce postawiono byłego ambasadora w Bonn, Olechowskiego, który w odróżnieniu od swego poprzednika jest człowiekiem kulturalnym i posiada znajomość języków, w tym i niemieckiego. Ale czy to coś pomoże, skoro – jak napisał w jednej z kores-

pondencji Stefan Dietrich na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — politykę wobec Niemiec rozstrzyga się w Belwederze. I skoro — dodajmy — jest to polityka wyraźnie prowadzona przez porucznika zwiadu, walczącego nadal z hitlerowskim najeźdźcą.

Tegoroczną nagrodę prezesa Radiokomitetu dostał niejaki Jan W. Gadomski — za wybitne osiągnięcia w dziedzinie publicystyki międzynarodowej. Głównym zajęciem laureata jest tropienie w RFN odradzającego się szowinizmu, wielkoniemieckiego nacjonalizmu i tym podobnych grzechów głównych. Gdyby ktoś w Niemczech napisał o Wojnie (Ryszardzie) to, co Gadomski wypisuje o Dregerze, doszłoby do odwołania ambasadora i obniżenia rangi stosunków dyplomatycznych. Ale w Bonn nikt na szczęście nie czyta Gadomskiego (oprócz mnie oczywiście). Kanclerz Kohl na ostatniej przed wakacjami konferencji prasowej oświadczył, że mimo wielkich trudności, na jakie natrafiają rokowania polsko-niemieckie nie traci nadziei, iż wkrótce będzie mógł pojechać do Warszawy. W ten sposób Kohl odrzucił zastrzeżenia tych, którzy uważali, iż szef zachodnio-niemieckiego rządu nie powinien jechać do Polski w 50-tą rocznicę wybuchu wojny, gdyż mogłoby to stworzyć wrażenie, iż podróż ma charakter pokutny.

I oto mamy całą różnicę, o którą rozbijają się jak dotąd próby ustalenia stosunków polsko-niemieckich przynajmniej na takim samym poziomie, jaki osiągnęła RFN w stosunkach z Węgrami. Z jednej strony doktryna polityczna oparta na wspólnocie europejskiej kultury i skierowana ku przyszłości, z drugiej — bitwa pod Grunwaldem, Wał Pomorski, pokazywanie ran narodowych i nadzieja, że bezwarunkowo zostaną zalepione nowymi kredytami.

2.

Teraz jest taka moda, że wszyscy wspominają Gomułkę. Kto go raz widział — pisze wspomnienie. Nie chcę być gorszy. Też widziałem Gomułkę i też tylko raz. Gdzieś chyba w 1962 albo 1963 roku brałem udział jako statysta — w centralnej akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, za co dostałem okrągłe 100 złotych — wówczas na studencką kieszeń bardzo dużo pieniędzy. Ubrano mnie w sznyel, sukienną czapkę z czubkiem i czerwoną gwiazdą, do ręki dano karabin z bagnetem i tak stałem na scenie przez

dobre dwie godziny. W pierwszym rządzie Sali Kongresowej siedziała cała śmietanka partyjno-rządowa z Gomułką na czele, Siemion — któżby się lepiej nadawał — recytował Majakowskiego. W pewnej chwili naszła mnie szalona myśl, żeby wymierzyć z trzymanej w ręku atrapy karabinu w Gomułkę. Dobry kwadrans walczyć musiałem z tą natrętną myślą. Dowcip byłby znakomity, ale myślę, że nikt z nas na scenie, ani Siemion, ani moi koledzy poprzebierani za komisarzy i krasnoarmiejców nie przeżyłby tego żartu. Później kurtyna się zasunęła i poszliśmy do domu — Gomułka nieświadom, że uniknął o włos podstępnego zamachu.

Natomiast bardzo ładną anegdotę o I sekretarzu powiedział mi pan Stanisław Dobrowolski, były ambasador PRL najpierw w Grecji, a później w Danii. Otóż Gomułka w drodze na obrady Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku zatrzymał się na jeden dzień w Kopenhadze i wyraził życzenie odwiedzenia sklepu z zabawkami, gdzie chciał kupić prezent dla wnuczki. Policja duńska opróżniła z kientów i zaryglowała największy magazyn zabawkarski w mieście. Gomułka spędził tam dwie godziny — pokazywano mu zdalnie sterowane samochody na baterie, latające modele samolotów, lalki chodzące i mrugające, kolejki elektryczne. Decyzja była trudna. Szef rządzącej partii w rozwiniętym kraju przemysłowym długo się namyślał i wreszcie wybrał drewnianego motyla na kółkach, który popychany na patyku składał i rozkładał skrzydła.

Ten sam ambasador Dobrowolski opowiedział mi także zaskakującą anegdotę o Mieczysławie Moczarze. Moczar był przez dwa tygodnie w Danii na zaproszenie Duńskiej Partii Komunistycznej. Z ramienia ambasady zajmował się nim attaché wojskowy, który po wyjeździe generała Moczara — jak go nazywał — przyszedł złożyć ambasadorowi raport z pobytu. Opowiedział, gdzie Moczar był i z kim się spotkał i wreszcie dodał uwagę zgłoś prywatną — ten generał to dziwny człowiek. Cały ostatni dzień ciągał mnie po sklepie, oglądał mnóstwo rzeczy, porównywał ceny i wreszcie powiedział — wiecie co, pułkowniku, jednak najbardziej oplaca się przywieźć do Polski dolary.

3.

W samolocie LOT-u z Nowego Jorku do Warszawy podróżny zapytuje atrakcyjną sąsiad-

kę, jak długo była w Stanach Zjednoczonych i co tam robiła.

— Byłam na kongresie seksuologów — odpowiada pani.

— I jakie ustalenie — chce wiedzieć podróżny.

— Doszliśmy do wniosku, że najlepszymi kochankami są Żydzi i Indianie.

Pan wstaje i kłania się szarmancko.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — mówi — Winnetou Salzmanm jestem.

4.

Jak powszechnie wiadomo, ograniczono w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zakres działalności Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli po ludzku mówiąc działanie cenzury. Podobno — tak zapewnia przynajmniej prezes Kosicki, cenzura zajmuje się wyłącznie strzeżeniem tajemnic państwowych i wojskowych oraz przestrzeganiem dogmatu o przyjaźni ze Związkiem Sowieckim. Cała reszta — łącznie z czystością ideologiczną wyłączone została spod kontroli aparatu cenzorskiego.

Temu zatrwającemu w skutkach rozprężeniu postanowiła stanowczo zapobiec Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”, zatrudniająca 90% dziennikarzy piszących w Polsce. RSW wprowadziła mianowicie system punktowania dziennikarzy. Kto ma więcej punktów, dostaje więcej pieniędzy. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że w punktacji liczą się takie rzeczy jak na przykład popularność u czytelników, znajomość tematyki, sprawność warsztatowa.

Podstawą punktacji jest skłonność poszczególnych żurnalistów do rezygnacji z ich sumienia zawodowego i zwykłego. Otóż wysoko punktowani są dziennikarze, którzy: godzą się na usunięcie z druku całego tekstu lub jego fragmentu, mimo iż nie ma co do niego zastrzeżeń cenzuralnych; którzy gotowi są sygnować własnym nazwiskiem tekst, z którego wymową osobiście się nie zgadzają; którzy wyrażają zgodę na takie przeredagowanie własnego tekstu, by był on egzemplikacją tezy dokładnie odwrotnej niż pierwotnie założyli. Innymi słowy, najpierw punkty a potem pieniądze dostają najgorsze szmaty, wycirusy dziennikarskie, skłonne za miskę ochłapów uprawiać propagandę w najgorszym stalinowskim stylu.

Co najciekawsze, regulamin punktowy RSW został bez protestu przyjęty przez Stowarzyszenie

Dziennikarzy PRL (zwane popularnie Esdupe-rel), organizację która ma wpisane w statut czuwanie nad wysokim poziomem moralnym i etycznym swoich członków.

Zapewne Urząd Główny SD PRL za tą zgodę otrzymał wysoką punktację. Myślę, że czytelnicy w Polsce powinni się teraz domagać, by przy zasadniczych artykułach na cześć reformy gospodarczej, albo przeciwko opozycji obok nazwiska autora podano również liczbę otrzymanych przez niego punktów.

5.

Jerzy Urban zaprosił się do Wolnej Europy. Jest to pomysł bardzo piękny, przypomina mi jako żywo praktykę wygłaszania odczytów na temat sytuacji w PRL przed zachodniemiecką publicznością przez korespondentów PAP i *Trybuny Ludu* w Bonn. W ten sposób osiągnany jest ideał informacyjny — ci sami ludzie informują Polaków o Niemczech Zachodnich i Niemców o Polsce. Urban doszedł do wniosku, że rzecz tę trzeba rozszerzyć i że o stanowisku władz PRL w ważnych kwestiach politycznych, gospodarczych i społecznych Polacy powinni dowiadywać się nie tylko z Polskiego Radia, ale i z radia amerykańskiego. Zdaje się, że Amerykanie przychylają się do zdania rzecznika rządu PRL, bo samozaproszenie nie zostało natychmiast przyjęte. W ten sposób pierwszy krok na drodze do tego, by jedynym źródłem informacji o Polsce było biuro rzecznika zostało zrobiony.

Znając wydajność Urbana można być pewnym, że obsłuży on nie tylko wszystkie rozgłośnie polskojęzyczne, ale i kilka obcojęzycznych. Właściwie, co to komu szkodzi. Po jakimś czasie Polacy przestaną słuchać Wolnej Europy i przerzucą się na Tiranę, gdzie, jak sądzę jednak, Urbana nie zaproszą, a cudzoziemcy nabiorą nieco fantastycznego, ale sympatycznego przekonania, że Polska jest krajem, w którym dzielny rząd, nie bacząc na przeciwności reformuje i reformuje mając poparcie znacznej większości społeczeństwa.

Ale rzecz jest bardziej skomplikowana. Urban nie wybiera się do Wolnej Europy jako reprezentant rządu, by wygłosić exposé na temat jego polityki. Wybiera się jako superarbitr, by dokonać oceny działalności sekcji polskiej. Po prostu przyłoży zasady, stanowiące podstawę wyżej przytoczonej punktacji RSW Prasa do działalności monachijskiego radia i wyjdzie mu, że Gra-

bowska i Kaczmarek nie zasługują na premię i dyplom, gdyż nie wykazują skłonności do rezygnacji z własnych przekonań, na rzecz przekonań zalecanych na obecnym etapie przez Biuro Polityczne KC PZPR.

Nie wykluczone także, że przedstawi model polskiej rozgłośni radia Wolna Europa jaki byłby pożądanym przez reżim — kilka artykułów z *Trybuny Ludu*, apel do Polaków za granicą z tak zwanej Polonii o przysyłanie pieniędzy, coś o neonazistach i odwetowcach, jakiś reportaż z bicia Murzynów w RPA, potem wywiad z członkiem ZOMO o konieczności przestrzegania ładu i porządku i na koniec wyliczenie strat poniesionych przez PRL w wyniku sankcji amerykańskich. W dzienniku światowe echa przemówienia Szałajdy. Taka rozgłoszenia mogłyby być najpierw retransmitowana przez Polskie Radio, a potem przeniesiona z Monachium do Nowego Targu, gdzie jest też klimat podgórski.

Jakoś tak w tydzień po zaproszeniu się Urbana do Monachium w telewizji zachodniemieckiej pokazano rozmowę między doradcą Gorbaczowa, Portugalowem, a znanym rosyjskim dysydem, pozbawionym obywatelstwa sowieckiego profesorem Lewem Kopelewielem. Portugalow obśpiał Kopelewa komplementami, mówiąc m.in., że zawsze był człowiekiem uczciwym i honorowym.

Oczywiście, byłoby lepiej, żeby taka rozmowa odbyła się w telewizji moskiewskiej, ale na początek dobre i to. Gdyby Urban zaproponował, że podskutkuje w Wolnej Europie na przykład z Leszkiem Kołakowskim, żeby powiedzieć zespołowi Rozgłośni, że ma ich za ludzi uczciwych, którzy starali się dobrze służyć Polsce, gdyby chciał wziąć przykład z Portugalowa...

Ale to niemożliwe, ponieważ różnica w sytuacji wewnątrz Związku Sowieckiego i wewnątrz Polski jest wprawdzie tylko jedna, ale niezbyt drobna. Otóż podczas telewizyjnej dyskusji z przedstawicielem sowieckiego aparatu władzy profesor Lew Kopelew po raz pierwszy od roku 1981 pokazał się publicznie bez znaczka „Solidarności” w klapie.

W Moskwie na czele „pieriestrojki” stoi partia, w Polsce wszystkie ruchy władz wymuszone są przez ducha zdelegalizowanego związku. Jeśli Urban chce przyjechać do Monachium, to w celu znormalizowania sytuacji — całą inicjatywę w ręce władz. Chodzi o to, by nie tylko Kopelew nie nosił więcej w klapie symbolicznego znaczka.

6.

Pogłoski o tym, jakoby rząd PRL zagroził Stanom Zjednoczonym, iż w przypadku niedopuszczenia Jerzego Urbana przed mikrofony Wolnej Europy, udostępni fale polskiego radia amerykańskiej opozycji są nieco przesadzone.

7.

Murzyn na pytanie reportera telewizji RFN, czy sądzi, iż czarny mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Oczywiście, z całą pewnością. Pod warunkiem, że zdobyłby większość głosów. ■

ZESZYTY LITERACKIE Nr 23 (LATO 1988)

W numerze 23 (LATO 1988): PROZA I POEZJA: CZESŁAW MIŁOŚZ, *Wieczór*; MIRON BIAŁOŚZEWSKI, *Pora złych snów*; TOMAS VENCLOVA, *Siedem wierszy*; ADAM ZAGAJEWSKI, *Wiersze*; ZBIGNIEW KRUSZYŃSKI, *Proza*; KONRAD W. TATAROWSKI, *Italia*. **EUROPA ŚRODKA:** JOSIF BRODSKI, *Sztuka dystansu*. **SPOJRZENIA:** LESZEK KOŁAKOWSKI, *Polityka i diabeł*. **LISTY Z PARYŻA:** WOJCIECH KAPIŃSKI, *Pamiętniki Stanisława Wachowiaka*. **ŚWIADECTWA:** JERZY STEMPOWSKI, *Listy do Józefa Czapskiego*; ZDZISŁAW BAU, *O niezwykłym występie Gombrowicza w roli Pat Leroya*; WITOLD GOMBROWICZ, *[Pat Leroy]*. **Jeszcze jeden wielki i nieznanymi.** **EMIGRACJE:** DANTE ALIGHIERI, *Raj, Pieśń XVII*; TOMAS VENCLOVA, *Zaprawa w bezużyteczności*. **Przypadek Andrieja Kurbskiego.** **WSPOMNIENIA:** JAN KOTT, *Podróż na Wschód*. **O KSIĄŻKACH:** JERZY KEMPIŃSKI, *Na rogu Brattle i Mielżyńskiego*; JAN ZIELIŃSKI, *Prawo kontrastu*. **NOTATKI. NOWE PUBLIKACJE. NOTY O AUTORACH. SOMMAIRE.**

Numer 23 *Zeszytów Literackich* ukazał się w lipcu 1988.

Do nabycia w redakcji
(CAHIERS LITTÉRAIRES, 44, rue Tiquetonne,
75002 PARIS).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przesyłką
55 FF; (US \$ 10);

poctą lotniczą 64 FF; (US \$ 11,50).

Prenumerata roczna — 185 FF; (US \$ 33,00);

poctą lotniczą 240 FF (US \$ 40,00).

Człowiek środka

Gorbaczow po Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej

O Wszechzwiązkowej Konferencji Partyjnej zwołanej przez Gorbaczowa bardzo długo rozprawiano jeszcze dobre kilka tygodni przed jej otwarciem. Komentatorzy, tak sowieccy jak i zachodni, byli zgodni co do jednego: Konferencja będzie konfrontacją sił wstecznych w Związku Sowieckim z siłami postępu. Wyznacznikiem określającym przynależność do jednej z tych kategorii miała być „pieriestrojka”. Kto za – ten postępowy, kto przeciw – ten czarna reakcja. Gazety zachodnie prześcigały się w dramatyzowaniu nadchodzącego starcia (przy dyskretnym, ale nieustającym współudziale ekipy Genseka). Konferencję Wszechzwiązkową obdarowano takimi epitetami jak: „decydująca bitwa o »pieriestrojkę«, „być albo nie być Gorbaczowa”, „ostatnia szansa Rosji” itp. Doszło nawet do kilku nieporozumień. Na przykład prasa zachodnioniemiecka nie mogła dojść do zgody, czy obrady Konferencji to „rewolucja” czy „kontrewolucja”. Podobnie było z określeniami lewica-prawica. Raz zwolennicy radykalnych reform (np. Jelcyn – były sekretarz komitetu moskiewskiego wyrzucony ze stanowiska za zbytnią gorliwość w realizacji reform) lądowali w obozie „radykalnych lewicowców”, innym razem nazywano ich „zwolennikami systemu konserwatywnego” i „orędownikami zdobyczy kapitalizmu”.

Konferencja odbyła się, bitwa została strzygnięta, „pieriestrojkę” uratowano, biurokratów i wsteczników napiętnowano, dalszą „demokratyzację” zapowiedziano, a Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich nie zmienił się ani na jotę. Konferencja nie wyszła zbyt daleko poza wzór obowiązujący wszystkie zebrania komunis-

tów w bloku wschodnim. „Głasnost” pozostawiono na wszelki wypadek w przedpokoju: obrady odbywały się za zamkniętymi drzwiami, a telewizja transmitowała jedynie mowę Gorbaczowa oraz fragmenty dyskusji. Propagandowy balon, jaki wspólnymi siłami nadęli specjaliści sowieccy i zachodni „obserwatorzy” co prawda nie pękł z hukiem, ale tak czy owak zmienił się w miękki flak. Powietrze zaczęło uchodzić już podczas mowy inauguracyjnej Genseka. Gorbaczow, nazywany przez tygodnik *Der Spiegel* „oswobodzicielem Rosji” (Befreier Russlands), odwołał prawie wszystkie tak pieczołowicie rozpowszechniane przez jego współpracowników „elementy »pieriestrojki«”. W swoim trwającym cztery i pół godziny przemówieniu wypowiedział się on przede wszystkim przeciw koncesjom na rzecz opozycji (w tym przeciwko takiej bzdurze jak system wielopartyjny), zdementował krążące pogłoski jakoby w ZSRS były możliwe zmiany granic między poszczególnymi narodowościami (vide ostatnie decyzje w sprawie Armenii), zgodził się ze swoimi przeciwnikami, iż zbyt wiele „głasnosti” nie może wyjść na zdrowie narodom sowieckim, a także, czy raczej przede wszystkim, stanął w obronie tak krytykowanego przez zwolenników „pieriestrojki”: APARATU, bez którego jakoby ludzie sowieccy nie mogliby istnieć. „Oswobodziciel Rosji” poinformował także 4991 delegatów o niedostatkach żywności na rynku nazywając je „najślabszym punktem” i „najbardziej aktualnym problemem”. W drugiej połowie przemówienia Gorbaczow przeszedł do części bardziej optymistycznej. Zdanie, które z pewnością pozwoliło tak delegatom, jak i narodom sowieckim zapomnieć o nie-

dostatkach brzmiało następująco: „My (chyba Partia? — przyp. autora) widzimy socjalizm jako system państwowy prawdziwego, realnego humanizmu, w którym człowiek jest rzeczywiście miarą wszystkich rzeczy.” By pokonać sceptycyzm niektórych delegatów I sekretarz KC KPZS dodał gromko, iż jego celem jest „cywilizacja ludzi wolnych i równoprawnych”. Na sali nie rozbrzmiały jednak tak miłe każdemu komuniście „niemiłkające i spontaniczne oklaski”. Gorbaczow nie dał jednak za wygraną i nie po raz pierwszy udowodnił, iż zna dusze własnych towarzyszy. Salla rozbrzmiała brawami, gdy Gensek przyrzekł uroczyscie, iż nie będzie przeprowadzał w partii „czystki” skierowanej przeciwko „elementom hamującym postęp”.

Gorbaczow naszkicował też kilka projektów zmian natury bardziej konkretnej, które stały się powodem paru protestów i „głosów dyskusyjnych” z sali. I ta część obrad niewiele jednak odbiegała od starego partyjnego wzorca. Propozycje Gorbaczowa dokładnie powtarzały schemat walki o władzę w partiach komunistycznych. Rzeczą powszechnie znaną jest fakt, iż w momencie, gdy jakiś przywódca partyjny nie czuje się zbyt pewnie na stołku, to czyni wszystko, by to nieprzyjemne uczucie zlikwidować. Taki też był i cel gorbaczowskich propozycji: umocnienie własnej pozycji, powiększenie zakresu władzy. Oczywiście manewry takie nie odbywają się bez kompromisów, ustępowania pola oraz przeróżnych koncesji na rzecz innych kandydatów do koryta (w prasie zachodniej nazywa się to „walką liberałów z konserwatystami”). W przypadku Gorbaczowa ceną za lepszą pozycję na stołku był odwrót od tak reklamowanej poprzednio „odnowy życia obywateli sowieckich poprzez ograniczenie samowoli aparatu”. Przepychanka między Gensekiem a większością APARATU była główną atrakcją całej Konferencji. Tylko nieliczni zachodni „obserwatorzy” zwrócili uwagę na misterność i jednocześnie bezwzględność prowadzonej gry.

Pierwszą propozycją Genseka było rozdzielenie władzy partyjnej od państwowej (pod tą ostatnią w Moskwie rozumiane są Sowiety /Rady/). Władza państwowa wybierana miałaby być do tego w wyborach tajnych z kilkoma kandydatami. Po tym bardzo postępowym projekcie Gorbaczow przeszedł do dalszych innowacji. Zapropował on powiększenie władzy własnej osoby poprzez wprowadzenie urzędu Prezydenta, który byłby przewodniczącym Najwyższego So-

wietu, głównodowodzącym Armią Czerwoną, miałby prawo „opracowywania” aktów prawnych, wysuwania kandydatów na stanowiska ministerialne oraz rozstrzygania o „kluczowych kwestiach polityki zagranicznej” państwa. Wyposażony w takie kompetencje Prezydent nie musiałby oczywiście abdykować ze stanowiska I sekretarza KC KPZS.

Że cała ta propozycja dokładnie mija się z zaproponowanym pięć minut wcześniej rozdzieleniem władzy partyjnej od państwowej? Ależ „oswobodziciel Rosji” musi mieć pole manewru, by uczyć naród demokracji! Zwolennicy Gorbaczowa wpadli w taki zachwyty, że jeden z nich (Fiodor Burlackij — przewodniczący sowieckiej komisji praw człowieka) zaproponował, by Prezydenta wybierał „cały naród” w bezpośrednich wyborach. Gorbaczow bardzo szybko przywołał zapaleńca do porządku i stwierdził, iż własny wybór na to stanowisko widzi trochę inaczej. Urząd Prezydenta miałby Gorbaczow otrzymać z rąk deputowanych zbierających się raz do roku. Spośród tego grona wyłoniono by następnie grupę 400 posłów podporządkowanych Prezydentowi i tworzących Najwyższy Sowiet.

Oczywiście tak duże zgromadzenie władzy w jednym ręku, a przede wszystkim utworzenie nowego Najwyższego Sowietu, ściśle związanego z Prezydentem zaniepokoiło niektórych towarzyszy z Biura Politycznego. Wysłunęli kontrpropozycję: zastępcami Prezydenta mieliby zostać szefowie wszystkich 15 republik, a że szefami owymi są I sekretarze partii, władza owych 400 i samego Prezydenta automatycznie zostałaby ograniczona. Zapropowano także, by ów system prezydencki rozciągnąć na resztę szczebli sowieckiej administracji: od gmin aż do najwyższych władz w republikach. Oznaczałoby to, iż tak jak Prezydent, tak samo i przewodniczący np. okręgowego Sowietu byłby sekretarzem partyjnym z gronem partyjnych zastępców. Precyzyjniejszego sposobu omotania administracji partyjnymi mackami nie powstydziliby się i sam Ojciec Narodów — Josif Wisarionowicz.

Gorbaczow jako wytrawny taktik wiedział, iż w tym interesie nie ma nic za darmo i bardzo szybko wystąpił z nową propozycją: na stanowisko przewodniczącego każdego Sowietu wysuwany byłby I sekretarz komitetu partii. Na pewien czas zapanowało zgodny spokój i gdy już wydawało się, że „rozdział władzy” zostanie zatwierdzony, Gorbaczow przypomniał sobie o własnej charyz-

mie odnowiciela i reformatora i ogłosił nową propozycję. Otóż wysuwani na stanowiska przewodniczących Sowietów Pierwsi Sekretarze musieliby poddać się procedurze „tajnych wyborów”. Jeżeli delikwent przepadłby w wyborach do Sowietu, oznaczało by to, według Gorbaczowa, iż nie nadaje się również na stanowisko I sekretarza. Tą okrężną drogą Gorbaczow usiłował powiększyć władzę Prezydenta (zachodni „obserwatorzy” mawiają ten nazwali „demokratyzacją systemu” i „odpartyjnieniem władz administracyjnych”). Kiedy jeden z delegatów nie bardzo rozumiejący owo machiavelliczne posunięcie Genseka zapytał logicznie: jakie to będą wybory, skoro I sekretarz kandydujący na przewodniczącego Sowietu jest nie tylko pierwszy ale i ostatni? — Gorbaczow stracił cierpliwość i nazwał naiwnego delegata „deterministą”, co nawet w okresie „pieriestrojki” nie wróży zbyt dobrej kariery. Także innych naiwnych i niecierpliwych Gensek przywołał z powrotem na ziemię. Gdy jeden z delegatów (dyrektor fabryki ze Stawropola) zaproponował, by zamiast bawić się różne prawne kruczki po prostu wyrzucić przeciwników reform z partii, Gorbaczow stwierdził lakonicznie, że „przez to nic się nie zmieni”.

Konferencja zakończyła się rozsądnym kompromisem między kandydatami do władzy. Gorbaczow umocnił swoją pozycję poprzez wykazanie rozsądku politycznego polegającego (od zawsze w tym systemie) na wypinaniu się na własne obietnice i żądania narodu, i został, ale zyskał sobie miano „człowieka środka”, co w komunistycznej retoryce brzmi o wiele lepiej niż „rewolucjonista” czy też, nie daj Boże, „kontrewolucjonista”. Przeszła natomiast propozycja Genseka, by I sekretarza powoływani byli na stanowiska przewodniczących Sowietów. „Obserwatorzy”, którzy zdają się każdą propozycję Gorbaczowa traktować jako krok do wprowadzenia demokracji parlamentarnej w ZSRS, ogłosili uchwalenie tego punktu jako „zwycięstwo zwolenników »pieriestrojki«”. O zastrzeżeniach biedaka ochrzczonego mianem „deterministy” nikt oczywiście nie pamięta. W sprawie wyborów na stanowiska kierownicze uzgodniono, iż na każdym szczeblu odbywać będą się wybory tajne z kilkoma kandydatami. Brzmi to ładnie, ale oczywiście od każdej reguły są wyjątki. W tym przypadku wyjątkiem jest Biuro Polityczne KC KPZS. Grono to, jak obrazowo określił to ktoś w Moskwie, nadal będzie rozmnązać się opatentowaną przez siebie metodą zwaną „kooptacją”.

Tak więc Gorbaczow nie zyskał wprawdzie wszystkiego, czego pragnął, ale osiągnął najważniejsze: od zakończenia Wszechnadzawkowej Konferencji Partyniej w Moskwie A.D. 1988 mówi się o nim jako o „człowieku środka”. A wiadomo jak niebezpieczne są wszelkie inne określenia w tym towarzystwie — pochodzące tak z lewa jak i prawa. Gorbaczow może spać spokojnie — „po środku” nic mu nie grozi.

Na konferencji tej zdarzyło się jeszcze coś godnego uwagi. Otóż po raz pierwszy oficjalnie na takim forum użyto „pieriestrojki” jako argumentu przeciwko opozycji. Gorbaczow wspominał coś o ludziach, którzy „nadużywają »pieriestrojki« do niecných celów. Wygląda na to, iż był to sygnał do zakończenia ery „burzliwego początku” i rozpoczęcia ery „konstruktywnego działania”. Pierwszymi, przeciwko którym zastosowano „pieriestrojkę” jako broń ideologiczną są Armeńscy w Karabachu. Okazało się ostatnio, iż to oni właśnie blokują „pieriestrojkę”. Ciekawe kiedy owych „blokujących” zacznie zamykać się w zakładach psychiatrycznych... ■

Dokończenie ze str. 33

Przypominam sobie choćby taki przypadek: właściciel warsztatu samochodowego produkował korby do samochodów dostawczych. Większość odbiorców to zakłady państwowe. One jednak nie mogły kupować tych wałów od prywatniarza. Zaradny prodcent znalazł komornika, przegrywał sprawę o rękomo pożyczone pieniądze. Ten komornik zajmował produkcję warsztatu na poczet owej niby-pożyczki. W ten sposób wyprodukowane wały stawały się własnością państwa i zakład państwowy mógł je nabyć. W więzieniu siedzieli właściciel warsztatu i ów komornik...

Największe zło, jakie przynosi system polityczny i społeczny stworzony przez komunistów nie jest świadome siebie i sterowane przez potężne i złowieszce centra. Ono tkwi w nim samym, w jego niewydolności, jego niesprawnych organizacjach i urządzeniach, które wytwarzają, złych mechanizmów społecznych, w brakach i niedostatku. Więzienie nie jest żadnym wyjątkiem. Koszta ponosimy my wszyscy.

6 VI 1988

Treść artykułu uzupełniliśmy o uwagi i wspomnienia jednego z polskich „notorycznych” więźniów politycznych zaznaczonych w tekście kursywą — red. ■



W polskiej prasie „pierestrojka” całą gębą. W *Polityce* z 23.07. br. zamieszczony został półstronicowy artykuł Aldony Krajeńskiej pt. „Krasnale są wolne – Pomarańczowa Alternatywa”. Opisano bez emocji i zacietrzewienia genezę tego ruchu oraz jego głównych animatorów.

Ciekawe, kiedy w prasie reżimowej ukażą się również obiektywne analizy KOR-u, KPN-u, RBOCiO oraz innych ugrupowań opozycyjnych, bo takim jest też niewątpliwie Pomarańczowa Alternatywa.

Happeningi:

„Pomarańczowa Alternatywa”

«Rewolucja krasnoludków»

Wrocław, 1.06.88

i (strona obok)

„Biała Alternatywa”

«Dzień wyborów»

Warszawa, 19.06.88

Foto:NAF DEMENTI



Rumunia: spychaczem w wieś

Banat, Transylwania, Wołoszczyzna, Mołdawia, Dobrudża. Egzotyczne nazwy, nie tak przecież odległych naddunajskich nizin czy karparskich wyżyn Rumunii. Dziś wciąż jeszcze, mimo całej swej komunistycznej nędzy, barwne krajiny, z wyjątkową w europejskiej skali ludową architekturą i wciąż żywym folklorem. Wciąż, ale jak długo jeszcze?

Decyzja już bowiem zapadła. Najpóźniej za lat kilkanaście dopełni się

dzieło despoty.

Wśród bezkresnych pól oko nie natrafi już na charakterystyczną sylwetkę drewnianej wieży wiejskiego kościółka, nie zatrzyma się na błękitnej plamie ściany chłopskiego domostwa. Szarość betonu kolchozowego osiedla stanie się kolorem *socjalistycznego oblicza* rumuńskiego rolnictwa.

Siedem do ośmiu tysięcy wiosek w całej Rumunii zostanie w najbliższej przyszłości zrównanych z ziemią. Ich mieszkańców przesiedli się do nowych *ośrodków rolno-przemysłowych* — już nie wsi, ale jeszcze nie miast. Przybędzie w Rumunii trochę ziemi pod uprawę kukurydzy, znikną za to na zawsze ślady historii i kultury tego kraju. Spychacze ruszą na domy i zagrody, pod ich gąsienicami rozsypią się w proch nagrobki na wiejskich cmentarzach. I tylko kilka skansenów, jak indiańskie rezerваты, przypominać będzie minione piękno mołdawskiej czy siedmiogrodzkiej wsi. Komentator austriackiej gazety pisze o nadchodzącej *złowieszczej rewolucji buldożerów*.

Najnowszy pomysł *conducatora* (czyli wo-

dza, tak bowiem określa Nicolae Ceaușescu rumuńska propaganda, podczas gdy jego rozgoryczeni „poddani” wolą raczej mówić o swym prezydencie *cesarescu*) nie jest bynajmniej oryginalny. Przypomina trochę agrarne fantazje kolejnych wodzów sowieckiej rewolucji, ale budzi też skojarzenia z niedawnymi poczynaniami Czerwonych Kmerów, którzy z kolei skazali na zagładę miasta deportując ich mieszkańców na wieś. Ile milionów ofiar kosztowały te pomysły czerwonych dyktatorów, trudno zliczyć. Należy się obawiać, że i tym razem może być podobnie.

Operacja określona jako

„reforma terytorialna”

zapowiedziana została w ubiegłym roku, jej szczegóły przyniosła rumuńska prasa pod koniec maja br. Do roku 2000, w trzech etapach, ma zostać zlikwidowane 7 do 13 tysięcy wsi, a mianowicie te, *które nie mają żadnych szans na dalszy rozwój*. Ich mieszkańcy zostaną przesiedleni do nowo utworzonych *ośrodków rolno-przemysłowych*, które mają zapewnić im wszelkie wygody nowoczesnego, cywilizowanego życia. Mają tam być szkoły i szpitale, domy kultury i nowoczesne osiedla, a w nich mieszkalne bloki, każdy dla kilku rodzin, każdy z łązienką (wspólną).

Już od roku 1990 mają powstać pierwsze z owych ośrodków, zaś koniec wieku i tysiąclecia uświetniony zostanie zakończeniem całej akcji. Rumunia odzyska w ten sposób 300.000 ha ziemi uprawnej, którą dziś zajmują chłopskie zagrody i domostwa, wiejskie budynki i ulice — donosi z du-

mą bukaresztańska *Scintea*.

Conducator kreśląc swój plan jakby zapominał, że wieś to nie tylko sypialnia dla robotników kolchozu; że setki tysięcy ludzi wyrwanych zostanie z miejsc, gdzie się urodzili, gdzie od wieków żyli ich przodkowie; że zostaną przemieszani, wtłoczeni do betonowych struktur *ośrodków*; że zabrane zostanie im to wszystko, co świadczy o ich przeszłości, o tradycjach, o odrębności. Ich cmentarze z grobami bliskich, ich kościoły, gdzie się modlili o lepszy los dla swych dzieci, ich gospody, gdzie tak często zrozpaczeni usiłowali utopić na dnie kieliszka swe smutki, ich domy, gdzie wśród znajomych sprzętów mogli jednak znaleźć trochę ciepła w mroźną noc zimową, choć wolno im było zapalić tylko jedną czterdziestowatową żarówkę, a temperatura wnętrza nie śmiała przekroczyć 13 stopni Celsjusza. Zostaną zamknięci w jednakowych betonowych klatkach, jak krowy w nowoczesnych fabrykach mięsa i mleka. Takich samych na nizinie Banatu, jak i na mołdawskim wyżu czy w górskich dolinach Siedmiogrodu.

A może wcale nie zapominał? Może właśnie o to chodzi?

Moi znajomi, którzy przed kilku laty wydosłali się stamtąd i dziś żyją w Austrii, nie mają cienia wątpliwości. Jedynym celem *conducatora* — twierdzą — jest

zetrzeć z powierzchni rumuńskiej ziemi

wszystko to, co świadczy, iż żyli na niej ludzie mówiący językiem innym niż rumuński. Domy, zagrody, kościoły, ale przede wszystkim cmentarze, na których XVII-wieczne nierzadko nagrobki z węgierskimi napisami dziś wciąż jeszcze przypominają dawnych mieszkańców karpackiej kotliny.

Rumuńska *przebudowa* najdotkliwiej uderzy bowiem Węgrów, Sasów, Szwabów, Austriaków, Serbów, Słowaków i Polaków (o polskich wsiach w Rumunii pisał przed kilkoma miesiącami *Tygodnik Powszechny*), czyli te wszystkie mniejszości, które już od wieków żyją w owym wielonarodowościowym kotle Siedmiogrodu czy na jego obrzeżach. Nigdy nie było to łatwe życie, również dla Rumunów, tym razem jednak, jak się zdaje, zapadł ostateczny wyrok. Szczególnie tragicznie rysuje się los owych mniejszych grup narodowościowych, których tożsamość nierozzerwalnie związana jest z wsią, tą wsią, która najdalej za dwanaście lat — jeśli ów obłąkańczy plan zostanie zrealizowany — przestanie istnieć. Już teraz zaczął się ma-

sowy exodus Sasów i Szwabów, którzy szukają schronienia w RFN i mają to szczęście, że rząd Republiki Federalnej płaci za każdego wypuszczonego poza granicę Rumunii Niemca około 8 tys. marek, co niewątpliwie jest łakomym kąskiem dla rumuńskich waldz. Po dwóch wiekach pragną wrócić do swojej ojczyzny również i Austriacy, choć Austria nie jest gotowa płacić Bukaresztowi za ich wypuszczenie.

Główne ostrze najnowszej operacji Ceaușescu jest jednak wymierzone

przeciw siedmiogrodzким Węgom,

zwanym też *Szeklerami*. To ich właśnie dotyczą najostrzejsze restrykcje od lat systematycznie wprowadzane w życie. Gorzej wiedzie się już tylko żyjącemu w Mołdawii ludowi *Csango*, liczącej ćwierć miliona mniejszości węgierskiej w Mołdawii. Pał Peter Domokos, badacz losów tej grupy narodowościowej, określił ją mianem świnek morskich, na których władze rumuńskie wypróbowują metody, które w przyszłości mogłyby zostać zastosowane przeciw Węgom w Siedmiogrodzie. *Csango* nie mają dostępu do żadnych węgierskich publikacji, ba, nie wolno im mówić po węgiersku.

W Siedmiogrodzie język węgierski nie jest wprawdzie jeszcze zakazany, ale Bukareszt czyni wszystko, by ograniczyć jego zasięg. Operacja likwidacji wsi, jeśli zostanie przeprowadzona, niewątpliwie wybitnie przysłuży się temu celowi.

Historia nie była zbyt łaskawa

dla ludów zamieszkujących tę wielką karpacką kotlinę. Pod węgierskim panowaniem w ubiegłym stuleciu to właśnie Rumunii należeli do uciskanych. Sytuacja odwróciła się po I wojnie światowej, kiedy to Siedmiogród na mocy traktatów w St. Germain (1919) i Trianon (1920) przypadł rumuńskiemu królestwu. Pierwszym atakiem przeciw mniejszości węgierskiej była reforma rolna z 1923 roku. Potem przyszedł czas łączenia szkół węgierskich z rumuńskimi. Z bez mała trzech tysięcy węgierskich szkół pod koniec I wojny światowej w 1925 r. pozostały tylko nieliczne. Szkolne podręczniki zostały „skorygowane”, zakazano importu książek i czasopism z Węgier. Skłoniło to w końcu w 1928 r. mieszkających w Rumunii Węgrów do postawienia swej sprawy na forum Ligi Narodów — jednak bez rezultatu. Sytuacja mniejszości narodowych pogorszyła się natomiast jesz-

cze bardziej wraz z pojawieniem się w latach 30-tych ugrupowań faszystowskich.

Lata powojenne

przyniosły mniejszości węgierskiej w Rumunii nadzieję. Węgrom nie udało się wprawdzie odzyskać Siedmiogrodu, gdyż alianci postanowili przywrócić granicę z Trianon, jednakże ówczesny rząd rumuński premiera Petru Grozy zobowiązał się prowadzić tolerancyjną politykę narodowościową. I faktycznie, Rumunia była w tym czasie jednym z najliberalniejszych w kwestiach narodowych państw europejskich.

To jednak miało się skończyć. Proces Laszlo Rajka na Węgrzech, skazanie go na karę śmierci jako *jugostowiańskiego szpiega* i w końcu wykonanie wyroku w roku 1949 zapoczątkowały serię aresztowań Węgrów w Rumunii. Kraj ogarnęła seria czystek. Z kierownictwa partii komunistycznej usunięci zostali w 1952 r. Węgrzy Ána Pauker i Laszlo Luka.

W tymże roku 1952 utworzony został — pod sowieckim naciskiem — Węgierski Obwód Autonomiczny (węg.: *Magyar Autonom Tartomány*;

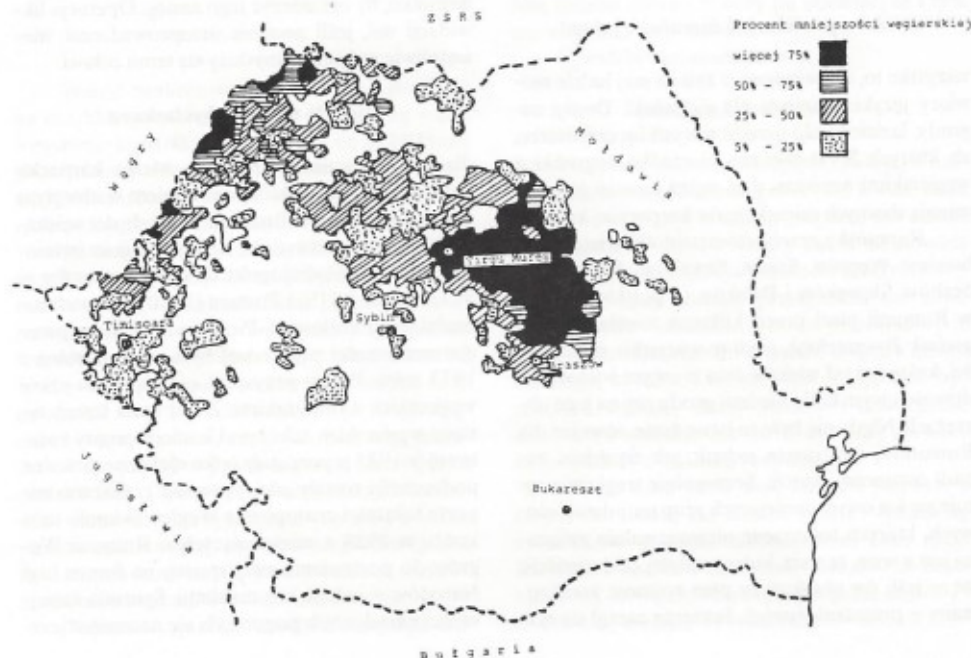
rum.: *Regiunea Autonoma Maghiara*), który obejmował obszar Szekelyföld z miastem Marosvasarhely (rum.: Tirgu Mures), gdzie Węgrzy stanowili ponad 60% ludności (w Marosvasarhely nawet 77,3%). Jednakże poza tym obszarem pozostało około 2/3 żyjących w Rumunii Węgrów i przeciw nim obróciła się asymilacyjna polityka rumuńskiego państwa. Szczególnie dotkliwie odczuli to mieszkańcy Kolozsvar (rum.: Cluj-Napoca). Rozpoczęła się

likwidacja dwujęzyczności

z wszelkich obszarów życia. Z ulic i sklepów zniknęły węgierskie napisy, język węgierski przestał obowiązywać w urzędach, w końcu również na konferencjach partyjnych. Z Kolozsvar usuwano rozmaite instytucje kulturalne, m.in. szkołę teatralną.

Wydarzenia października '56 spotkały się z echem w Siedmiogrodzie. W Kolozsvar i Temesvar (rum.: Timisoara) oraz innych miastach doszło do demonstracji. Odpowiedzią władz były masowe aresztowania.

Stalinizm przetrwał w Rumunii wydarzenia



połowy lat pięćdziesiątych. Przeciw mniejszości węgierskiej podjęto następne kroki. W roku 1959 połączono w Kolozsvar uniwersytet węgierski ze znaczną od niego młodszym rumuńskim, *by przeciwdziałać węgierskiemu separatyzmowi* na tym obszarze, jak to motywowały władze. W dwa lata później zreorganizowano Węgierski Obwód Autonomiczny, który od tego czasu nazywał się Węgierskim Obwodem Autonomicznym — Mures (węg.: *Mures — Magyar Autonom Tartomány*, rum.: *Regiunea Mures — Autonoma Maghiara*). Jedna trzecia dawnego obwodu węgierskiego została przyłączona do rumuńskiego obwodu Brasov. Z konstytucji skreślono słowa określające obwód Mures jako ściśle węgierski.

W końcu przyszedł rok 1957 i kolejna reforma administracyjna. Z dawnych 16 obwodów (*regiunea*) utworzono 39 okręgów (*judet*) i 47 miast wydzielonych na prawach okręgów (*municipia*). O żadnym okręgu węgierskim nie było już mowy. Wkrótce już potem zaczęły się deportacje Węgrów z Siedmiogrodu do Bukaresztu, Dobrudży i Mołdawii.

Działo się to już w czasie, gdy na czele partii rumuńskiej stał

Nicolae Ceaușescu,

który do władzy doszedł po śmierci Gheorge Gheorgiu-Deja w 1965 roku. Ten ostatni pełnił funkcję szefa rumuńskiej partii komunistycznej od 1945 roku, a przez ostatnie cztery lata życia był również głową państwa. Młody, bo 47-letni Ceaușescu przejął początkowo urząd I sekretarza, do którego w 1967 roku dołączył tytuł przewodniczącego Rady Państwa, a od roku 1974 prezydenta republiki. Późniejszy *conducator* stał się w świecie znany, gdy sprzeciwił się interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu '68.

Niedługo potem Ceaușescu zapoczątkował swój pierwszy ambitny program:

projekt industrializacji Rumunii.

Abstrahując od ekonomicznych efektów tego przedsięwzięcia, które tak tragicznie odbiło się na rumuńskiej gospodarce w ostatnich latach, warto zwrócić uwagę na jego socjologiczno-demograficzny aspekt. Na kolejne budowy ściągano robotników z różnych części kraju, którzy potem tam zostawali. Na przykład do saskiego Brasowa

do budowy wielkiej fabryki traktorów werbowano Węgrów z Szekelyföld oraz Wołochów. Z kolei na budowy w typowo węgierskich okręgach Hargita (stolica Csik-Scereda) i Covosna (Scent Gyoergy), kierowano ludzi z Wołoszczyzny i Mołdawii. Miało to najwyraźniej na celu poprawienie „bilansu narodowościowego” w Siedmiogrodzie na niekorzyść mniejszości węgierskiej.

Dopiero jednakże

lata osiemdziesiąte

stały się dla mniejszości narodowych w Rumunii okresem szczególnie trudnym. Do dyskryminacyjnej polityki władz dołączył dotkliwy kryzys gospodarczy. Oba te czynniki spowodowały wzrost liczby uchodźców z tego kraju, który zaczyna przybierać rozmiary exodusu. Po raz pierwszy też celem uciekinierów z Rumunii stał się sąsiedni „bratni” kraj — Węgry.

Od lata '87 Węgrzy nie tylko przyzymają oczy na sfalszowane wizy w paszportach rumuńskich obywateli pragnących wyostać się na Zachód, ale zupełnie otwarcie zaczęli traktować tych ludzi, szczególnie siedmiogrodzkich *Szeklerów*, jako uchodźców politycznych i udzielać im pomocy. Liczba osób szukających schronienia na Węgrzech w pierwszych kilku miesiącach tego roku przekroczyła 10 tysięcy.

Tymczasem nadal trwa szykanowanie tych, którzy w Rumunii pozostali. Zamykane są kolejne węgierskie szkoły, kontynuowane są deportacje Węgrów z Siedmiogrodu na inne obszary Rumunii. Klasykiem wręcz przykładem jest postępowanie z absolwentami filologii węgierskiej, których kieruje się do pracy na obszarach, gdzie nie występuje ludność węgierskojęzyczna! Podobnie zresztą postępuje się z lekarzami, inżynierami, ale też i robotnikami. W mołdawskich kinach wyświetlane są jako dodatki do głównego programu filmy przedstawiające na przykład siedmiogrodzki Tirgu Mures jako miasto niemalże mlekiem i miodem płynące. Ci, którzy zdecydują się na przesiedlenie z Mołdawii czy Wołoszczyzny do Siedmiogrodu, dostają natychmiast mieszkania, specjalne wypłaty pieniężne i jeszcze inne dodatkowe ulgi. Cel takich poczynań jest jasny: chodzi o rozproszenie węgierskiej mniejszości.

Eskalacja owych poczynań władz rumuńskich spowodowała w końcu reakcję węgierskich władz. Napięcie na linii Budapeszt-Bukareszt narastało stopniowo ale wyraźnie w ciągu ubiegłego

roku, by w końcu przerodzić się w otwarty

konflikt węgiersko-rumuński.

Bukareszt zareagował z wściekłością na opublikowanie na wiosnę '87 w Budapeszcie trzytomowej *Historii Siedmiogrodu*, której wydawcą był minister kultury WRL Bela Koepeczi. Z rumuńskiej stolicy popłynęły słowa o wskrzeszaniu *szowinistycznych i faszystowskich tez z czasów dyktatury Horthy'ego*. W ślad za nimi ruszyła gwałtowna antywęgierska kampania prasowa. Budapeszt odpowiadał bardzo umiarkowanie, wyrażając ubolewanie, iż problemów Węgrów w Siedmiogrodzie nie można załatwić tak, jak w przypadku mniejszości węgierskiej na Słowacji czy w Jugosławii, to znaczy za pośrednictwem bilateralnych kontaktów.

W roku '87 sensacją było złożenie przez delegację węgierską podpisu pod propozycją kanadyjską, zgłoszoną na obradującej w Wiedniu pohelskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a dotyczącej szczególnych praw mniejszości narodowych. Nikt nie miał wątpliwości, że Węgrom chodzi przede wszystkim o ich rodaków w Rumunii. W rok później, w czerwcu '88 władze węgierskie wyraziły zgodę na wielką de-

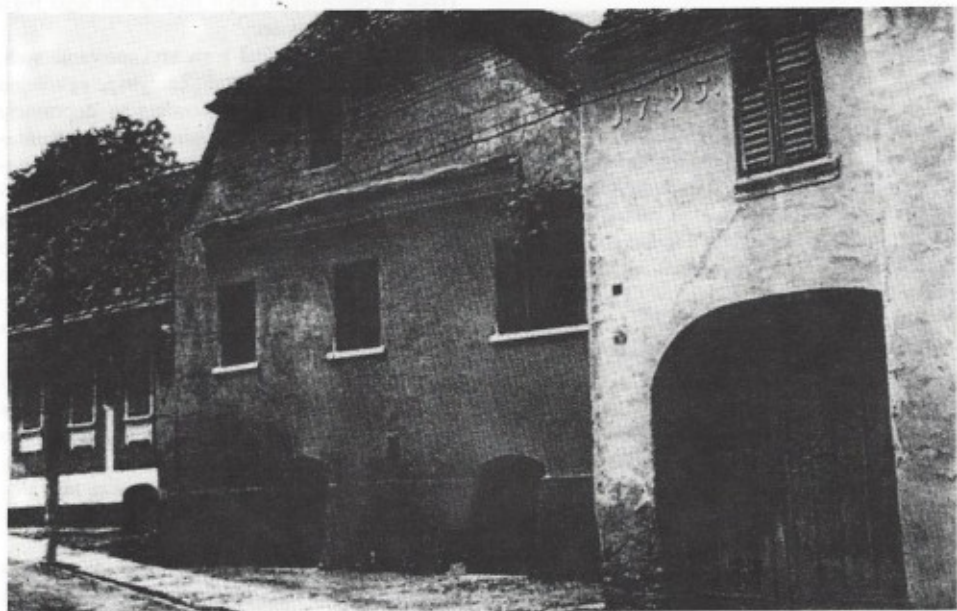
monstrację w Budapeszcie przeciw rumuńskim planom likwidacji tysięcy wsi. Bukareszt odpowiedział na to zamknięciem węgierskiego konsulatu w Kolozsvár. Sytuacja wydaje się być patowa, mimo gotowości podjęcia rozmów wyrażanej przez węgierskiego premiera i od niedawna I sekretarza Karoly Grosza.

Ceaușescu trwa jednak niezachwianie przy swoim. Na początku lipca dotarły na Zachód

pierwsze zdjęcia

przedstawiające wielkie hałdy gruzu w jednej z rumuńskich wiosek. Dwa tygodnie później zespół zachodniemieckiego pierwszego programu telewizyjnego ARD przekazał reportaż z budowy pierwszego *ośrodka rolno-przemysłowego*, dawnej wsi Bragadiru położonej ok. 50 km od Bukaresztu. Ze starych zabudowań pozostały już tylko trudne do zidentyfikowania szczątki. W ich miejsce wyrosły dwu-trzypiętrowe betonowe kłocce. Identyczne mają stanąć we wszystkich pozostałych ponad dwóch tysiącach *ośrodków*.

Prasa rumuńska opublikowała zdjęcia *conducatora*, który niedawno odwiedził Bragadiru. Z jego twarzy promieniował uśmiech zadowolenia... w Wiedniu, 18 lipca 1988 r. ■



Typowe budownictwo węgierskich osadników w Siedmiogrodzie

Pielgrzymka do Europy

Migawki z drugiej podróży Ojca Św. Jana Pawła II
do Austrii w dniach 23-28 czerwca 1988 r.

Długi, zdawałoby się bez końca, barwny ludzki strumień wiał się zboczami doliny rzeki Gurk w karynckich Alpach. Zaczynał się w miejscu, gdzie urywała się blaszana lawina samochodów i autobusów, na zielonej górskiej łące, zmiennej tego dnia w gigantyczny parking. Stamtąd wspinał się na górskie stoki i powoli sunął ku miejscu, gdzie w dali lśniła złotymi słońcami na zwieńczeniach cebulastych kopuł katedra w Gurk. Dopiero tam spadał znów na dno doliny, gdzie na błoniach u stóp Świątyni wlewał się do wzbierającego tłumu zebranych wokół polowego ołtarza wernych.

Przybyli tu na doroczną pielgrzymkę trojga narodów: Słoweńcy z Jugosławii, Friulanie z Włoch, Austriacy ze Styrii i Karyntii. W tym roku wyjątkowo nie w sierpniu, lecz w czerwcu, bo w tym roku przyjechał do nich Polak z Watykanu, Ojciec Św. Jan Paweł II.

★ ★ ★

Papież przybył do Austrii, by tu spotkać się z Europą. To bynajmniej nie dziennikarska żądza sensacji dyktuje mi takie słowa, to po prostu suche stwierdzenie faktu.

W Gurk Jan Paweł II powitał Słoweńców i Friulan. Dzień wcześniej w Trausdorfie, pod węgierską granicą, kilkadziesiąt kilometrów od Bratysławy, modlił się z Węgrami i Chorwatami. Przemawiał tam także do Słowaków i Czechów, którzy za pośrednictwem austriackiego radia i telewizji mogli uczestniczyć w Eucharystii, bowiem władze uniemożliwiły im przyjazd na spotkanie z Papieżem. Szczególnie zaś serdecznie Papież po-

zdrowił przybyłych do Trausdorfu węgierskich uchodźców z rumuńskiego Siedmiogrodu. Tegoż ranka w Wiedniu rozmawiał z przedstawicielami gminy żydowskiej (a mówił do nich o prawie Izraelczyków, ale i Palestyńczyków do własnego państwa), wieczorem zaś modlił się na miejscu kaźni Żydów, chrześcijan i wyznawców innych religii z całej Europy — w obozie koncentracyjnym Mauthausen w Górnej Austrii. W przedostatnim dniu swej wizyty w Austrii, w Salzburgu, Ojciec Św. odprawił wspólne nabożeństwo ekumeniczne z przedstawicielami jedenastu innych chrześcijańskich kościołów: reformowanych i ortodoksyjnych.

Była to więc — bez wątpienia — pielgrzymka do Europy. Szczególnie do tej Europy, której Papież nie miał jeszcze możliwości odwiedzić. I kto wie, kiedy i czy w ogóle przed taką szansą stanie.

Były jeszcze spotkania z robotnikami w Lorch/Enns w Górnej Austrii, z ludźmi starymi, chorymi i kalekimi, z przedstawicielami młodzieży oraz z naukowcami i artystami w Salzburgu, wzruszające spotkanie z dziećmi w Innsbrucku, w końcu oficjalne rozmowy z prezydentem, kanclerzem, rządem i korpusem dyplomatycznym. No i oczywiście po prostu spotkanie z wiernymi wszystkich austriackich diecezji.

★ ★ ★

Kościół jest gotów świadczyć swój szczególny wkład w to, by wyrosły z chrześcijańskich korzeni swej historii europejski kontynent (...) mógł się stać jeszcze bardziej skutecznym gwarantem pokoju i sprawiedliwości we współpracy narodów¹ —

stwierdził Papież w послaniu nadanym przez austriacką telewizję w przeddzień przyjazdu do Wiednia, niedwuznacznie dając do zrozumienia, w jakich kategoriach należy widzieć tę wizytę. Zwracając się zaś do Austriaków Ojciec Św. podkreślił zadanie, jakie ich kraj położony w środku Europy ma do spełnienia jako pomost między Północą a Południem, choć przede wszystkim między Wschodem a Zachodem.

Jeszcze dobitniej wyraził to kilka godzin wcześniej biskup z Grazu Johann Weber podczas konferencji prasowej w Wiedniu stwierdzając, iż zbliżająca się papieska pielgrzymka będzie wydarzeniem o wymiarze historycznym: Po raz pierwszy od zakończenia II wojny ludzie Wschodu i Zachodu spotkają się ze sobą nie jako żołnierze wkraczających armii, nie jako uchodźcy, nie jako gasterbeiterzy i nawet nie jako turyści, lecz jako pielgrzymi, tworząc pomost radości i wiary.

Więcej słów na ten temat nie padło. Zarówno w Trausdorfie, jak w Gurk, Wiedniu, Lorch,

Salzburgu czy Innsbrucku Jan Paweł II mówił o tym, co było głównym przesłaniem jego pielgrzymki streszczającym się w słowach *TAK — wierze, TAK — życiu*. Ale wystarczyło spojrzeć na owe kościoły pod gołym niebem, na lotnisko w Trausdorfie czy na błonia pod katedrą w Gurk, by odnaleźć tam głęboki sens słów biskupa z Grazu. Być może tam właśnie zaczęła się rodzić nowa solidarność, solidarność narodów tego kawałka naszego kontynentu.

Człowieku dnia wczorajszego — i dzisiejszego, jeśli system obozów zagłady trwa gdzieś w świecie również dziś jeszcze, powiedz nam, co może przekazać nasze stulecie tym, które po nim nastąpią?

Powiedz nam, czyśmy nie nazbyt pośpiesznie zapomnieli o Twoim piekle? Czy nie wymazaliśmy z naszej pamięci i świadomości śladów dawnych



Jan Paweł II pozdrawia tłumy wiernych w Salzburgu



Papież i kanclerz Vranitzky (od lewej) na terenie obozu koncentracyjnego w Mauthausen

zbrodni? Powiedz nam, w jakim kierunku ma się rozwijać Europa i ludzkość po Oświęcimiu, po Mauthausen? Czy we właściwą stronę oddalamy się od naszych potwornych doświadczeń z tamtych dni?

Powiedz nam, jaki miałby być człowiek i jakie generacje ludzi, którzy żyją tu, na śladach wielkiej klęski ludzkości. Jaki musiałby być człowiek? Ile musiałby sam od siebie wymagać?

Powiedz nam, jakie musiałby być narody i społeczeństwa? Jak musiałaby żyć Europa dalej?

Mów, bo Ty masz prawo mówić — Ty, Człowiek, który cierpiał i stracił życie... I my musimy wysłuchać Twego świadectwa.²

★ ★ ★

Pochyliła Lagerstraße, droga obozowa, wiedzie w dół od *Appellplatzu*, placu apelowego, gdzie urywa się nagle kilkudziesięciometrowym urwiskiem. Tam w dole milczą szare ściany kamieniołomu. Milczą o ludzkim cierpieniu, którego były świadkami. Po prawej stronie, z dna skalnego wyrobiska, pną się ku górze kamienne schody.

Todesstiege — schody śmierci.

Ojciec Św. pochyla się nad przepaścią, spogląda w dół. Szczękają migawki aparatów, poprzez ich hałas trudno wyłowić poszczególne słowa. *Ludzie wnosili tamteży skalne bloki. Ważyły one po 50 kilogramów. Tam ich najwięcej zginęło*, objaśnia oprowadzający Papieża minister spraw wewnętrznych Austrii Karl Blecha. *Kiedy ktoś się przewrócił — pociągał za sobą następnych* — dodaje po polsku jeden z tych, którzy przeżyli. Ktoś tłumaczy jego słowa na niemiecki. U boku Ojca Św. stary człowiek wskazując przed siebie drżącą ręką dodaje: *Jeśli nie mógł podnieść się, wnieść swego bloku na górę, strzelali do niego*. To inny więzień Mauthausen, Austriak, pan Ludwik Soswiński. Dziś pełni tu smutną funkcję gospodarza. *Teraz te schody są w znacznie lepszym stanie, niż wtedy*, uzupełnia.

Ile stworzono takich schodów, ścian, bram, dróg, cel, pawilonów, obozów? Tych miejsc, gdzie postawiono na śmierć, na zagładę każdego, kogo uważano za przeciwnika. *I nie tylko to..., również ponieważ był on tylko „inny”. I może tylko, ponieważ był on „człowiekiem”³.*

Ille miejsc, gdzie w imię obłąkańczej ideologii wprawiony został w ruch cały system pogardy i nieważności?⁴

* * *

Czasem wydaje się, iż nad światem zapanowała ciemność. Wojny, ucisk, bezprawie, katastrofy wypełniają codzienne wiadomości. Osobiste bóle, często cierpiane i znoszone w samotności, nie rzadko przygniatają człowieka. Nic z tego nie jest nieważne.⁵ Nic nie jest nieważne. Tematem kazań i homilii Ojca Św. były nie tylko sprawy wielkie i doniosłe ale i małe, choć jakże często dotkliwe troski dnia codziennego. TAK — życiu w jego wszystkich fazach i przejawach. TAK — życiu wbrew wszelkim przeciwnościom, wbrew przygnębieniu, wbrew złu. TAK — życiu, ale jednocześnie TAK — wierze, gdyż właśnie wiara daje ową siłę do życia. W kazaniu w Lorŕh/Enns Papież przypomniał słowa Chrystusa zapisane przez Ewangelię: *Jam jest on chleb żywota.*⁶ Chleb życia, który daje siłę, który pozwala się przeciwstawić złu i wszelkim przeciwnościom losu.

Człowiek nie może pozostać bierny. Przypominając łamanie chleba przez Chrystusa, dzielenie się chlebem, dzielenie się sobą, Jan Paweł II powiedział, że sytuacja dzisiejszego świata jest jednym wielkim wyzwaniem do dzielenia się. *Dzielenie się pokonuje podziały. Przyszłość potrzebuje takiej solidarności.*⁷ — zawołał do zgromadzonych w Lorŕh/Enns robotników. *W duchu tej solidarności musicie Wy, jako chrześcijanie, dawać swój wkład do pokonywania trudności w świecie pracy, w przemyśle i rolnictwie.*⁸ I chwilę później Papież wskazał słuchającym go, gdzie takiej solidarności od nich oczekuje. Tam właśnie, gdzie ich problemy są najboleśniejsze. A takim problemem rozwiniętych społeczeństw jest bezrobocie. *Bez ofiar i kompromisów bezrobocia pokonać nie można* — stwierdził i wezwał do wstawienia się za sprawiedliwym podziałem istniejącej pracy i do tworzenia innych możliwości zatrudnienia.

* * *

Nic nie jest nieważne, każdy człowiek jest ważny, życie każdego ma głęboki sens. Wszyscy jesteśmy przecież członkami jednego ciała Chrystusowego, mężczyzna czy kobieta, robotnik czy chłop, ojciec czy matka, samotny, ksiądz czy zakonnik...⁹

Nie ma pielgrzymki Ojca Św. bez spotkania z tymi, których jakże jeszcze często społeczeństwa świata spychają na margines życia, z ludźmi chorymi, starymi, kalekimi. *Zapewne istnieją wciąż jeszcze ludzie, którzy obojętnie koło Was przechodzą, a nawet dają Wam odczuć, że jesteście niepożrebni* — powiedział Jan Paweł II do nich w Salzburgu — *ale bądźcie przeświadczeni, że społeczeństwo Was potrzebuje.*¹⁰

Jan Paweł II zwrócił się do nich ze słowami pociechy, ale i delikatnego napomnienia. Albowiem tak jak ludzie szczęśliwi dzielą się swą radością z innymi, tak też cierpiący nie powinni ukrywać swego bólu, lecz pozwolić współnocie, w której żyją, to cierpienie dzielić. Szczególnie młodzi potrzebują owej widocznej współobecności ludzi cierpiących, by móc rozwijać najlepsze cechy: solidarność i gotowość pomocy.

* * *

Tych młodych i tych najmłodszych też nie może nigdy zabraknąć na trasie papieskich podróży. Młodzi w Salzburgu przygotowali się dość skrupulatnie do spotkania z Janem Pawłem II. Przedtem przeprowadzili oni ankietę wśród 9 tys. swoich rówieśników na temat ich stosunku do wiary i postanowili niezbyt budujące wyniki swych badań przedstawić Ojcu Św. Choć bowiem znakomita większość z ankietyowanych w Boga wierzy, a spośród nich znowu bardzo znaczna część twierdzi, iż Bóg odgrywa pewną rolę w ich życiu, to kolejne pytania odsłaniają często powierzchowność tej wiary. Salzburscy studenci wnioskują, iż ich rozmówcy najwyraźniej traktują Kościół jako instytucję nie mającą im zbyt wiele do powiedzenia. Szczególnie drażliwe są w oczach młodych austriackich katolików kwestie dotyczące współżycia seksualnego, które w kościelnej interpretacji odbierają jako zbiór zakazów i nakazów, podczas gdy akurat na tym polu pragnęliby się czuć partnerami w dyskusji.

Choć Papież nie odpowiedział bezpośrednio na zarzuty i kłopotliwe pytania salzburskich studentów, to jednak nie potępił ich postępowania jako odstępstwa, herezji, lecz wręcz zachęcił ich do dalszych takich działań, stwierdzając, że Kościół potrzebuje jak najwięcej podobnych laboratoriów.

* * *

Tego rodzaju problemów nie mają jeszcze

najmłodszy, którzy tłumnie przybyli na stadion lodowy w Innsbrucku, by tam zabawą, piosenkami, ale przede wszystkim ogłuszającym, dziecięcym krzykiem radości powitać Ojca Św. 18 tysięcy gardel darło się, a Papież śmiał się i chciał z każdym z osobna się przywitać. Po raz pierwszy chyba w czasie tej pielgrzymki siłom porządkowym groziło, że nie będą w stanie wypełnić swego zadania. Policyjny kordon naciągał się jakby był z gumy i groził pęknięciem. Łatwo sobie wyobrazić, co by się działo z Papieżem, gdyby nagle spadła na niego ta dziecięca szarańcza. Ojciec Św. śmiał się, a nawet przyłączył się w pewnym momencie do zabawy z piłkami, ale kiedy zaczął przemawiać, był znów poważny. Dzieciom, które śpiewały, że całe ich życie to święto, przypomniał, iż są takie chwile, kiedy płyną łzy i że jest na świecie wiele dzieci, które są w potrzebie, nie mają co jeść, gdzie mieszkać, gdzie dzieci są żołnierzami i tracą życie w zmaganiach wojennych. One, dzieci z Austrii, też mogą pomóc swym rówieśnikom cierpiącym i głodującym na całym świecie. Papież podpowiedział nawet jak. Na swój dziecięcy sposób oczywiście. Na przykład wspomagając akcje pomocy krajom Trzeciego Świata pieniędzmi zarobionymi gwiazdkowym śpiewaniem.

Dwa razy samolot *Austrian Airlines* zatoczył koło nad wznoszącymi się w niebo wapiennymi szczytami otaczającymi Innsbruck. Papież odleciał. Pozostały wygłoszone homilie i przemówienia, pamięć spotkań, niezwykle przeżycia, spełnione, a czasem i niespełnione oczekiwania. Pozostały tysiące relacji, komentarzy i analiz. Dokładam do nich swoją cząstkę z nadzieją, że udało mi się wyłowić z lawiny zdarzeń i powodzi słów te najważniejsze, a przynajmniej niektóre z nich.

Papież odleciał. Skończyła się kilkudniowa podróż do małego kraju między Południem a Północą, ale przede wszystkim między Wschodem a Zachodem.

¹ Posłanie Jana Pawła II do społeczeństwa austriackiego, 22.06.88

² Przemówienie Jana Pawła II w Mauthausen, 24.06.88

³ ibidem

⁴ ibidem

⁵ Homilia Jana Pawła II w Lorch/Enns, 25.06.88

⁶ Ewangelia Św. Jana (6, 48)

⁷ Homilia Jana Pawła II w Lorch/Enns...

⁸ ibidem

⁹ ibidem

¹⁰ Przemówienie Jana Pawła II podczas spotkania z chorymi, starymi i kalekami, 26.06.88

**Do Przewodniczącego
Towarzystwa „Solidarność”
GeBlerstr. 10
D-1000 Berlin 62**

**Proszę o przyjęcie mnie do Towarzystwa
„Solidarność” jako członka wspierającego.**

Imię i nazwisko:

Adres:

.....

Deklaruję roczną składkę w wysokości DM

....., dnia

.....

Podpis

Schizma

Arcybiskup Marcel Lefebvre wyświęcając w szwajcarskim Econe czterech nowych biskupów dokonał pierwszego w naszym stuleciu aktu schizmy w łonie Kościoła katolickiego. Fakt konsekracji spowodował „ipso facto” na mocy kanonu 1013 (mówiącego, że żaden biskup nie posiada prawa święcenia innego biskupa, bez zezwolenia papieża) ekskomunikę Lefebvre’a i czterech kapłanów ze Wspólnoty Piusa X przez Stolicę Apostolską.

Korzenie tego wydarzenia leżą jednakże nie w pontyfikacie Jana Pawła II, lecz sięgają okresu II Soboru Watykańskiego (1962-65). To już wówczas arcybiskup Lefebvre odmówił złożenia podpisu pod dwoma (z szesnastu) dokumentami soborowymi dotyczącymi wolności religijnej i stosunku Kościoła do współczesnego świata.

Wydarzenia wokół święceń w Econe potwierdziły jedynie to, co specjaliści zajmujący się problemami Kościoła katolickiego podnosili już wcześniej — dążenia do ekumenizacji wywołać muszą opór fundamentalistów. Obecny papież, gorliwy kontynuator idei Jana XXIII, otrzymał również, niejako w spadku, przeciwników tendencji reformy Kościoła w duchu II Soboru i znalazł się w ten sposób pomiędzy „młotem i kowadłem” — z jednej strony zwolennicy „teologii wyzwolenia” wraz z progresywnym skrzydłem Kościoła, z drugiej: konserwatywny odłam duchowieństwa z Lefebvrem na czele; przy czym podkreśla się, że „Chomeini z Econe” to jedynie wierzchołek góry lodowej; niezadowolone z polityki reform leży głębiej i obejmuje o wiele szersze masy duchowieństwa i wiernych niż mogłoby to się na pierwszy rzut oka wydawać.

Zajmijmy się osobą ekskomunikowanego biskupa. Marcel Lefebvre urodził się 29 listopada 1905 r. w Tourcoing, we Francji; święcenia kap-

łańskie otrzymał w 1929 r., sakrę biskupią w 1947 r. W 1955 roku otrzymał arcybiskupstwo Dakaru by zostać następnie przeniesionym w 1962 roku na stolicę biskupią w Tulle (Francja). Jednakże jeszcze w tym samym roku zrezygnował z zarządzania diecezją — były to już pierwsze oznaki napięcia pomiędzy nim a Watykanem. W roku 1969 założył Lefebvre w Econe delikatnie mówiąc, „tradycjonalistyczną” Wspólnotę Kapłańską Św. Piusa X i utworzył seminarium duchowne, również z siedzibą w tej szwajcarskiej miejscowości. Co prawda wspólnota ta otrzymała aprobatę miejscowego biskupa, jednakże została ona cofnięta przez papieża Pawła VI w roku 1975. Seminarium w Econe straciło w ten sposób z punktu widzenia prawa kanonicznego, podstawy swej egzystencji. Jednakże Lefebvre wyświęcił kilku kapłanów, za co został obłożony przez papieża Pawła VI „suspensą ad divinis”, co oznaczało zawieszenie w czynnościach biskupich francuskiego duchownego. Od tego czasu zapanowało pomiędzy Econe a Watykanem „nieformalne zawieszenie broni”. Lefebvre nie poddał się dyktatowi papieża i nadal rozwijał swą działalność, lecz Stolica Apostolska nie reagowała — do 30 czerwca bieżącego roku.

Burza nadciągnęła nad Watykan wiadomością, iż Lefebvre zamierza wyświęcić czterech członków Wspólnoty Św. Piusa na biskupów. Byli to: 30-letni Szwajcar Bernard Fellay, administrator Wspólnoty w Econe; 48-letni Brytyjczyk Richard Williamson, rektor seminarium duchownego wspólnoty w Ridgefield w stanie Connecticut, USA; 31-letni Hiszpan Alfons de Galaretta, kierujący Wspólnotą w Argentynie oraz 43-letni Francuz Bernard Tissier de Mallerais, sekretarz generalny Wspólnoty.

Próbę znalezienia kompromisu pomiędzy

Stolicą Apostolską a Wspólnotą w Econe podjął z ramienia papieża kardynał Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary z siedzibą w Watykanie. Porozumienie wydawało się na początku maja br. jeszcze możliwe. Wielomiesięczne rokowania doprowadziły do podpisania obustronnego protokołu, który zapewniał nawet m.in. utworzenie sekretariatu Wspólnoty w Watykanie, a Lefebvre rezygnować miał z dokonania święceń.

Do kompromisu jednak nie doszło. Wtajemniczeni mówią, iż stało się to głównie za sprawą kardynała Ratzingera, który próbował włączyć do podpisanego już protokołu klauzule niezaakceptowane przez Wspólnotę. Trudno tu spekulować, czy li tylko „niezręczność” papieskiego pośrednika doprowadziła do zerwania porozumienia. W każdym razie Janowi Pawłowi II trzeba przyznać dużą dozę tolerancji i zaiste „świętej” cierpliwości, w okresie gdy Lefebvre nie wahał się użyć w stosunku do jego osoby określeń takich jak „anty-chryst”.

Fundamentalizm arcybiskupa Lefebvre'a i utworzonej przez niego Wspólnoty przejawia się przede wszystkim w stwierdzeniu, że „Kościół posiada wyłączność prawdy o wierze” i „jakiegokolwiek inne religie, czy wiary, są w najlepszym przypadku herezjami”. W ten prosty sposób aktywna polityka ekumeniczna, zapoczątkowana na II Soborze, a kontynuowana przez Jana Pawła II, staje się z punktu widzenia Lefebvre'a sama w sobie herezją.

Tradycjonalistyczny stosunek do dogmatów przyniósł francuskiemu arcybiskupowi przydomek „Chomeiniego z Econe”. W okresie ogólnego kryzysu wartości powstaje gleba podatna na wszelkiego rodzaju fundamentalizmy. Jan Paweł II nie cieszy się bynajmniej w oczach liberałów Świata Zachodniego, opinią „postępowego” papieża (por. gorące debaty na temat tzw. „kontroli urodzin”), a jednak wydarzenia wokół Econe zdają się potwierdzać, jak ciężką drogę obrał obecny papież; próby ekumenicznego zbliżenia natrafiają na nieufność „lewicy” Kościoła i na sprzeciw „prawicy”. Trudno oprzeć się cierpkiej uwadze, iż „drugi etap reformy” nikogo właściwie nie zadawała.

Wspólnota Kapłańska Św. Piusa obejmuje obecnie około 100 tys. wiernych na wszystkich kontynentach. Dzieli się na dziesięć dystryktów: Anglię, Australię, Francję, Kanadę, Meksyk, Niemcy Zachodnie, południową Amerykę, Szwajcarię, USA i Włochy. Posiada ponad sto przeoratów

i pięćset stałych miejsc kultu.

Arcybiskup Lefebvre zapewnia, że nie jest jego zamiarem „stworzenie kościoła pararealnego, który wybrałby nowego papieża”, lecz „niedopuszczenie do luteranizacji Kościoła katolickiego”.

Historia schizm w łonie Kościoła jest prawie tak długa, jak historia samego Kościoła. Stolica Piotrowa przetrwała jednak długi okres „niewoli awiniońskiej”. Obecny papież stoi przed zadaniem, które przerosłoby siły każdego z „Rybaków” — zachowanie *status quo* w łonie Kościoła przy jednoczesnym dążeniu do przemian, być może z punktu widzenia reformatorów niedostatecznych, lecz w mniemaniu fundamentalistów — niedopuszczalnych.

Podłożem każdego fundamentalizmu jest nietolerancja. Spór o dogmaty pozostawmy teologom, a zwaśnionym stronom pozwólmy sobie przytoczyć strofę z wiersza Franciszka Karpińskiego (1741-1825) „Przeciwko fanatyzmowi” (i nie tylko ze względu na pochodzenie obecnego papieża):

*Ojczyzno moja; nikt nie widział ciebie,
Abyś się kiedy zmaszała tą plamą!
Gdy przyjdzie pora, ratuj się w potrzebie,
A niebo mocne nie da się i samo.*

NAKŁADEM OFICYNY ZESZYTÓW LITERACKICH:

- ADAM ZAGAJEWSKI, Solidarność i samotność** (60 FF, 10 \$US);
ADAM MICHNIK, Polskie pytania (110 FF, 20 \$US);
JOSIF BRODSKI, 82 wiersze i poematy w opracowaniu **BARAŃCZAKA** z przedmową **MIŁOSZA** (95 FF, 18 \$US).

Przesyłka lotnicza książek 20 FF; 3,50 \$US; poczta zwykłą — gratis.

Do nabycia w redakcji:

CAHIERS LITTERAIRES, 44 rue Tiquetonne,
75002 PARIS

List z ZSRS: Prze — Budowa

To jest wielki kraj. U nas, w Polsce od granicy do granicy przejedziesz pociągiem w 12 godzin. U nich i tygodnia za mało bo tydzień jedziesz, ale wcześniej trzy dni cierpliwie koczujesz na stacji z tobołami i czekasz, aż się zabierzesz. Kasa bowiem sprzedaje tylko tyle biletów, ile miejsc, a jeśli miejscówkę można kupić w przedsprzedaży, to „spalny” lub „kupiejny” (2 albo 4 miejsca leżące w przedziale) — tylko przed odjazdem pociągu. A na co bardziej uczęszczanych trasach — tłok. Tak, że jeśli wybierasz się gdzieś dalej, musisz do czasu podróży doliczyć jeszcze ze trzydziści procent na jałowe oczekiwanie.

Mimo więc, że lubię podróżować (nasi rodacy często brzydzą się, mówią: brud, zaduch — bo faktycznie okna w wagonach zabite na stałe — nadymają się, okazują wyższość, jak byśmy byli pępkiem cywilizowanego świata a nie środkowo-europejskim Bangladeszem, a ja — przeciwnie, dla mnie to egzotyka, fascynacja, nasłuchiwanie, podpatrywanie), nie mogę powiedzieć, bym w ciągu minionych dwóch lat poznał ten kraj.

Muszę to zastrzeżenie zrobić na wstępie, bo kiedy tylko jestem w Polsce na urlopie, albo kiedy mnie żona wezwie fałszywym telegramem, że chora, jak obecnie, to zaraz znajomi nagabują pytaniami: co tam słyhać w ZSRS? A ja nie wiem, co słyhać w ZSRS, natomiast wiem, co słyhać w Nietiszynie (gdzie pracuję), albo w Kijowie (byłem na zakupach), albo u Pietrowa (upilem się z nim w zeszłym tygodniu).

W Nietiszynie położonym przy rzece Horyń nieopodal przedwojennej granicy polsko-sowieckiej budujemy chmielniczą elektrownię jądrową. Nas, Polaków jest około trzech tysięcy, zaś Ros-

jan, Ukraińców i obywateli innych republik sowieckich do dwudziestu pięciu tysięcy. Dużo bliżej stąd do Polski niż z Czernobyla, a i elektrownia ma być 16 razy potężniejsza...

O tragedii czernobylskiej dowiedzieliśmy się później niż rodacy w kraju, ale i tak wcześniej niż ludzie sowieccy, wśród których zwyczaj słuchania dywersyjnych rozgłośni nie jest tak rozpowszechniony. Czy ta awaria miała jakieś skutki dla naszej budowy? Przede wszystkim zabrakło betonu i pracownicy komentowali, że wszystkie zapasy poszły na betonowanie reaktora w Czernobylu. Trudno mi powiedzieć, czy po katastrofie zmieniono przepisy, zaostrzono reżimy technologiczne, w końcu jednak jestem tylko zwykłym, szeregowym technikiem, myślę jednak, że tak, bo u nas cztery czy pięć razy przesuwano terminy oddania do użytku reaktora, co chyba wynikało z wzmoczonych rygorów i kontroli.

Czy Rosjanie albo Ukraińcy komentowali jakoś dramat Czernobyla? Takie pytanie (z podtekstem sugerującym, że krzyczeli, albo powinni krzyczeć jak Skandynawowie lub my) dowodzi kompletnego braku orientacji w mentalności obywateli ZSRS. Tam się nie krzyczy, tam się milczy. Milczenie wynika ze zrozumienia, że i tak nic się nie da zrobić, ze świadomości własnej niemocy. Jest ono oczywiście podszyte strachem, ale i rezygnacją. U nas strach rodzi odruch buntu, nawet agresywności. W Kijowie zaś ludzie nie wychodzili z domów, bo im telewizja tłumaczyła, że w mieszkaniach promieniowanie mniejsze. Dygnitarze wywozili z miasta swe rodziny czarnymi wołgami, a ci siedzieli po domach i cieszyli się, że wiatr sprzyja pchając radioaktywną chmurę nad



Jeden z rurociągów budowanych przez Polaków w ZSRS

Polskę i Bałtyk, a nie na południe nad trzymilionowy Kijów, odległy zaledwie o 100 kilometrów od epicentrum. Wielu kijowian zresztą jeździło wcześniej w okolice Czernobyla na odpoczynek, do lasu, nad jeziora, bo tam rzeczywiście są, a raczej były, piękne tereny rekreacyjne.

Naiwnością byłoby sądzić, że moi sowieccy znajomi wymówią posłuszeństwo, albo chociaż okłną władzę sowiecką, nieudolną i kłamliwą. Po prostu boją się. Boją się nawet nas. Mniej niż swoich, ale zawsze... W dodatku w sytuacjach kryzysowych organy z reguły pracują ostrzej, więc tym bardziej nie ujawnia się poglądów. To nawet nie jest przyjęte. Wyrażając jakiś krytyczny sąd mógłbyś wprawić rozmówcę w zakłopotanie.

Oni, tak jak my, otwierają się przy wódce. Ale nawet wtedy rozmowa jest pełna gestów, zawieszę głosu, przemilczę. Gdy się natarczywie dopytujesz, wpadają w irytację. Wszystko jasne, nie ma co głądzić, a ty naruszasz konwencję. Kiedyś próbowałem pocisnąć znajomego lekarza,

który przyjechał na Ukrainę do kolchozu dorobić się. (Specjaliści z wyższym wykształceniem zarabiają w kolchozie nieźle, mają darmowe mieszkania i żywyjenie. Robotnicy dostają mniej, za to mogą trzymać drobny inwentarz, który karmi kolchozową, kradzioną paszą. Nie mówią jednak, że kradną, tylko że „biorą”). Pokiwał głową: „Co ty, szpion?” Wydało mu się śmieszne i dziwne to wypytywanie o szczegóły. Zresztą niektóre szczegóły widać gołym okiem. Ciasne mieszkanie, wygodka na podwórzu, braki w wyposażeniu. Dawnemu temu byłem w jakimś bieszczadzkiem ośrodku zdrowia, w porównaniu z kolchozowym wyglądał jak oddział intensywnej terapii.

Im więcej piją, tym więcej mówią. Gdy maleje szansa rekonstrukcji rozmowy następnego dnia, od razu bezpieczniej się czują.

Nawiązałem parę przyjaźni, no może przyjaźni to za dużo powiedziane — raczej bliższych, zażyłych znajomości, opartych jednak na innych wartościach, niż reklamuje tygodnik *Przyjaźń*, w

którym czytałem wywiad z pewną lwowianką, szefową Towarzystwa Przyjaźni Sowiecko-Polskiej. Dla niej koronnym dowodem i jednocześnie skutkiem przyjaźni jest właśnie budowa elektrowni.

Miejscowi, mam na myśli Ukraińców, jeśli nie zostali wychowani w atmosferze antypolskiej, lub sami nie doświadczyli nienawiści — a trzeba pamiętać, że w tych rejonach w czasie wojny działy się rzeczy straszne, krwawe mordy, pożoga, okrucieństwo, które częściowo stanowiły reakcję na lata przedwojenne i polskie rządy na Zachodniej Ukrainie — nastawieni są do nas raczej pozytywnie. Co roku kilkunastu Polaków żeni się z tamtymi dziewczynami. No cóż, tamte lata to historia. Jeśli ona kogoś interesuje, to w głównej mierze rodaków, którzy na tych terenach jeszcze mieszkają. To im właśnie przywożę książki nie do dostania w ZSRS, jak choćby „27 Wołyńską Dywizję AK”. Ale ślady polskości na Wołyniu giną, zarastają jak polskie cmentarze. To nieuniknione. Podobnie zarosły cmentarze ewangelickie na Pomorzu.

Generalnie nam zazdroszcza. Tego na przykład, że można wyjechać na Zachód, na zaproszenie. U nich trzeba szczegółowo motywować. A jak człowiek poda, że ma rodzinę, albo, nie daj Boże przyjaciela, to jest to nie tylko pretekst do odmowy, ale i podejrzeń.

Uważają więc, że nie mamy powodów do skarg. „Solidarność” przez większość ludzi, których poznałem w ciągu ostatnich dwóch lat, jest oceniana krytycznie. Nie tak ostro wprawdzie jak w sowieckich środkach przekazu, ale wpływ indoktrynacji zdecydowanie widać. Mówią na przykład: „członkowie Związku stanowili mniejszość w społeczeństwie, nie było wśród nich ludzi pracy, tylko sami ekstremiści”. A gdy ja kontruję, że w moim przedsiębiorstwie do „Solidarności” należało 90% załogi — nie wierzą. W ocenie stanu wojennego zbliżeni są do Jaruzelskiego: trudno, ale trzeba było wreszcie w Polsce zrobić porządek. Tych, którzy starają się o dostęp do niezależnych źródeł informacji, można na palcach policzyć. Podziwiam sowieckich dysydentów, bo tam trzeba mieć o wiele więcej odwagi, by powiedzieć „nie”, ale przesadne eksponowanie ich roli, w czym celuje Zachód, uważam za błąd. Nie na nich wzorują się moi sowieccy znajomi, którzy, jak myślę, są dość typowi.

Kiedyś poznałem w pociągu młodą dziewczynę. Długa podróż, pusty przedział, koniak wyjęty z walizki — wszystko to sprzyjało zwierze-

niom. Po paru godzinach tych zwierzeń wyłoniła się sylwetka osoby o dość niezależnych, można by nawet powiedzieć, antykomunistycznych poglądach, będącej jednocześnie sekretarzem Komso-mołu w dużej fabryce. Po co jej ta funkcja? Żeby dostać mieszkanie, no chyba, że po jakiejś „linii” (to jest w ogóle kluczowe pytanie: „Po jakiej linii towarzyszc? Służebnoej, partijnój...”, nawet w hotelu cię pytają: „A wy po jakiej linii przysli”, bez „linii” pokoju nie ma, że już o mieszkaniu nie wspomnę), ale nie tylko o to idzie. Sedno sprawy — to nomenklatura. Życie tej dziewczyny zostało zdefiniowane przez fakt, że jej ojciec jest działaczem partyjnym. Wcale nie na dużą skalę, nie. Po prostu sekretarz partii w tej samej fabryce. Gdyby odmówiła przyjęcia funkcji, miałaby kłopoty, ale ojciec — jeszcze większe. Mnie się to kojarzy z mafią. Jak raz wdępniesz, nie ma odwrotu...

Co się zmieniło w związku z „pierestrojką”? Piją może ostrożniej. Władza wymyśla ciągle nowe sposoby walki z alkoholizmem. Robią na przykład zdjęcie pijackom i wywieszają w gablotach przed posterunkiem milicji. Siedzi taki delikwent na krześle, wzrok błędny, głowa na bok zwisa, a pod spodem personalia, wiek, adres, zakład pracy. Jednego młodego chłopaka sfotografowali na tle znalezionej przy nim plakatu „Wąłów Jagiellońskich”. I tak serdecznie uśmiechnięty Rudi Schubert wyszedł na patrona pijackiego obyczaju na Ukrainie.

Stosunek do reform Gorbaczowa zależy od stopnia naiwności. Starzy, którzy niejedno widzieli, są sceptyczni, młodzi bardziej wierzą w lepsze jutro. A w ogóle o Gorbaczowie więcej się mówi w Polsce. To u nas ludzie zachłystują się „pierestrojką”, czemu się dziwię, bo jeśli na przykład chodzi o gospodarkę, to ZSRS musi podążać naszą polską drogą. Uważam, że to my wyznaczamy dla nich horyzont. Przeciż dopiero niedawno władza sowiecka pozwoliła na prywatne taksówki, kawiarenki, czy małe spółdzielnie. Reformy obywatela ZSRS widzą głównie w podnoszeniu norm, co ich bije po kieszeni. Złagodzone przepisy paszportowe. Do krajów obozu można już wyjechać na zaproszenie znajomych, a nie tylko rodziny. Pewna liberalizacja objęła również nas. Od początku 1987 roku wolno nam jeździć po całym województwie, choć nadal po przyjeździe na budowę trzeba wymienić paszport w kadrach, gdzie nb. pracują panowie z MSW, na zaświadczenie tożsamości, na które nikt nie sprzedaje biletu lotniczego.

Nieco więcej mówi się o Afganistanie. To właśnie chłopcy z Ukrainy i Białorusi byli tam wysłani z internacjonalistyczną pomocą. Z kolei ci z republik muzułmańskich łądowali w Polsce czy w NRD. W telewizji widziałem program z udziałem Kałasznikowa, tego od pistoletów maszynowych. Rozmawiał z żołnierzami, pytał, jak im broń służy, co w niej ulepszyć, pouczał, jak mają osiągać lepsze wyniki w strzelaniu. Jeździł po jednostkach i wyróżniającym się żołnierzom wręczał „honorowe automaty”.

Kiedyś rozmawiałem z kobietą, której syn dostał powołanie do Afganistanu, ale na skutek rozlicznych interwencji rodziny trafił w bezpieczniejsze miejsce: na Syberię pilnować więźniów przy pracy. Innym razem przyszła pohandlować robotnica — Ukrainka, która po paru wódkach zaczęła śpiewać wstrząsające piosenki układane przez dziewczyny o chłopakach wysłanych do Afganistanu. Poznałem też kilku frontowców. Pobyt tam, to dla nich kwestia przeżycia a nie rozterek moralnych. Ci, którzy wrócili, mogą być dla władzy problemem za kilka lat. Już domagają się specjalnego traktowania, nie liczą się z przepisami, układami, biurokracją.

W czym jeszcze widać „pierestrojkę”? W delikatnym odchodzeniu od szturmowszczyzny, od oddawania budowanych obiektów na jakąś okazję albo rocznicę. My natomiast jeszcze z tego nie zrezygnowaliśmy. W ubiegłym roku nasze kierownictwo ubzdurało sobie, że akademia na rocznicę Rewolucji Październikowej musi się odbyć w sali teatralnej wznoszonego właśnie domu kultury — na budowie realizujemy obiekty towarzyszące. Aby zdążyć na czas, zatrudniono tylu ludzi, że jeden drugiemu przeszkadzał. W efekcie akademia się odbyła, ale z powodu pracy w nadgodzinach znacznie przekroczono koszty budowy. Jeszcze lepszy numer miał miejsce nieco wcześniej na 22 lipca. Z okazji Święta Odrodzenia PRL przed terminem oddaliśmy do użytku basen pływakki. I sekretarz partii na budowie — zamiast przeciąć wstęgę — na otwarcie wlał do wody i przepłynął od brzegu do brzegu. Po nim już nikt więcej nie pływał, basen należało zamknąć, bo przeciekał. Teraz nikt nie wie jak go wyremontować, tak niechlujnie został zbudowany.

Prasa zamieszcza dużo krytycznych publikacji, to prawda, niewiele jednak z tego wynika. Może jak sobie ludzie w Moskwie, Leningradzie czy Kijowie poczytają, to się lepiej czują. Ale Związek Sowiecki to nie wielkie miasta, tylko pro-

wincja, zgoła XIX-wieczna. Różnice w mentalności — kolosalne. Przed przyjazdem nie przypuszczałem, że mogą być aż tak wielkie. Moje wyobrażenia o ZSRS były jednak bardzo powierzchowne. Zresztą i na prowincji różnice są wielkie. Widziałem wieś ukraińską, białoruską i litewską. Ukraina jeździ na Litwę po sprawunki, wykupują masowo towary, choć nie jest jeszcze gospodarzo najslabsza w porównaniu z taką centralną Rosją.

My też jeździmy, choć, jak wspominałem, zezwolenie mamy tylko na województwo. Ja byłem w Wilnie, Lwowie, Kijowie. Na podróżujących nielegalnie Polaków milicja robi regularne obławy. Kto zostanie złapany, płaci karę około 50 rubli. Szczególnie w terminach, kiedy mamy wyplatę, obstawiają lwowskie i kijowskie pociągi. Wiedzą, że ludzie jeżdżą głównie po zakupy. Pilnują drzwi wagonu i sprawdzają paszporty. A nasze paszporty w kadrach! Zresztą Polaków można łatwo odróżnić po wyglądzie zewnętrznym, co jest o tyle dziwne, że w ZSRS ludzie obecnie noszą takie same dzinsy. Chyba chodzi nie tylko o ubrania ale o ruchy, gesty, może nawet zapach, bo na przykład psy się do nas łaszą, a na Rosjan warczą. Na polskie osiedle złażą się psy z całej okolicy, uciekają od właścicieli, u których żyją gorzej niż u nas.

Po zakupy trzeba się wypuszczać dalej, coraz dalej, bo w promieniu wielu kilometrów wszystkie sklepy ogołocone. Głównie my nakręcamy popyt, jako że zarabiamy więcej niż budowlani z ZSRS. (Właśnie z powodu zarobków zdecydowałem się na wyjazd. Dla człowieka mającego trzydzieści parę lat, rodzinę i żadnego dorobku materialnego, to jedyna szansa). Najbardziej opłacalne są dalekie kursy. Załatwia się transport do odległych republik, zatrudnia cały łańcuch pośredników i w drogę. Koledzy kryją nieobecność, a kierownictwo patrzy przez palce. W końcu taki hurtownik robi zakupy dla całej grupy. Nie zawsze zresztą dowozi zakupiony towar na budowę. Część tego, co nabył na przykład na dobre zaopatrzonej Litwie sprzedaje korzystnie w biednej Białorusi. Na takim handlu między republikami też można świetnie zarobić. Najbardziej poszukiwanymi przez nas towarami są narzędzia elektryczne, maszyny do obróbki drewna, zamrażarki. Na ogół, żeby coś z tych rzeczy kupić, trzeba przemówić „do ręki”. Na przykład zamrażarka kosztuje oficjalnie 240-260 rubli, a nieoficjalnie 350. Z Polski wozi się do ZSRS modne ciuchy, kosmetyki nawet przeciętnej jakości, buty, odzież dziecięcą, butelki dla niemowląt, smoczki. Czasami tan-

detę można sprzedać za duże pieniądze grając na prymitywnym czy powierzchownym traktowaniu przez nabywcę aktualnej mody. Różnica w poczuciu smaku jest przeliczana na rubla po wysokim kursie.

Nie dzinsy i smoczki są jednak najbardziej tropione przez sowieckich celników. Zjadłe tępią na przykład płyty, taśmy i plakaty zespołów punk-rockowych czy haevy metal. Te zespoły bowiem występują przeciw mundurom, a tego władza sowiecka nie lubi. Dokładnie sprawdzają książki. Od czasu do czasu telewizja pokazuje programy na temat przemycania do ZSRS „antypaństwowej i antysowieckiej literatury”. Oglądałem reportaż z Medyki. Samochody z polskimi rejestracjami, stosy książek poukładanych na stołach i gromkie słowa potępienia. A wśród tych książek głównie wydawnictwa kościelne. Może ktoś wioził dla rodziny lub znajomych. A może i na handel... Choć ciekawe: Polacy z budowy zachowują się niekiedy skandalicznie, na wszystkich chcą zarobić, ostro handlują między sobą, spekulują na towarach nabytych w sklepie, pazerni bywają do obrzydliwości — ale dewocjonaliami czy literaturą religijną obracać nie chcą, choć popyt jest bardzo duży. Krzyżyk, różaniec, książeczkę do nabożeństwa, nawet album o papieżu można dać w prezencie także nieznanemu, jeśli się bardzo przymawia, ale nigdy sprzedać. Jest w tym jakaś godność — nawet u najgorszego okazjduszy.

W ZSRS mówią o nas, że jesteśmy urodzonymi handlarzami. Najbardziej lubię jeździć do Wilna. Nie tylko ze względu na przeszłość i jej pamiątki. Także z uwagi na wymieszanie narodowości. Mieszkają tam Litwini, Rosjanie, Polacy i Żydzi. W dzisiejszej Polsce nie ma już tak egzotycznych tygłi. W Wilnie Żydzi trzymają z Polakami, których władza dyskryminuje: niby są dwie polskie szkoły średnie, ale przedszkoli już nie ma i maluchy muszą mówić po rosyjsku czy litewsku. Litwini, choć tłamszeni przez Rosjan, czują się gospodarzami. Katolicyzm jest w Wilnie bardziej tolerowany niż na przykład we Lwowie, gdzie trudno chodzić do kościoła, a Komsomoły organizują dla młodzieży antyreligijne prelekcje. Niestety, i w Wilnie, w kościele św. Kazimierza urządzono muzeum ateizmu. Ale to specyficzne miasto. Przed rokiem na „Kaziuki” (dwudniowy jarmark na św. Kazimierza z wielkimi tradycjami, gdzie jeszcze dziś można kupić wóz i parę koni) przyjechało kilkuset hippiesów z republik nadbałtyckich i Moskwy. Chodzili grupami, zwiedzali miasto,

śpiewali. Pod wieczór zaczęła się szarpanina z milicją i wielu zatrzymano, ale następnego ranka znów spacerowali po jarmarku.

Hippiesi w ZSRS — to warto obejrzyć. Dlatego, jak tylko mogę, wyrwam się z budowy gdzieś w drogę. Życie na miejscu jest monotonne. Wstaję o wpół do siódmej, śniadanie robię sam, bo w stołówce, choć jedzenie dobre, herbatę dają z kotła, czego nie lubię. Autokarem do pracy — budowa leży od osiedla o 2 kilometry. A w pracy, jak to w pracy. Bałagan taki sam jak u nas, albo i większy. Dalej obiad. A potem to już smutno. Prawie wszyscy piją, a ponieważ klub w ramach „piestrojki” przerobili na bezalkoholowy, więc teraz trzeba w pokojach. Ja po obiedzie robię sobie mocną herbatę i idę po zakupy. Sklepy spożywcze w osiedlu są lepiej zaopatrzone niż te zwykle. Dostawy według drugiej kategorii. Pierwsza to Moskwa, druga — duże miasta, stolice republik, wielkie budowy, trzecia — małe miasta, a o czwartej (wiojski i maleńkie miasteczka) lepiej nie mówić. Wczorzem można obejrzyć film, na ogół słaby, różne Poręby, z lepszych w ubiegłym roku trafił się „Amator” Kieślowskiego, „Ziemia Obiecana” Wajdy i „Seksmisja”, na którą waliły tłumy Ukraińców i Rosjan, choć wersja w kinie sowieckim pod tytułem „Nowyje Amazonki” była o 20 minut krótsza — wycięto wszystkie „momenty”.

Po kinie wódeczka i pogaduszki ze współmieszkańcami, których mam dwóch. Jakoś się dopasowaliśmy do siebie. Ja długo żyłem w internacie, potem wynajmowałem pokoje — umiem się dostosować. Wreszcie spać. A rano znowu do kieratu...

Tak, że nie pytajcie mnie, co słycać w ZSRS. Pytajcie, co słycać na budowie, albo na wileńskim jarmarku, albo o ile podnieśli normy Jaszy, mojemu znajomemu z Kamieńca i co Jasza sądzi w związku z tym o „piestrojce”, a sądzi nie najlepiej. ■



Z biblioteczki emigrantki

Józef Garliński: Niezapomniane lata. Dzieje Wywiadu Więziennego i Wydziału Bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej. Londyn 1987 Odnowa.

Autor, urodzony w 1913 r. w Kijowie, jest postacią znaną w środowisku emigracji londyńskiej. Prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, redaktor *Pamiętnika Literackiego* (nie mylić z lwowskim, obecnie wrocławskim kwartalnikiem o tym samym tytule), profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Laureat nagrody Jurzykowskiego w 1975 r. (za książkę „Oświęcim walczący”), zyskał sobie szeroką popularność tłumaczeniami na inne języki opracowaniami dotyczącymi niektórych sensacyjnych tematów z historii drugiej wojny światowej („Ostatnia broń Hitlera”, „Enigma”).

Temat niniejszego opracowania ujmował autor już dwukrotnie, tuż po wojnie, a więc „na świeżo”. W listopadzie 1945 r. powstał jego raport dla kontrwywiadu sztabu naczelnego wodza. Wtedy też napisał Garliński dwie powieści, wydane dopiero w latach sześćdziesiątych: „Dramat i opatrzność” oraz „Matki i żony”. Czytając je, ma się pewność, że opisują sprawy, które znane są autorowi z doświadczenia osobistego i ludzi bliskich. Teraz można skonfrontować wrażenia z lektury utworów fabularnych z opracowaniem, które z założenia ma pełnić rolę wyczerpującej pracy historycznej.

Nie podważając w niczym historycznej rzetelności autora i jego bogatego warsztatu, oparte-go na przechowanych dokumentach, wspomnie-

niach własnych, obfitej literaturze przedmiotu oraz ustnych bądź listownych relacjach świadków, trzeba powiedzieć, że „Niezapomniane lata” także czyta się jak powieść. Tyle tu niezwykłych sytuacji, tyle dziwnych zbiegów okoliczności, tyle wreszcie sensacji. Talentowi narracyjnemu Garlińskiego zawdzięczamy na przykład trzymającą w napięciu historię wykrycia i likwidacji prowokatora Józefa Hammera. Albo — określane przez samego autora mianem „sytuacji, o jakiej czyta się w złych powieściach” dzieje biernego wciągnięcia do współpracy ubogiego Ślązaka, *Volksdeutscha*, który podstawioną mu przez podziemie kobiecie udzielał (za pieniądze) cennych informacji. Byłoby rzeczą ciekawą wczuć się w psychologię tego strażnika w Alei Szucha, wniknąć, czy rzeczywiście nie domyślał się, kto stoi za tą młodą kobietą, która darzy go swymi względami, a na dodatek płaci za przekazywane informacje.

Garliński rekonstruuje dzieje działań wywiadowczych na terenie więzień warszawskich od czasu, kiedy objął tę placówkę aż do wybuchu Powstania Warszawskiego i likwidacji Pawiaka (Garliński był już wówczas aresztowany i wywieziony do Oświęcimia).

Praca Garlińskiego sprawia wrażenie solidnej i jest niewątpliwie pożyteczna. Czytając „Niezapomniane lata”, trudno się wszakże oprzeć przekonaniu, że dla autora — i bohatera wydarzeń — najwyższą wartością była jego praca, jego pociągliwość zbudowana siatką agentów i kontaktów. Ta skala wartości przebija się przez powściągliwy ton narracji historyka w paru znamienych miejscach. Wtedy, gdy Garliński przy-

znaję, że nie umiał opanować żalu, kiedy udane odbicie 21 więźniów przyniosło wolność inżynierowi Walterowi, ale tym samym zaprzepaściło szanse na utworzenie na terenie Pawiaka małej radiostacji, która mogłaby przekazywać na zewnątrz potrzebne informacje. Albo wtedy, gdy pisze, że jego wewnętrzna siatka wywiadu więziennego „poniosła niespodziewaną stratę”, ponieważ jednemu z ważnych informatorów, Leonowi Wanatowi, udało się zbiec.

Miłosz Kowalski: Mikołajek w szkole PRL. Ry-sunki: Masław. Londyn 1987, Aneks.

Książeczka ta, wydana poprzednio w kraju nakładem niezależnego wydawnictwa „Rytm”, stała się tam prawdziwym bestsellerem. Pomysł zaczerpnięto od pary francuskich autorów (Sempe i Goscinny), twórców popularnej postaci Mikołajka („Rekreacje Mikołajka”, „Przygody Mikołajka”). Realia wzięto z życia codziennego w szkołach polskich w okresie po wprowadzeniu stanu wojennego.

Podobnie jak we francuskim pierwowzorze, bohaterami są chłopcy o dziwacznych często, archaicznych imionach (tam: Ananiasz, Maksencjusz, tu: Bożydarek, Spytko, Masław). Główny bohater opowiada o swoich szkolnych przygodach z tą dziecięcą naiwnością, która nieodmiennie wzbudza w dorosłych czytelnikach wybuchy śmiechu.

Jedno, co różni „Mikołajka w szkole PRL” od jego francuskiego pierwowzoru to to, że tutaj wszystkie prawie przygody mają charakter polityczny. Wymazywanie nieprawomyślnych napisów na ławkach szkolnych przed wizytą milicjanta, nieudolnie szyfrowane rozmowy telefoniczne rodziców zamawiających „bibułę”, stosunek dzieci do paczek z cukierkami przysyłanych przez dzieci sowieckie — oto świetnie podpatrzone realia życia w stanie wojennym. Posłuchajmy, jak opowiada Mikołajek.

Babcia często daje mi pieniądze na czekoladę albo pomarańcki, zupełnie jakby sklepy były tego pełne. I w ogóle jest niedzisiejsza. Wcale nie interesuje się polityką i ciągle mówi mamie, że nie powinna się w nią angażować, bo ma dziecko. Po pierwsze, wszyscy mają dzieci i gdyby walczyć z czerwonym mieli tylko ludzie bezdzietni, to w ogóle nie mielibyśmy żadnych szans, tak mówi mama. A po drugie, to dzieci mogą się bardzo dobrze przydać, mogą na przykład przenosić bibułę w tornist-

rach, no nie? Ja nawet proponowałem to mojej mamie, bo nie słyszałem jeszcze, żeby milicja rewidowała tornistry, ale mama do tej pory nie skorzystała z mojej propozycji. Jestem bardzo zawiedziony, bo zawsze chciałem zrobić coś dla „Solidarności”. Moja ciocia ma malutkie dziecko, które jeździ w wózku i już nieraz przewoziła w tym wózku bibułę. Zazdroszczę temu gnojkwowi, no bo co? Taki mały, a już się zasłużył! No i potem, jak zacznie już mówić, na pewno będzie się przede mną przechwalać. Tata twierdzi, że w przyszłości ten mały będzie mógł na tej podstawie ubiegać się o przyjęcie do ZBOWiD-u.

Omawiana książka ma tylko jedną, bardzo poważną wadę: jest zdecydowanie za krótka.

Stanisław Barańczak: Przed i po. Szkice o poezji krajowej przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Londyn 1988, Aneks.

Wyjaśniając tytuł tego zbioru recenzji tomików poetyckich, wydanych w kraju w latach 1978-1986 (plus jeden wyjątek z roku 1975), Barańczak pisze: „Wszystko przemawia za tym, że wydarzenia lat 1980-1981 stanowią będą jeden z punktów węzłowych nie tylko dwudziestowiecznej historii Polski, ale i historii poezji polskiej tego stulecia.” Cezura roku 1981 ma też dla niego znaczenie osobiste: „Tak się składa, że podział na »przed« i »po« stanowiący podstawę konstrukcyjną tej książki, odnosi się w równej mierze do historii literatury i do własnej biografii autora. Wyjechałem z kraju w marcu 1981 r. Wszystkie szkice o poezji »przedgrudniowej« pisałem więc jeszcze jako krytyk krajowy, wszystkie szkice o poezji »pogrudniowej« — już jako krytyk emigracyjny.”

Myliłby się ktoś, kto po tych paru słowach wstępu sądziłby, że książka Barańczaka proponuje ostry podział poezji krajowej na dwie diametralnie różne fazy. Lektura książki dowodzi, że — choć pojawiły się nowe tematy, nowe problemy — poezja polska nie zmieniła się w sposób zasadniczy w grudniu 1981 r. I dlatego, jak sądzę, książka Barańczaka nazywa się „Przed i po”, nie zaś na przykład „Po a przed”.

„Przed i po”, jak każdy zbiór recenzji i krótkich szkiców, to książka niejednorodna. Są w niej wszakże teksty znakomite, które już wcześniej drukowane na łamach prasy, czytane były z uwagą i podziwem.

Jak przełknąć tę żabę?

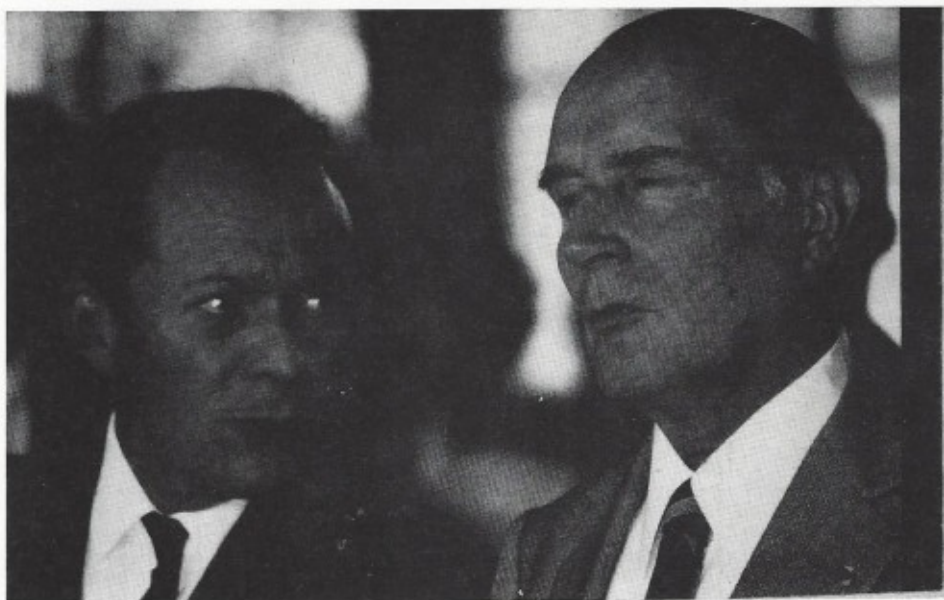
Korespondencja z Francji

Francja przeżywa na swój sposób szok. Seria wyborów prezydenckich, następnie parlamentarnych nie dała jasnego wyniku. Nikt nie kwestionuje rzecz jasna, instytucji demokratycznych Republiki, jakkolwiek co do samego sposobu wyborów większościowych miał zastrzeżenia lider Frontu Narodowego (FN) J. M. Le Pen, zresztą nie bez racji. Po pierwszej turze wyborów do Zgromadzenia Narodowego (5 czerwca) komentatorzy życia politycznego zamarli, zaś czołowy (i gadatliwy) Alain Duhamel, w państwowej sieci telewizyjnej A2 oświadczył wręcz w zdenerwowaniu, że to co się obecnie dzieje we Francji nie da się skomentować, po prostu można oglupieć, i ku osłupieniu innych zamilkł. Spróbujmy w największym skrócie uporządkować wydarzenia. Po ponownym wyborze François Mitterranda (8 maja) na prezydenta Republiki zaskoczył on wszystkich błyskawicznym rozwiązaniem Zgromadzenia Narodowego i rozpisanie nowych wyborów. W ten sposób, za ledwie w okresie niepełnego miesiąca, prezydent ponownie „zarwał” dwie niedziele (dwie tury wyborów) narodowi, przekonaniu po sukcesie Mitterranda, że można już przestać zajmować się polityką.

Mitterrand chciał, zanim popełnione zostaną pierwsze decyzje, czy nawet pierwsze ewentualne błędy nowego rządu Michela Rocard, wejść przebojem do Zgromadzenia, z socjalistyczną większością, wykorzystując własną popularność. Na lewicy ukuto nową frazeologię, zamazano symbole socjalizmu, a sam ten termin był w tym okresie jedynie w użyciu prawicy. Prezydent wy-

brał do propagandy dwa pojęcia-klucze: „L'ouverture” czyli *otwarcie* i „Majorite presidentielle”, czyli *większość prezydencką*. Zabiegi te miały przekonać Francuzów, że socjaliści nie chcą zmonopolizować życia politycznego kraju, cedując (na tym miała polegać owa „l'ouverture”) po wygraniu wyborów znaczną część swojej nomenklatury na tzw. społeczeństwo cywilne, skupione wokół prezydenta (stad owe „Majorite presidentielle”). W istocie jednak chodziło (i chodzi w dalszym ciągu) o oderwanie od UDF (Union des Democratres Francaises → Unia Demokratów Francuskich) jej centro-lewego skrzydła. Prawica po przegranych wyborach prezydenckich zmieniła strategię, a póki co zaniechała propagandy. Przede wszystkim podkreśliła swoją jedność (nauczka po wystawieniu dwóch kandydatów na prezydenta), i na czas wyborów zamazała nawet nazwy własne, jak RPR (Rassemblement pour la Republique – Zgromadzenie na rzecz Republiki) i UDF występując jako Unia Republikańska i Centrum (URC).

W dniu 5 czerwca odbyła się pierwsza tura wyborów. Same zaskoczenia. Przede wszystkim więcej niż co trzeci obywatel nie pofatygował się do urny – postawa obywatelska dotychczas nieznaną w V Republice. Ale jeszcze większym zaskoczeniem był sam rezultat wyborów: prawica 40,5%; większość prezydencka (czyli socjaliści) 38%; komuniści 11% (nagły wzrost popularności o ok. 50%) i Front Narodowy 9,5% (spadek popularności o ok. 30%, najczęściej na rzecz komunistów). „Zieloni” wylimowani całkowicie z



Premier Michel Rocard i prezydent François Mitterrand

mapy politycznej (uzyskali 4% w wyborach prezydenckich).

Francuski (parlamentarny i nie tylko) system wyborczy jest dość skomplikowany. Klasyczne *proporcjonalne* wybory polegają na tym, że zwycięża kandydat, który uzyskuje największą ilość głosów. Takie wybory przywrócili socjaliści po zwycięstwie Mitterranda w 1981 r. Ten system wyborczy pozwoli wygrać prawicy wybory parlamentarne w 1986 r., a Frontowi Narodowemu zapewni 32 deputowanych. Prawica, po wygranych wyborach w 1986 r. (na własną zgubę) przywróciła wybory *większościowe*. By wygrać, należy w pierwszej turze uzyskać ponad 50% głosów. Uda się to zaledwie w co dziesiątych wyborach. Reszta rozstrzyga się w drugiej turze. Do drugiej tury przystępują ci kandydaci, którzy w pierwszej uzyskali więcej niż 12,5%, a mniej niż 50% głosów. Przykład: Kandydat „A” uzyskał w pierwszej turze 32%, „B” 20%, „C” 17%. W wyborach *proporcjonalnych* „A” byłby zwycięzcą. W wyborach *większościowych* wygra ten, który uzyska poparcie innego kandydata. Wygrać może nawet „C”, jeśli ma dla „B” propozycje nie do odrzucenia. Możliwa też jest każda inna kombinacja; ta zależy od układów lokalnych, a może nawet bardziej od

centralnych. Stawką jest przecież miejsce w parlamencie lub stanowisko ministra, sekretarza stanu itp.

Teoretycznie przedstawiony tu system wyborczy, do czerwca 1988 r. eliminował słabszych, faworyzował silniejszych. W obecnych wyborach wyglądało to w ten sposób, że komuniści, którzy uzyskali w pierwszej turze wyborów 11% głosów, w drugiej turze zapewnili sobie aż 27 deputowanych, Front Narodowy 9,5%... i tylko jednego deputowanego. W wyborach proporcjonalnych jedni i drudzy mieliby (teoretycznie) po ok. 10% miejsc w Zgromadzeniu Narodowym. Dlatego też, jak zaznaczyłem na wstępie, Le Pen uznał te wybory za niedemokratyczne.

Pierwsza tura wyborów była zaskoczeniem dla wszystkich bez wyjątku. Okazało się, że większość prezydencka, może być mniejszością. Zaskoczony wynikiem Mitterrand dwukrotnie pojawił się w telewizji (a robi to wyjątkowo rzadko) i wezwał do konsekwentnego głosowania, tzn. by ci, którzy pozwolili mu zasiąść w Pałacu Elizejskim, obecnie pozwolili jego rządowi rządzić bez większych kłopotów, tj. z poparciem deputowanych, mających stanowić większość w parlamencie. Lecz tej zaby nie dało się przełknąć. Polityka

otwarcia, lansowana przez Mitterranda poniosła porażkę... lecz nie przyniosła sukcesu prawicy i centrum. Pierwszy raz w dziejach V Republiki żadna partia (ani koalicja) nie uzyskała formalnej większości. Uzyskano następujące wyniki do Zgromadzenia Narodowego (w nawiasie liczba deputowanych z poprzedniego Zgromadzenia). LEWICA: 303 (246), w tym komuniści 27 (35); PRAWICA: 272 (331), w tym FN 1 (32). Choć arytmetycznie lepiej w ostatnich wyborach wyładowała lewica, to jednak nie dysponuje ona większością wystarczającą do prowadzenia samodzielnej polityki. Zapowiadają się chwiczne rządy, jak to dziś określa prasa: „raz na lewo, raz na prawo”.

W ten sposób Francja zbliżyła się do Europy, to znaczy do modeli parlamentarnych większości państw kontynentu (z wyjątkiem, rzecz jasna, państw przodującego ustroju). Ale ta nowa sytuacja tylko połowicznie rozwiązuje problemy, bowiem nikt nie wie, co ma stanowić trzecią siłę polityczną, popierającą Mitterranda. Chcieliby nią być komuniści, ale prezydent nauczone smutnym doświadczeniem nie pali się do takiej koalicji. Z kolei socjaliści mogą liczyć na poparcie komunistów w polityce socjalnej, zaś na prawicę w polityce obronnej. Ale pozostaje jeszcze tyle sfer działalności rządowej, gdzie socjalistom nie na rękę jest ani poparcie komunistów, ani prawicy, że doprawdy trudno dziś wyrokować jak potoczą się dalsze dzieje Republiki. Już raz rząd miał z komunistami do czynienia i nie spieszo mu — jak do teraz — na podobną koalicję. Póki co, rządy opierają się o koniunkturalne sojusze. Przykładowo komuniści popierają kandydaturę byłego premiera L. Fabiusa na stanowisko przewodniczącego Zgromadzenia, w zamian za to socjaliści forsują uchwałę o umożliwieniu komunistom utworzenia własnej grupy parlamentarnej. By ją utworzyć, trzeba mieć 30 deputowanych, komuniści mają ich 27, więc trzeba będzie ten limit zaniżyć.

Rzecz jasna, sojusze socjal-komunistyczne (jak się mawia na prawicy) nie podobają się ani samym socjalistom, ani innym partiom. Prezydent forsuje więc w dalszym ciągu koncepcję otwarcia, która raz już zakończyła się fiaskiem. Po drugiej turze wyborów premier Rocard otrzymał polecenie utworzenia gabinetu w ten sposób, by połowę stanowili ludzie spoza partii, tak zwani reprezentanci społeczeństwa cywilnego. Choć premierowi nie było to na rękę, spełnił życzenia prezydenta, rozszerzył do monstrualnych rozmiarów gabinet (prawie pół setki ministrów, sekretarzy stanu itp),

wprowadził do rządu osobistości popularne, z tzw. społeczeństwa cywilnego... i ku zdumieniu wszystkich... nie z centrum, ale z klasycznej prawicy, dwie osobistości pierwszego garnituru. Zawrzało! Ale po chwilowym zamieszaniu okazało się że owi prawnicy ministrowie nie zostali ani potępieni, ani wykluczeni ze swych pozostających w opozycji partii. Czyżby weszli do gabinetu premiera Rocard'a z określoną misją? Jedną z tych osobistości, senator, przewodniczący Rady Regionu Lotaryngii, mer Metz'u, oświadczył wręcz, że wchodzi do gabinetu na stanowisko technokratyczne (handel zagraniczny), nie zaś polityczne, po to, by stawić tamę socjal-komunie. O dziwo, i to oświadczenie przyjęto bezkarnie w rządzie i w pałacu prezydenckim. Obsadzenie stanowisk ministra handlu zagranicznego i ministra pracy zakłóciło krwiobieg polityczny dołów partyjnych wszystkich sił. Socjaliści zarzucają premierowi (nikt tu nie śmie krytykować wprost prezydenta), że zdradza on interesy lewicy i mas. Na prawicy oskarża się przywódców o zdradę dołów partyjnych; jeszcze przed miesiącem żądano od członków lojalności, bicia w socjal-komunę, dziś zaś przyjmuje się od socjalistów najwyższe stanowiska w Państwie; za jaką cenę? Tego — jak dotychczas — nikt nie wie!

Wydaje się, że owa koronkowa robota, to dzieło Raymonda Barre'a, który zaskoczył całą prawicę ujawnionym ostatnio przez prasę skandalem. Zaraz przed wyborami prezydenckimi spotkał się on dyskretnie z Mitterrandem deklarując wobec świata sojusz z Chirackiem. Ale ów skandal okazał się nawet nie być skandalikiem. Co prawda, zbulwersował on niektórych, ale do dziś nie rozbił sojuszu prawicy z centrum. Jest pewne, że Barre celuje w utworzenie owej trzeciej siły politycznej we Francji, ale cena, którą za ten sojusz musieliby zapłacić socjaliści jest za wysoka. Barre, były premier, nie zadowolony był czym. Jest on dziś kontrowersyjnym politykiem, jednak wciąż politykiem najwyższego formatu. Za sojusz z Barrem Mitterrand musiałby zapłacić stanowiskiem premiera, kilkoma ministrami i koncesjami ideologicznymi. Być może taki spokój społeczny imponowałby w skali międzynarodowej Mitterrandowi, ale za dużo ma on do stracenia w samej Francji. Póki co, Barre oderwał się od grupy parlamentarnej RPR-UDF i stworzył własną, której nazwą zaakcentował mocno jej europejski charakter. Tak wyglądały przymiarki prezydenckie i centrowo-prawicowe do ewentualnego mariażu, o

którym teraz cicho. W międzyczasie należało spełnić, mimo wszystko, obietnice *otwarcia* na społeczeństwo. Po obsadzeniu kluczowych stanowisk przez socjalistów (dwa oddano jednak prawicy), wymyślono kilkanaście najwyższych funkcji dla „cywilów bezpartyjnych”. Przykładowo resortem zdrowia kierują dziś aż cztery funkcjonariusze. I tak np. inwalidzi mają dziś swojego ministra. Nikt, rzecz jasna, nie ma za złe socjalistom, że potworzyli podresorty kobiet, inwalidów, emerytów itp., tylko gdy spojrzeć na cały rząd Rocard, wygląda on obecnie nie jak gabinet, lecz jak jakaś masówka. Praktycznie w ostatnich dniach czerwca i na początku lipca kto chciał, mógł zostać ministrem. Co najgorsze, ci którzy zostali ministrami, podjęli swoje urzędy, nie rozeznając istoty socjalizmu a la Mitterrand.

Pierwszy, który źle pojął swoją rolę, minister sprawiedliwości — oświadczył w Zgromadzeniu Narodowym, bez konsultacji z premierem, że nie jest on katem, a więzienia nie są obozami koncentracyjnymi. Następnie minister kazał przenieść z cel odosobnienia terrorystów skazanych za morderstwa (tylko ci siedzą w odosobnieniu). Przypomnijmy, że na mocy amnestii w 1981 r. prezydent Mitterrand darował kary niektórym „zbawcom proletariatu”, którzy później... krwawo przypomnieli o swoim istnieniu światu. Prawica podniosła krzyk, że ona zamyka terrorystów, zaś lewica ich wypuszcza. Społeczeństwo wyculone jest, szczególnie we Francji, na terroryzm i premier Rocard zganiał ministra, odwołał jego decyzję, podczas gdy szykował się już kolejny skandal.

Inny amator polityki, międzynarodowej sławy onkolog prof. Leon Schwarzenberg przyjął tekę ministra zdrowia. Był on autorem wielu pomysłów z zakresu medycyny społecznej. Uważał, że należy rozdawać uzależnionym narkotyki, by tamować kontrabandę. Inny projekt, to obowiązkowe testowanie na AIDS kobiet w ciąży i pacjentów udających się na operację. Oczywiście projekt nie przeszedł, bowiem jak można żądać od wolnych obywateli jakichś testów, które wkraczają w prywatne życie jednostki? Prof. Schwarzenberg został poproszony przez premiera Rocard o dymisję, co też uczynił. Jeśli dodamy do obecnych kłopotów premiera Rocard pomysły wyborcze Pana Prezydenta, polegające na odebraniu bogatym i rozdaniu biednym (sam pomysł uległ już kilku modyfikacjom, wraz ze zmianą nazwy projektowanego podatku) to uzyskamy w przybliżeniu obraz obecnego życia politycznego Francji. Mało te-

go — jeszcze w tym roku Francuzi będą musieli głosować w sprawie Nowej Kaledonii, zamorskiego departamentu Francji na Pacyfiku. Poza tym odbędą się jeszcze wybory do rad kantonalnych (najmniejsza jednostka administracyjna), a w marcu przyszłego roku do rad miejskich. Wyborcy są jednak coraz bardziej zmęczeni demokracją, a ich zainteresowanie polityką najwyraźniej spada.

★ ★ ★

Piszę te słowa w 199 rocznicę zburzenia Bastylii, 14 lipca. Tradycyjnie w Pałacu Elizejskim Prezydent gości siedem tysięcy osobistości, i tyle też zasiada do przekąski, zakąski, degustacji i jedzenia. Chyba żaden naród nie kocha tak jeść jak Francuzi. Tymczasem Pan Prezydent udziela tradycyjnego wywiadu. Trwa on dość długo, by być zdenerwowanym, że nic z niego dla *Poglądu* nie wynika. Prezydent oznajmia jednak, że w ciągu pięciu lat stanie w Paryżu największa biblioteka świata, połączona w systemie elektronicznym z innymi bibliotekami europejskimi.

Znając francuskie cudeńko jakim jest w zakresie informatyki tzw. mini-tel, dostępny komputer dla każdego, gratis, do zainstalowania przy telefonie, wiedząc, że na czas stanęła wieża Eiffela ruszyło metro, zbudowano Centrum G. Pompidou, wierzę, że w Paryżu stanie największa na świecie biblioteka, choćby imieniem François Mitterranda. Huk petard, wystrzeliwane fajerwerki, frajda dla dzieci, samochody pędzące przy dźwiękach klaksonów bez celu tam i z powrotem. Francuzi uradowani, najedeni, zde gustowani (winem) powoli przygotowują się do wakacji. Centrum Francji przenosi się z Paryża na południe. Do Awinionu, Aix-en-Provence, Nicei... gdzie odbywają się dziesiątki imprez, przeglądów i festiwali. W Paryżu pozostają nieliczni, napływają zagraniczni turyści. I tak aż do września.

Znudzony wywiadem z Panem Prezydentem, zastanawiam się jak można tak długo mówić, tak wiele mówić i w zasadzie nic ciekawego nie powiedzieć. Pamiętam jak Leopold Unger, przy okazji wizyty Jaruzelskiego w Paryżu, napisał później w *Kulturze* kilka słów o Mitterrandzie, które w każdym słowie wydawały mi się przesadzane. Sięgam więc do źródła (styczeń-luty 1986) i czytam: „Kto zna charakter Mitterranda, ten wie, że nie jest to kombinacja przesadna. Jest to bardzo wybitny polityk i intelektualista, ale niesły-

chaniem próżny człowiek.” Nie znam na tyle Pana Mitterranda, na ile zna go Pan Unger, ale znam na tyle Pana Ungera, by go przy tej okazji zacytować.

W Paryżu bawił na zaproszenie Instytutu Stosunków Międzynarodowych Mieczysław Rakowski. *Le Monde* z 29 czerwca zamieścił z nim wywiad, w którym czytamy m.in. że „...Francja sypia (coucher) chętnie z Polską, lecz nie chce jej poślubić”. Egzegezy tego fragmentu tekstu dokonało BBC w dniu 30 czerwca. Chodzi o to, że Francja utrzymuje stosunki z polską opozycją, stroni zaś od rządu. Z tego samego wywiadu, dowiadujemy się, że Polska w ciągu najbliższych dwóch lat zadziwi cały świat. Widocznie Rakowski tak zadziwił na zapas wszystkich, że zaginął po nim już w prasie francuskiej ślad. Z jednym wyjątkiem. Pod koniec wizyty w organie Komunistycznej Partii Pracy *L'Humanite* dowiadujemy się o pobycie Rakowskiego we Francji i o tym, że w Polsce sytuacja jest skomplikowana... i dalej, jak w *Trybunie Ludu*, aż do zdumienia.

Dokończenie ze str. 66

Mam tu na myśli szczególnie drukowany w pozacenzuralnym *Zapisie* szkic o poezji Jana Polkowskiego, w którym krytyk po raz pierwszy uchwycił i nazwał tak dla niej charakterystyczny splot różnych perspektyw czasowych i kulturowych („Działanie poetyckie wiersza Polkowskiego polega na subtelnym, niemal niedostrzegalnym zderzeniu ze sobą paru na raz wymiarów rzeczywistości i ich wzajemnym ironicznym skonstrastowaniu”). Mam też na myśli szkic „Z podnóża schodów”, obalający mit o „klasyczności” i „stojcyzmie” poezji Zbigniewa Herberta, i pokazujący charakterystyczną dla niej, zwłaszcza w ostatnich latach, postawę wierności wobec narodu i bliźnich, pokazujący „jak bardzo ta poezja dotyczy nas samych”.

Świetny jest też Barańczak wtedy, kiedy z ciętą ironią obnaża puste, nadęte wielkości na scenie polskiej poezji. Oto kilka znamienitych przykładów: „Spośród innych poetów Wit Jaworski wyróżnia się głównie tym, że posiada motocykl.” „Gumka Śliwonika wymazuje »detale« świata, ale nie wymazuje zbędnych słów.” „Jak wiadomo na podstawie historycznych przykładów, na rolę

wieszczą składa się, po pierwsze, patriotyzm, po drugie, geniusz poetycki. Ten ostatni reprezentowany jest w dorobku Drozdowskiego przez liczne deklaracje zadowolenia z własnej potęgi twórczej.”

Pisząc o poezji stanu wojennego, Barańczak ze szczególną troską i niepokojem wykrywa w niej przewagę „my” nad „ja”, skłonność do zdejmowania z siebie odpowiedzialności i do przemawiania w imieniu innych. Pisze na przykład: „Skrzyżowanie Azji i Europy (żeby już pozostać przy tej symbolice) znajduje się, zdaniem Tomasza Jastruna, w pogrudniowej Polsce. Ale jest on przecież zbyt inteligentnym poetą, aby nie wiedzieć, że tak naprawdę mieści się ono w duszy każdego z nas.” Najdobitniej — i w tym wypadku moim skromnym zdaniem niesłusznie — protestuje Barańczak przeciwko nadużywaniu pierwszej osoby liczby mnogiej w recenzji z podziemnego tomiku J. M. Rymkiewicza „Ulica Mandelsztama i inne wiersze z lat 1979-1983”. Wytrawny krytyk nie dostrzegł w tym wypadku użytej przez Rymkiewicza stylizacji na pełną patosu lirykę obywatelską z okresu upadku niepodległości w końcu XVIII wieku. Dużo trafniejsza wydaje się analiza poezji, która „wyręcza się” zbiorowym mitem — na materiale, zaczerpniętym z twórczości autora, używającego pseudonimu „Marcin Komiega”.

„Przed i po” nie jest żadną miarą syntetycznym ujęciem nowej polskiej poezji. Ale dostarcza do takiego ujęcia sporo trafnych ustaleń i wnikliwych analiz.



Znaczkę poczty podziemnej do nabycia w redakcji. Seria: wolność prasy 3,- DM

Z Rzymu...

Jan Tyberski

Sposoby

Bojkot izraelskich grapefruitów miał być skutecznym sposobem wymuszenia na Tel Aviwie odstąpienia od represji wobec zbuntowanych Palestyńczyków na Lewym Brzegu i w strefie Gazy. Na pomysł wpadły tzw. czerwone kooperatywy, które w swoich rękach mają wcale imponującą sieć sprzedaży detalicznej — supermarketów. Wyrazy uznania dla inicjatywy trafiły nawet na łamy partyjnego dziennika *L'Unita*, po czym sprawa jakby przycichła. Aż odezwały się głosy na temat faktycznych „ofiar” bojkotu: przy produkcji grapefruitów „Jaffa” zatrudnieni są ponoć Palestyńczycy, w nich zatem wymierzone jest ostrze antyizraelskiej akcji. Inicjatorzy jej stropili się więc i nie mieszały już polityki z handlem. Ktoś jednak postanowił nie dać za wygraną. Znalazł skuteczniejszy sposób: gruchnęła wiadomość, że grapefruity made in Israel są zatrute. Zaczęły napływać sygnały z terenu, że tu i tam we Włoszech natrafiono na owoce o dziwnym, błękitnawym kolorze. Parę osób samorzutnie zgłosiło się do szpitala, prosząc o płukanie żołądka, bo nigdy nic nie wiadomo. Minister zdrowia zakazał sprzedaży grapefruitów, od razu wszystkich, skądkolwiek, i tydzień trwało denerwujące napięcie. Ktoś widział cytryny zakażone Aidssem... Strach ma wielkie oczy i długi język. Miejscowy „Sanepid” w rekordowym tempie dokonał wszystkich koniecznych analiz i okazało się, że jakiś dowiecniś wstrzykiwał do grapefruitów z Jaffy niewinny barwnik. Publicznie zawstydzono nieznanego sprawcę, po czym te bardzo popularne we Włoszech owoce „południowe” wróciły do handlu. Cóż z tego, skoro nikt ich już nie kupuje. I kto wie, jak długo potrwa barwnikowa psychoza, która okazała się jakże skuteczniejsza od zabarwionego na czerwono politycznego bojkotu. Są różne sposoby, ale tak naprawdę dzielą się na skuteczne i nie.

★ ★ ★

Temat jest poważny i nie żądajcie ode mnie, bym ujął go jak należy, lub co najmniej — wyczerpująco. Chodzi o antysemityzm, którego groźne

początki czy raczej nawroty napiętnował niedawno główny rabin Rzymu, najpierw w prasie Izraela a potem już tu, w domu, m.in. w telewizji. Tam zresztą okazało się, że podnerwowanie nie jest dobrym doradcą, gdyż rabin Toaff, osoba ze wszech miar godna szacunku i podziwu, sam popadł w jakieś dziwne „rasowe” wynurzenia na temat Włochów — dziwne choćby dlatego, że Żydzi włoscy uważali się i uważają przede wszystkim za Włochów, tymczasem rabin oświadczył, że Włosi to naród porywczy i niepoważny. Głównym winowajcą tego, co się dzieje jest, zdaniem Toaffa, Kościół katolicki. Część prasy katolickiej — włoskiej — nadal ulega fascynacji tekstami w rodzaju Mędrcofów Syjonu i bez żenady porównuje metody stosowane przez rząd Szamira do tego, czym wyróżnili się SSmani... W telewizyjnej dyskusji rabin Rzymu bardzo szybko jednak przeszedł do naprawdę interesującej go sprawy: kiedy Watykan uzna państwo Izrael? Rzecz w tym, przypomniał mu obecny w studio biskup katolicki, że jak długo będą mieszać państwo z wyznaniem i obstawać przy konieczności uznania Izraela jako ostatecznego dowodu wyrzeczenia się uprzedzeń rasowych, tak długo każda krytyka posunięć Tel Avivu będzie dla nich stokroć boleśniejsza, niżby należało się spodziewać.

Najlepszym przykładem istoty nieporozumienia — (ma ono w gruncie rzeczy, zdaniem strony żydowskiej, polegać na tym, że o ile „góra” Kościoła porzuciła nieufność wobec Narodu Wybranego, o tyle kościelne „doły”, czy raczej „teren” nadal jest nastawiony do niego niechętnie; kiedyś było jakby odwrotnie: Papieżowi, przed jego wizytą w rzymskiej synagodze, zarzucano, że nie bierze przykładu z „awangardowych” wspólnot kościelnych, które prywatnie i samorzutnie zerwały z postawą przeszłości itd; tak źle, i tak niedobrze) — jest reakcja obu stron na takie oto wydarzenie: do stołecznego szpitala przywożą, z ulicy, chorego na serce Żyda. Pielegniarz widzi na jego ramieniu obozowy numer. — Ileście dzisiaj wykończyli Palestyńczyków? — pyta chorego. Dla rabina Toaffa jest to kliniczny przykład antysemityzmu. Dla biskupa Rosano — objaw chamstwa i braku wychowania.

★ ★ ★

Od widm przeszłości, uciekamy myślami do tzw. świetlanej przyszłości. Pomysły już są. Grupa włoskich zielonych „Verdi” wyraźnie zaskoczona

fantazją amerykańskich współwynawców, którzy rzucili myśl: niech żyje AIDS, przynajmniej w sposób naturalny, niemal zdrowy pozbedziemy się „nadwyżek” demograficznych, przysiadła i wykoncypowała — patent na rozmnażanie się. Takie pozwolenie, jak prawo jazdy. Gdzie byłoby napisane, że jesteś zdrow, mądry, najlepiej bez nalogów i zważywszy wszystkie teorie o dziedziczeniu, są podstawy, by syn twój — lub córka — w każdym razie „potomek” był taki sam: zuch, przyzwoity i niepalący. Z tym możesz iść do kózka, lub gdzie kto tam się lubi rozmnażać, a po tzw. rozwiązaniu — do urzędu stanu cywilnego, by pociechę zarejestrować. Bo bez prawa — nie rejestrują. Dostyc kalek, półgłówek, cherlaków, mówi dyskobol, który rzucił pomysł. Miejsca przy stole mało, niech ci tylko jedzą, co zasłużyli. Jednym słowem, czas postawić na jakość. Niech się ludzie nie mnożą bez pojęcia, bez matury, prawa jazdy czy „patentu”. Rozumowanie przyszłościowe: tego jeszcze nie było! ■

Z Kopenhagi

Roman Śmigielski

„Tygodnik Mazowsze” po duńsku

Zagadkę stanowi fakt, co się właściwie stało z „żelazną kurtyną”. Sformułowania tego użył po raz pierwszy Churchill przed przeszło 40 laty. Od tego czasu spłynęło Wisłą wiele wody, a także wiele chemikaliów i być może to one sprawiły korozję owej kurtyny. Ale są też inne hipotezy. Ludzie znający życie na Wschodzie twierdzą, że ją po prostu ukradziono, by następnie sprzedać na złom na czarnym rynku. „Beton” twierdzi z kolei, że kurtynę zjadła stonka żelaziana nasłana przez CIA.

Właśnie wśród „betonu” fakt zniknięcia kurtyny budzi niepokój, gdyż istnieje obawa, że z niego właśnie zbuduje się nową kurtynę, tym razem betonową. Swoją drogą przydałaby się ona już przed dwoma laty, gdyż mogłaby zatrzymać czarnobylskie promienie. Jak wiadomo, żelazna kurtyna działała w obie strony i zatrzymywała mniej lub więcej skutecznie wymianę informacji między Wschodem i Zachodem i vice versa. Dziś, gdy kurtyny zabrakło, można sobie w Polsce słuchać

bez zagłuszania zachodnich radiostacji nadających w języku polskim — mało tego — leniuchy, którym się nie chce kręcić gałką, aby posłuchać „Wolnej Europy”, „BBC” czy „Głosu Ameryki”, słuchając Warszawy 1-szej ryzykując, że usłyszają niekomentowaną audycję pt. „Mówi Zachód”.

Brak kurtyny da się też zauważyć na Zachodzie. O ile dawniej od czasu do czasu można było w prasie zachodniej przeczytać wybrane artykuły z *Prawdy* czy też publikacje (*Rude Pravo*, *Neues Deutschland* i *Trybuna Ludu*), to teraz wydaje się te gazety w całości w mutacjach zachodniojęzycznych, zachowujących zarówno formę (liternictwo, nowo-mowę, itp.) i treść oryginałów. Co ciekawsze, wydawcami tych mutacji nie są zachodni komuniści kierowani względami ideologicznymi i pomocą finansową z Moskwy. Oficjalnie mówi się, że wydawcy chcą dać czytelnikom możliwość naoczego przekonania się, jak wymiana informacji i debata społeczna wyglądają na Wschodzie.

Duńscy czytelnicy mieli do tej pory okazję przekonać się o tym przy pomocy duńskojęzycznych wydań *Prawdy* i pekińskiego *Dziennika Ludu*.

Przyszła wreszcie kolej na prasę polską. Nie jest to jednak, czego niektórzy oczekiwali, *Trybuna Ludu*, czy *Żołnierz Wolności*, ani nawet *Polityka*. Organizacja Nej til Atomvaaben (Nie dla broni atomowej), o której pisałem w *Poglądzie* w związku ze Światowym Kongresem Pokoju, który odbył się w Kopenhadze jesienią 1986 roku (*Pogląd* nr 17/115 i nr 20/118), wydała duńską wersję *Tygodnika Mazowsze*. Zawiera ona wybrane artykuły z pięciu numerów (nr. 191, 193, 194, 195 i 200) *Tygodnika* i jest pod względem formalnym bardzo zbliżona do oryginału. Wydawcy przeproszą nawet swoich duńskich czytelników, że jakość papieru i druku jest z powodów technicznych lepsza od polskiego oryginału. Cena *Tygodnika Mazowsze* po duńsku wynosi w regionie Mazowsze 15 złotych, poza regionem 20 złotych, a w Danii 5 koron. Nej til Atomvaaben nawiązała ścisłe kontakty z ruchem „Wolność i Pokój”. Rezultatem tej współpracy jest obecnie akcja podpisywania umów pokojowych między pojedynczymi obywatelami Polski i Danii. Do akcji tej dołączyła się też inna duńska organizacja Militaernaegternes LKU, zrzeszająca ludzi odmawiających służby wojskowej. Tekst tej umowy brzmi następująco:

„Podpisując niniejszą umowę wyrażamy zaufanie między osobami objętymi umową, zarówno obywatelami wschodniej jak i zachodniej Europy. Oświadczamy też, że odzegnujemy się od wzajemnego użycia przemocy. Podpisując niniejszą umowę, jesteśmy świadomi, że zostanie ona opublikowana jako krok dla przezwyciężenia wzajemnego braku zaufania na Wschodzie jak i na Zachodzie. Umowa jest apelem do osób ze wschodniej i zachodniej Europy, aby podejmować kontakty i w ten sposób niweczyć, choćby w małym stopniu, podział na bloki polityczne.”

W grudniu ubiegłego roku *Nej til Atomvaben* wydało 12-stronicową gazetę poświęconą w całości Polsce, a zatytułowaną *Fokus na Polskę*. Zawiera ona m.in. tłumaczenie deklaracji Solidarności Polsko-Czechosłowackiej podpisanej w sierpniu 1987 r., artykuły o „Wolności i Pokoju”, o cenzurze i protestach przeciwko budowie w Polsce elektrowni atomowych, a także fragment „Małej Apokalipsy” Tadeusza Konwickiego, wydanej w Danii przed czterema laty.

W chwili obecnej wydaje się, że przy braku żelaznej kurtyny i dość swobodnym przepływie informacji ze Wschodu na Zachód, dojsć może do tego, że proletariusze, a także i inne grupy społeczne, wszystkich krajów połączą się i to jest chyba największym niebezpieczeństwem dla władców wschodniej Europy.

Nagroda „Wolności” dla polskich prawników

Duńska prywatna fundacja Poula Lauritsena przyznaje corocznie nagrodę „Wolności” dla osób, instytucji lub organizacji szczególnie zasłużonych w obronie przestrzegania praw człowieka. Nagroda wynosi 100 tys. duńskich koron (około 16 tys. dolarów) i jest wręczana w Kopenhadze w dniu 10 grudnia tj. w rocznicę podpisania przez ONZ deklaracji praw człowieka w 1948 roku. W tym roku przypada więc 40-ta rocznica, a tegorocznymi laureatami są dwaj polscy prawnicy: Piotr Andrzejewski i Andrzej Milczanowski.

A oto sylwetki laureatów:

Piotr Andrzejewski urodził się w 1941 roku. Jest adwokatem. Praktykę adwokacką rozpoczął w 1971 roku. W kwietniu 1980 roku podczas Zgromadzenia Delegatów Warszawskiej Izby Adwokackiej, wraz z adw. Władysławem Siłą-Nowickim wygłosił przemówienie, w którym zarzucił władzom PRL nadużywanie prawa i łamanie praw

obywatelskich. Postulował ukaranie sprawców masakry robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Rozpoczął w ten sposób działalność publiczną, której ideą przewodnią są prawa człowieka i obywatela. Na przełomie sierpnia i września 1980 roku pełnił rolę konsultanta prawnego Międzyzakładowego Komitetu Robotniczego z siedzibą w Hucie „Katowice” i był pełnomocnikiem powstałego tam samorządnego związku zawodowego.

Od początku stanu wojennego był aktywnym obrońcą w procesach politycznych. Stawał w obronie nie tylko osób oskarżonych, lecz bronił też drastycznie łamanych przez władzę stanu wojennego praw człowieka. W przemówieniach obrończych bezkompromisowo oskarżał władzę o popełnione nadużycia. Reakcją władz były szykany. Już po pierwszym procesie, przeciwko przywódcom strajku w Instytucie Badań Jądrowych, na polecenie ministra sprawiedliwości, wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne za rzekome przekroczenie granic wolności słowa.

Podczas procesu internowanych z obozu w Kwidzynie, pobitych przez służbę więzienną, minister sprawiedliwości zawiesił go w czynnościach zawodowych, po czym Sąd Najwyższy pozbawił go prawa wykonywania zawodu na okres jednego roku. Po powrocie na ławę obrończą dalej, z równym zaangażowaniem i odwagą, bronił skrzywdzonych bezprawnymi praktykami władzy.

Jesienią 1987 roku podjął się roli pełnomocnika zakładowych organizacji „Solidarności” domagających się umożliwienia im nieskrępowanej działalności związkowej. Rozpoczął w ten sposób nowy rozdział w walce na rzecz poszanowania praw człowieka i obywatela. Jego przemówienia przed Sądem Najwyższym demaskują bezprawną praktykę władz i zakłamanie sądów, które nie pozwalają na działalność zakładowych organizacji „Solidarności” łamią zasadę wolności związkowej, odmawiają respektowania Deklaracji Praw Człowieka, konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy i innych międzynarodowych zobowiązań w dziedzinie praw człowieka.

Przyznanie nagrody „Wolności” Piotrowi Andrzejewskiemu stanowi dowód uznania i satysfakcję dla wszystkich obrońców w procesach politycznych w PRL.

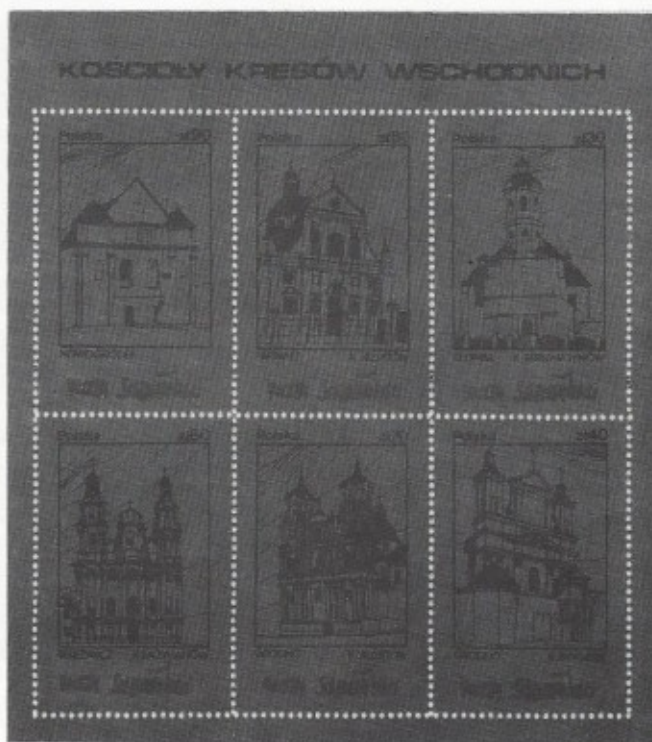
Andrzej Milczanowski urodził się w 1939 roku. Po studiach pracowniczych pracował przez 5 lat w szczecińskiej prokuraturze. Zrezygnował z tej pracy uznawszy, że uzależnienie prokuratury

od czynników politycznych nie godzi się z jego poczuciem sprawiedliwości. Podjął pracę jako radca prawny. Był aktywnym uczestnikiem strajków w sierpniu 1980 roku i jednym z organizatorów szczecińskiej „Solidarności”.

Jako działacz związkowy zdobył sobie dużą popularność i autorytet. Był radcą prawnym Komisji Zakładowej „Solidarności” w Stoczni Szczecińskiej i Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego. Stan wojenny zastał go w stoczni. Po złamaniu strajku siłą został wraz z innymi członkami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego aresztowany i postawiony przed sądem. W czasie procesu ustalono, że kierownictwo strajku wzywało do nie stawiania czynnego oporu siłom porządkowym, co z pewnością zapobiegło rozlewowi krwi. Mimo to Andrzej Milczanowski skazany został na 5 lat więzienia. W czasie uwięzienia podjął walkę o status więźnia politycznego, za co spotkały go

rozmaite szykany i kary ze strony służby więziennej. Wyszedł na wolność w wyniku amnestii po 2 latach i 4 miesiącach i rozpoczął na nowo walkę o wprowadzenie pluralizmu związkowego. Był inicjatorem podjętej jesienią 1986 roku akcji tworzenia komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność” w zakładach pracy. Zakłady Szczecina i okolic były w tej działalności pierwsze i dotąd pozostają najaktywniejsze, mimo sypiących się na działaczy represji, pogroźek i prześladowań. Jesienią 1987 roku Andrzej Milczanowski powołany został w skład Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”.

Przyznanie nagrody „Wolności” Andrzejowi Milczanowskiemu stanowi dowód uznania i satysfakcję dla wszystkich niezależnych działaczy związkowych w Polsce. Kandydatury obydwóch laureatów wysunięte zostały przez działający w Polsce Komitet Helsiński. ■



Poczta podziemna, blok: Kościoły kresów wschodnich, cena 10,- DM

Polacy w RFN

Historię PRL lat 80-tych znaczą — „Solidarność”, stan wojenny, permanentny kryzys społeczno-gospodarczy, opozycja, II-gi obieg... i masowa emigracja. Myśl o wyjeździe zdaje się być głęboko zakorzeniona w społecznej świadomości. Zwątpienie i udręka pri-owskiiej codzienności, brak perspektyw, chęć godnego życia, polityka paszportowa władz, „miraż” Zachodu — to jedne z przyczyn uchodźstwa.

Niestety, masowości i determinacji tego zjawiska towarzyszy często nieznajomość i nieświadomość rzeczywistości społeczno-prawnej krajów zachodnich. Rzetelna, w miarę szeroka informacja o warunkach, wymogach, przepisach i sytuacji prawnej uciekinierów to imperatyw teraźniejszości. Książka T. Folka „Prawo azylu, ...” (wyd. 1988) wychodzi tym oczekiwaniom naprzeciw. Tytułem uzupełnienia w.w., w niniejszej notatce pragnę zwrócić uwagę na możliwości pobytu w RFN w oparciu o postanowienia Stałej Konferencji Ministrów Spraw Wewnętrznych RFN (1987). Uchwała ta w szczegółach mało znana jest nawet specjalistom zawodowo trudniącym się poradnictwem prawnym. Poniższe informacje kieruję zasadniczo do odbiorcy krajowego.

Republika Federalna Niemiec należy do najczęściej odwiedzanych przez Polaków krajów europejskich. W 1987 roku ambasada tego kraju wydała ok. 400 tys. wiz wjazdowych. Na niewiele mniej można szacować ilość przybyłych (Polaków). Z pośród nich ok. 15 tys. złożyło podania azylowe (poniżej 4% odwiedzających). Utrzymujące się w Niemczech Zachodnich na wysokim poziomie liczby obcokrajowców ubiegających się o azyl polityczny (np. lata 1980, 1985, 1986 ponad 100 tys. podań rocznie), niekorzystna sytuacja na rynku pracy (w 1987 ok. 2,3 mln bezrobotnych) i powiązaniu z niepewnymi prognozami gospodarczymi wpłynęły na zmianę (zaostrzenie) ogólnych przepisów d/s cudzoziemców oraz prawa azylowego¹.

Ostatnio wprowadzona w życie uchwała Stałej Konferencji Ministrów i Senatorów d/s Wewnętrznych krajów



Obóz dla uchodźców ze Wschodu w RFN

związkowych (2-3.04.1987) kompleksowo reguluje sytuację Polaków w RFN. Znosi ona postanowienia z 1985 roku, na mocy których uciekinierzy z PRL mogli bez większych trudności pozostać w RFN. Ustala, że osoby które wjechały do Niemiec Zach. po 1 maja 1987 i złożyły podania azylowe, które rozpatrzone negatywnie podlegają ogólnym przepisom d/s cudzoziemców. W praktyce oznacza to, po zakończeniu postępowania azylowego, wezwanie do opuszczenia RFN (niezastosowanie się grozi deportacją²). Jednocześnie zabrania się podejmowania i wykonywania pracy (5-letni okres oczekiwania). Jeśli dodamy do tego bardzo niski współczynnik pozytywnych odpowiedzi azylowych, otrzymamy niezbyt budujący obraz. Tytułem równowagi, nieco korzystniejsze są inne regulacje cytowanej uchwały.

Stworzona została dla Polaków odwiedzających krewnych i znajomych możliwość rocznego przedłużenia pobytu, na zasadzie duldungu (tj. tolerancji pobytu). Pod dwoma wszelako warunkami — zaświadczenie o posiadaniu niezbędnych na utrzymanie środków finansowych (np. oświadczenie osoby zapraszającej) i niepobieranie pomocy socjalnej.

Osoby, które nie złożyły podania azylowego, a pragną osiedlić się w krajach imigracyjnych np. USA, Kanadzie, Australii itd. mogą otrzymać zgodę na pobyt w RFN, czasowo ograniczony do roku (!). Warunkiem niezbędnym jest rozpoczęcie w okresie ważności wizy turystycznej (!) postępowania emigracyjnego oraz przedstawienie niemieckim władzom d/s cudzoziemców stosownego zaświadczenia z urzędu/biura imigracyjnego (np. Raphaels Werk), że wyjazd ma szansę powodzenia. Jest to całkowite novum. Deklarowanym „emigrantom” stwarza się lepsze, w porównaniu z „azy-lantami” warunki pobytowe. Otrzymują oni duldung, nie mają zakazu szukania i podejmowania pracy (ostrożnie z optymizmem), brak jest przeciwwskazań do pobierania pomocy socjalnej. Potencjalny uchodźca ma w RFN alternatywne rozwiązania. Istotne jest, aby był tego świadomy i robił z wiedzy możliwie dobry użytek.

Na zakończenie uwaga — apel. Zaostrzająca się sytuacja ekonomiczna w kraju z jednej strony, coraz bardziej nieprzychylna polityka imigracyjna państw zachodnich z drugiej, powodować będą wśród nowo przybyłych wzrost nastrojów rozgoryczenia, zwątpienia i rozczarowania. Dlatego też na polskich organizacjach emigracyjnych spoczywa obowiązek zaktywizowania i skoordynowania swoich wysiłków celem zwalczania tych tendencji.

Kolonia, maj 1988

B. Waldemar

¹ — tzn. tych, którzy nie mają szans zostać uznanymi za przesładowanych politycznie, rasowo, etnicznie, kulturowo, itd.

² — patrz „Kronika Niemiecka” (*Kultura* nr 1/2, 1987), tutaj interpretacja zbyt uproszczona.

³ — w marcu tego roku rząd federalny wysunął propozycję utworzenia centralnego urzędu d/s wydaleń celem usprawnienia procedury deportacji.

DOKUMENTY

DEKLARACJA „SOLIDARNOŚCI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ”

sygnowana przez członków niezależnych ruchów i inicjatyw, którzy spotkali się na granicy polsko-czechosłowackiej 9 lipca 1988 r.

W przededniu 20 rocznicy interwencji militarnej wojsk Układu Warszawskiego w ČSSR, my uczestnicy spotkania na granicy w dniu 9 lipca 1988 roku, w dyskusji nawiązującej do naszych poprzednich spotkań i ich rezultatów, wspólnie zgodziliśmy się z tym, że:

Żyjemy w epoce przemian. Panujący w naszych krajach od ponad 40-tu lat system przeżywa głęboki kryzys. Dyktatorski sposób sprawowania władzy, centralistyczne zarządzanie gospodarką daje w wyniku system marnotrawiący zasoby naturalne i wysiłki ludzkie. Po raz pierwszy zdaje się

to rozumieć również przynajmniej część elity władzy. Uważamy, że niezależnie od oceny reformatorskich prób, szansa przebudowy systemu zależy jak nigdy dotąd od społeczeństw. Im więcej niezależnych, społecznych ugrupowań, im więcej programów, różnorodnych pomysłów, tym większe jest prawdopodobieństwo, że obecny system zostanie zastąpiony przez system demokratyczny i sprawny. Już dziś musimy działać na rzecz podstawowych praw człowieka i praw ludzkich.

Są nimi:

PRAWO DO SUWERENNOŚCI

Uważamy za konieczne podpisanie przez kraje Paktu Warszawskiego nowego układu, wykluczającego użycie siły między naszymi krajami oraz zorientowanie polityki zagranicznej na zniesienie bloków politycznych i militarnych w kierunku demokratycznej jedności całej Europy.

Należy wyjaśnić i ujawnić materiały dotyczące:

- interwencji oddziałów radzieckich w Berlinie w czerwcu 1953 roku,
- interwencji wojsk radzieckich na Węgrzech w 1956 roku,
- interwencji wojsk Paktu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 roku.



Uczestnicy spotkania na granicy polsko-czechosłowackiej. Od lewej stoja: Mirosław Jasiński, Peter Uhl, Józef Pinior, Adam Michnik, Jan Lityński, Mieczysław Piotrowski, Jaroslav Šabata, Ivan Lamper, Zbigniew Bujak, Hanna Šabatova, Stanislav Devaty, ks. Vaclav Malý, Jan Ruml. Poniżej: Zbigniew Janas i Vaclav Havel. Od lewej siedzą: Zbigniew Romaszewski, Petr Pospichal, Jacek Kuroň, Jan Urban, Ladislav Lis, Danuta Winiarska, Jan Čarnogurski. Nie ma na zdjęciu: Piotra Niemczyka i Šasy Vondry

® NAF DEMENTI

- szantażu interwencją w Polsce w latach 1980-81.
- Wyjaśnienia i potępienia wymagają również:
 - wywózki i masowe aresztowania obywateli polskich przez władze radzieckie w latach 1939-41 i 1944-48,
 - masowy mord oficerów polskich w Katyniu przez wojska NKWD w 1940 roku,
 - sądowe morderstwo na Imre Nagy'm, jego współpracownikach i innych uczestnikach Rewolucji Węgierskiej,
 - działalność Kominformu, która spowodowała utratę resztek suwerenności przez nasze państwa,
 - definitywne wyjaśnienie wszystkich procesów politycznych i morderstw sądowych z końca lat 40 i 50-tych.

PRAWO DO ROZWOJU NARODOWEGO I RELIGIJ- NEGO

Należy ujawnić, wszechstronnie zanalizować i potępić wszelkie przypadki deportacji, prześladowań i represji z powodu przynależności rasowej, pochodzenia, wiary i religii. Wszystkie narody i narodowości w naszych krajach winny mieć prawo do nieskrępowanego rozwoju swojej kultury, języka, tradycji, zaś każdy człowiek winien mieć warunki do uprawiania religijnego kultu, przynależności do swego Kościoła i głoszenia swej wiary.

PRAWO DO SYSTEMU PRAWNEGO, SPOSOBU OR- GANIZACJI, WOLNOŚCI SŁOWA I SWOBODY GOS- PODAROWANIA

Obecny stan przepisów prawnych sankcjonuje bezprawie, umożliwia prześladowania przeciwników politycznych i represjonowanie wszelkiej niezależnej działalności politycznej, społecznej i gospodarczej. Jest on jedynie narzędziem w ręku panującej elity.

We wszystkich naszych krajach muszą powstać godne tej nazwy systemy prawne. Uważamy, że ze względów humanitarnych winna zostać zniesiona hańbiąca systemy prawne kara śmierci. Żądamy również natychmiastowego i bezwarunkowego zwolnienia więźniów politycznych.

W ramach nowych systemów prawa musi zostać zagwarantowana swoboda organizacji, wolność słowa i wolność gospodarowania. Musi być też zagwarantowane prawo wolności zrzeszenia w związku zawodowe i prawo pracujących do współdecydowania o warunkach pracy.

Ograniczanie tych swobód i wolności powinno być jasno określone i kontrolowane przez niezawisłe sądy.

PRAWO DO PODRÓŻOWANIA

Wzajemny rozwój, potrzeba poznania wymaga zniesienia wszelkich przepisów ograniczających swobody podróżowania w naszych krajach. Podróże poza granice kraju, które dla obywateli państw demokratycznych są naturalnym i niekwestionowanym prawem, w naszych krajach są źródłem rozdawania przywilejów i metodą karania nie podlegającą żadnej społecznej kontroli.

Uważamy, że każdy obywatel winien mieć paszport w domu. Konieczne jest również uproszczenie procedury związanej z podróżami w ramach bloku państw RWPG.

Podróże między naszymi krajami powinny być całkowicie swobodne.

PRAWO DO OKREŚLANIA SYSTEMU GOSPODAR- CZEGO

W ramach RWPG muszą obowiązywać zasady równości. Żaden z krajów członkowskich nie ma prawa do narzucania pozostałemu systemowi gospodarczego i systemu włas-

ności. Wymaga to gruntownej analizy dotychczasowych, w ogromnej większości negatywnych doświadczeń i oparcia współpracy na nowych, zgodnych z potrzebami wszystkich krajów, zasadach. W szczególności przynależność do RWPG nie może ograniczać wymiany z innymi krajami, nie będącymi członkami tej organizacji.

Wzywamy przedstawicieli wszystkich niezależnych inicjatyw i instytucji oraz opinię publiczną naszych krajów do wspólnej dyskusji i działań na rzecz realizacji tych praw.

* * *

Wyrażamy swoje oburzenie z powodu likwidacji wspólnot ludzkich rumuńskich, węgierskich, niemieckich i słowackich w Transylwanii.

Jest to stalinowski plan wyniszczania wspólnot narodowych.

Jesteśmy przekonani, że tylko pełne respektowanie praw narodowych, religijnych i obywatelskich może doprowadzić do odprężenia i stabilizacji w naszej części Europy.

Sygnatariuszami Deklaracji są osoby, których nazwiska znajdują się w podpisie pod zdjęciem.

Listy do redakcji

Balingen, 18 VI 88 r.

Droga Redakcjo!

Z uwagą przeczytałem w majowym numerze *Poglądu* wywiad z działaczem ruchu pacyfistycznego „Wolność i Pokój” pod zmiennym tytułem „Przełamać strach”. Wypowiedź pana Piotra Niemczyka posiada trafne spostrzeżenia i refleksje, ale nie w pełni odzwierciedla istotę całego zjawiska.

Czuje się w obowiązku rozszerzyć temat o aspekt ważny w moim odczuciu a jedynie zasygnalizowany na marginesie.

Na gruncie tzw. demokracji socjalistycznej jedynym niezależnym od władzy i w pełni skutecznie realizującym się od lat ruchem pacyfistycznym jest wyznaniowa społeczność Chrześcijańskich Świadków Jehowy. Ci odważni wyznawcy swojego Boga bez względu na kary i sankcje odmawiają odbywania służby wojskowej. Nie pracują też w instytucjach pracujących na potrzeby armii, ani nawet w zakładach monopoli tytoniowego. Nie przyjmują prac zastępczych zamiast służby wojskowej, ponieważ wykonujący te prace podlega przepisom wojskowym. Nie chcą i nie są pod patronatem ani nawet pod sygnaturą wojska.

Wobec zdecydowanej postawy „właścicieli” PRL czują się bezradni. Rządowe propozycje dialogu rozbijają się o zdecydowaną postawę przedstawicieli tej społeczności. Wiele od nich mogą nauczyć się wielebni przedstawiciele tysięcletnich tradycji chrześcijańskich, z kraju od z górą trzydziestu lat negocjujących owieczek i wilków.

Łączę wyrazy szacunku

Wiesław Stepniak

KRONIKA EMIGRACYJNA

PARUIR AIRIKJAN W BONN

Paruir Airikjan, ormiański obrońca praw człowieka i założyciel Ormiańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Narodowego Samostanowienia przebywał z krótką wizytą w Bonn na zaproszenie Towarzystwa „Kontynent”. 39-letni Airikjan, który spędził w więzieniach 14 lat i pięć miesięcy, a w łagrach dodatkowo 3,5 roku, został 23 lipca pozbawiony obywatelstwa radzieckiego i wywieziony do Etiopii. Podczas konferencji prasowej w dn. 11 sierpnia w Bonn Paruir Airikjan mówił o swoich przeżyciach więziennych, o sytuacji w Armenii, Górnej Karabachii, o pogromach i przyczynach, dla których liczbę ofiar masakry w Sumgaicie władze określiły na 32 osoby. Mówił o dążeniach Ormian związanych ze stopniem ich świadomości narodowej i przynależności do chrześcijańskiej kultury zachodnioeuropejskiej, o złudzeniach Zachodu co do pieriestrojki, a także o roli ormiańskiej diaspory. Ponadto o kontaktach historycznych między Polakami i Ormianami i o pomocy, jaką w najtrudniejszych chwilach dziejów Armenii znajdowali uchodźcy ormiańscy w Polsce. W rozmowie z Krystyną Grzybowską Airikjan omówił także potrzebę i możliwości współpracy Ormian z polską opozycją. Szerokie omówienie konferencji prasowej i wypowiedzi Airikjana dla *Poglądu* zamieszcimy w następnym numerze pisma. K.G.

AKCJA PROMOCYJNA FILMU KATYŃ

Melbourne, 10 czerwca 1988

Praagniemy poinformować, że w końcu ubiegłego roku zainicjowaliśmy akcję zbiórki pieniędzy w celu przygotowania produkcji filmu o zbrodni katyńskiej.

Australijski aktor i producent filmowy, twórca kilku sztuk teatralnych i telewizyjnych, Jim Daly, podjął inicjatywę realizacji filmu o Katyniu. Opracowany przez niego scenariusz można streścić następująco:

Australijka polskiego pochodzenia jedzie do Warszawy w 1981 r. aby odnaleźć ślady dziadka, polskiego oficera zaginionego na terenach Rosji w 1940 r. Poszukiwania te przedstawione są na tle wydarzeń z okresu „Solidarności”. Bohaterka filmu dowiaduje się prawdy (pokazanej w formie wspomnień i obrazów przeszłości) z najmniej oczekiwanego źródła.

Scenariusz w obecnej formie jest przygotowany do pełnoekranowego filmu fabularnego. Wyrażona niedawno wobec autora propozycja 4-6 godzinnego mini-seriału telewizyjnego wymagałaby rozszerzenia scenariusza. W filmie tym będą w maksymalnym stopniu i rzetelnie wykorzystane wszystkie dostępne materiały faktograficzne i źródła historyczne, które autor starannie przestudiował. Konsultantem w pracach nad scenariuszem był znany scenarzysta Cliff Green („Picnic at Hanging Rock”), zaś partnerem Jima Daly w realizacji filmu jest producent Gerard Maguire.

„Katyń” będzie filmem stosunkowo droгим w produkcji, co wymaga szerokiego kręgu inwestorów. O bardziej szczegółowe informacje, dotyczące ewentualnego inwestowania w film prosimy zwracać się bezpośrednio do Jima Du-

ly (adres zamieszczony w końcu tej notatki). Mimo tak daleko zaawansowanych przygotowań do produkcji filmu, autor scenariusza nadal pilnie potrzebuje pieniędzy na akcję reklamową, druk ostatecznej wersji scenariusza, międzynarodowe połączenia telefoniczne, telexy itp.; krótko mówiąc Jimowi potrzebne są jeszcze tzw. „seed money”.

Grupa nasza jest formalnie ukonstytuowana jako „Akcja Promocyjna Filmu Katyń” („Action Promotion Film Katyń Inc.”) i działa pod patronatem Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii. Otwarte zostało konto „Film Katyń Fund” No.: 3-089 370024 w Westpac Banking Corporation, na które można wpłacać dotacje.

Jim Daly zadeklarował, że w przypadku powodzenia tego przedsięwzięcia przekaże 1% zysku na utworzenie funduszu krzewienia wiedzy o prawdziwej historii Polski w słowie, druku i obrazie.

Apelujemy o poparcie naszej akcji promocyjnej; będziemy wdzięczni za każdą formę pomocy, np.:

- zakup dowolnej liczby kartek-cegiełek z napisem — Katyń 1940,
- wpłaty na konto „Katyń Fund”,
- podjęcie się roli kolportera kartek-cegiełek we własnym środowisku,
- propagowanie naszej akcji i próby pozyskania inwestorów.

Adresy kontaktowe:

Jim Daly, the Producer, „Katyń”, c/o The Actors Agency 197 Roden Street, West Melbourne 3006, Australia tel.: (03) 380 8349.

W sprawie dystrybucji kartek-cegiełek-

Teresa Milton, 19 Austin Street, Balwyn 3103, Australia, tel.: (03) 817 3577.

Z góry serdecznie dziękujemy za zainteresowanie i poparcie.

Teresa Milton, koordynator Akcji Promocyjnej Filmu Katyń

SOLIDARNOŚĆ W TRAUSDORFIE

Wśród 80 tysięcy pielgrzymów przybyłych wczesnym rankiem 24 czerwca do małego Trausdorfu w Burgenlandzie na mszę odprawianą przez Jana Pawła II, nie zabrakło również Polaków. Mała grupka ludzi połączonych wspólną ideą przywiozła ze sobą do Trausdorfu ponad tysiąc biało-czerwonych chorągiewek z symbolem „Solidarności” oraz cztery transparenty.

Pielgrzymi kierujący się do wyznaczonych sektorów wyciągali ręce po rozdawane im przez grupę Polaków chorągiewki, wyrażając przy tym swoją sympatię i zainteresowanie dla Związku i dla sprawy polskiej. Węgry proponowali wymianę na swoje chorągiewki z węgierskimi barwami narodowymi. Często recytowali przy tym po polsku: „Polak, Węgier dwa bratanki...” Jeszcze większe zainteresowanie i sympatię wyrażali pielgrzymi z Jugosławii. Wyczuwało się ciepły i pogodny nastrój. Zmienił się on trochę, kiedy przez głośniki zaczęto nadawać kilkakrotnie powtórzony komunikat, że o ile nie zostaną usunięte emblematy „Solidarności”, przerwana zostanie transmisja mszy. Policjanci rozpoczęli odbieranie kolejnym grupom rozdanych wcześniej chorągiewek, tłumacząc się wydanym ogólnie poleceniem. Na moment przed rozpoczęciem mszy zatrzępotwały jednak na wietrze białoczerwone barwy. Rozpostarte zostały też transparenty, wyciągnięte dość szybko przez policjantów, ale jeszcze szybciej przez kamery telewizyjne. Czy to ciepło i spokój emanowa-

wane przez Ojca Świętego, czy też ulga, że pełna napięcia służba zakończona, a może jedno i drugie sprawiły, że potem, już po wyłączeniu kamer telewizyjnych policjanci i „konspiratorzy” uśmiechali się do siebie pobłaźliwie i z wyrozumiałością. Jeszcze tylko podchodzili Węgrzy, by prosić o ostatnie pozostałe ulotki w języku węgierskim, o ostatnie chorągiewki, a także, by zrobić pamiętkowe zdjęcie na tle transparentu, teraz już nie budzącego niezłych zastrzeżeń oraz by wyrazić swoją sympatię i solidarność.

Czuło się tę solidarność ludzi mówiących różnymi językami, ale rozumiejących się we wspólnym pragnieniu wolności dla swoich zniewolonych przez komunizm krajów, ludzi połączonych wspólną nadzieją, którą obudziła i której symbolem stała się nasza polska „Solidarność”. Jan Łasut

SOLIDARNY MARSZ NARODÓW W BONN

W dniu 16 lipca odbył się w Bonn — organizowany już po raz trzeci przez Organizację Wolnych Rumunów — Marsz Narodów Ujarzmionych. Tak, jak i w latach ubiegłych, i w tym roku masowo wzięli w nim udział Polacy. Demonstranci przemaszewali ulicami miasta, a następnie przedstawiciele poszczególnych narodów wygłosili przemówienia. Ze strony polskiej zabrał głos delegat Rządu RP w Londynie na Niemcy Zachodnie, mecenas Wicenty Broniów-Oriński. Mówca podkreślił potrzebę całościowego widzenia spraw związanych z losami i aspiracjami narodów, znajdujących się w sferze wpływów sowieckich, a także konieczność dalszego wspólnego działania na rzecz ich wyzwolenia. Wśród grupy polskiej obecni również byli: delegaci Rządu RP w Londynie: magister Tadeusz Folek i Skarbu Narodowego Barbara Gorczyńska. Przybyli przedstawiciele polskich partii i organizacji niepodległościowych PPS, Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, a także Zjednoczenia Polskich Uchodźców między innymi z Dortmundu, Velbert, Kolonii, Hamburga i innych miast RFN. St. B.

W MONACHIUM: KATYŃ 88

Od 30.04.88 na terenie Monachium, Grupa Robocza „Solidarność” prowadzi apel pod hasłem „Katyń 88”. Dużym zainteresowaniem cieszą się karty pocztowe formatu A4, które są nietypowe, ponieważ już zaadresowane.

Adresem jest M. Gorbaczow, od którego domagamy się m.in. „pełnego, udokumentowanego, popartego autorytetem niezależnej opinii międzynarodowej, całkowitego wyjaśnienia prawdy historycznej o losach 14.741 polskich oficerów. M. S.

Listy do redakcji

Hamburg, dnia 29 lipca 1988 r.

Wielce szanowny Panie Redaktorze!

W myśl niezującego już i będącego na Sądzie Bożym niesławnej pamięci Goebbelsa, że kłamstwo powtarzane ileś tam razy w numerach 19/92 i 20/93 *Poglądu*, jest „prawdą” zrobiliście z kochającego swą Polską Ojczyznę i swój Polski Prawosławny Kościół, Polaka, Ks. Dziekana Protojerę Mgra. Piotra Popławskiego, Proboszcza Prawosławnej Parafii w Narwii i Dziekana, Narewskiego Dekanatu Polskiego

Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego „tzw. unię” czyli zdrającę świętego Prawosławia. Nasz protest z 12 XI 1985 i telefoniczne rozmowy pozostały do dziś bez echa. Widać nie możecie zrozumieć, że w Polsce żyje milion prawosławnych w 250 parafiach, którzy mają 5 Biskupów w Kraju jak i około 260 księży, ponadto tysiące polskich prawosławnych żyje na Zachodzie Europy, a i w USA, Kanadzie i Australii, że w Italii jest 6 Diecezji Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, poza Polonią należy do niej 6 tysięcy rdcennych Włochów, którzy przyjęli św. Prawosławie mimo, że to niemal u wrót Watykanu.

Dlatego to piszę i wypominam. Już gotów byłbym zapomnieć wyżej wspomniane kłamstwa z numerów 92 i 93 *Poglądu*, gdyby nie to, że tak wielkie wydarzenie jak 1000-Lecie Chrztu Rusi, będące wspaniałym triumfem Prawosławia i świadczącym o Jego potędze i sile mimo, że miało i ma tylu wrogów. Nawet *Kultura* wydawana we Francji, która nie zawsze jest i była obiektywna wobec naszej Cerkwi, uczciła to wielkie wydarzenie drukując List Pasterski naszych Biskupów. Prymas Polski Ks. Kardynał Józef Glemp wraz z przedstawicielami Watykanu i wieloma Rzymskokatolickimi Biskupami świata, swą obecnością na uroczystościach na rosyjskiej ziemi dał świadectwo dobrej woli i braterstwa wobec Prawosławia. *Pogląd* ma szanse jak *Kultura* iść śladem Ks. Kardynała Józefa Glempla, który wyciągnął do prawosławnych rękę do zgody, drukując też ten List Pasterski, wspominając rzetelnie i nietendyjnynie o uroczystościach z okazji Tysiąclecia Chrztu Rusi w ZSRR i w Polsce. Bogate materiały zarówno ze źródeł rzymskokatolickich jak i prawosławnych na życzenie dostarczę.

W Polsce obchody odbyły się w każdej z 5 Diecezji już, w Hamburgu 26 czerwca b.r. We Włoszech odbędą się dnia 1 listopada br. Jeżeli Łaskawy Bóg wysłucha modły prawosławnych Greków i nie tylko, m.in. i Polaków i w swej łasce sprawi, że Mike Dukakis z dziada pradziada prawosławny zostanie prezydentem USA, czy *Pogląd* zrobi z niego unię? Nie sądzę tego jednak, Mike Dukakis na taką zniewagę nie pozwoliłby sobie. Stać by go też było aby Was zmusić umieścić sprostowanie.

Czytając *Pogląd* odnosi się wrażenie, że to P.T. Pismo jest tylko dla Rzymskokatolików, Wyznawców Religii Mojżeszowej i Unitów. Niechaj *Pogląd* w imię sprawiedliwości i prawdy zrozumie, że są też i Polacy Prawosławni, którzy do końca życia pozostaną przy Prawosławiu i nigdy nie staną się żadnymi unitami ani rzymskokatolikami. Proszę wybaczyć ostry polemiczny ton tego listu. Moja funkcja jednak zobowiązuje mnie do obrony Polskiego Prawosławia.

Z poważaniem i wyrazami szacunku, w imieniu Polonii Prawosławnej RFN

Ks. Klaudiusz Perendyk Proboszcz Polskiej Parafii p.w. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Hamburgu.

(no comments — red.)

★ ★ ★

W dniu 3 sierpnia br. w wieku 72 lat zmarł w Chicago Prezes Związku Narodowo-Polskiego i Kongresu Polonii Amerykańskiej mec. Alojzy Mazewski.

„Pogład” ukazuje się od stycznia 1982 (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją **Towarzystwa Solidarność e.V.** — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę prawa do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmety § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłącznie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego, pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i w krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogład”/„Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
 „Pogład”
 Sparkasse der Stadt Berlin West
 Konto Nr. 122 001 238 2
 BLZ 100 500 00
 lub

Postcheckkonto
 586 90 - 102
 BLZ 100 100 10
 Postcheckamt
 1000 Berlin (West)
 dopisek: POGŁAD

PRENUMERATA

RFN:
 półroczna DM 40,-
 roczna DM 75,-

Europa i kraje zamorskie
 (poczta zwykła):
 półroczna DM 45,-
 roczna DM 80,-

Kraje zamorskie
 (poczta lotnicza):
 półroczna DM 55,-
 roczna DM 100,-

Australia:
 półroczna DM 65,-
 roczna DM 120,-

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
 Postgiro, nr. 463 0809-9
 dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
 Hans-Jürgen Wichmann
 Askanierrieng 155-156
 1000 Berlin 20

CENA DM 6,-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzegamy prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM

Verleger — Wydawnictwo
 Gesellschaft Solidarność e. V.
 Gebierstr. 10, D—1000 Berlin 62
 Wydawca i redaktor naczelny
 Edward Klimczak
 Sekretarz redakcji
 Piotr Kowalczyk

Adres redakcji
 Postfach 62 02 24
 D — 1000 Berlin 62
 tel. 030/782 93 84

Pogład

Stali współpracownicy

Ewa Darmas — PARYŻ, Paweł Gajowniczek — OSŁO, Wiktor Grotowicz — MONACHIUM, Krzysztof Kasprzyk — TORONTO, Maciej Rybiński — BONN, Roman Śmigiełski — KOPENHAGA, Krzysztof Wądrozki — FRANKFURT/M., Leszek Wyrwa — Polska, Andrzej Zwaniecki — WASHINGTON

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 8 View St., Subiaco 6008, Tel. 09/3821662;
 AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;
 DANIA — Roman Śmigiełski, Worasaaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330;

FRANCJA — Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Ville-franche s/S, Tel. 74/820945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 35 Confederation Dr. 205, ONT.M1G1A2, Scarborough; Marek Przykorski, 5050 Roslyn Apt. 32 H3W 2L2, Montreal P.Q.

NORWEGIA — Paweł Gajowniczek, Lindberggassen 28c, 1068 Oslo — 10

RFN — Lucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschtacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Bigniew Długolecki, Grüne Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, Tel. 089/6371213; Jan Kustusz, Ahornstr. 39, 5760 Arnsberg 1, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Grupa Robocza Solidarność-Eschweiler-Aachen, Z. J. Pillarscy, 5190 Stolberg, im Hirschfeld 19, Tel. 02402/84348; Barbara Urbaniak, Euskirchen Str. 2, 5160 Düren, Tel. 02421/16727; Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Köln 41, Tel. 0221/413734; Dariusz Ścibor, Neumarkt 1, 4722 Ennigerloh 2; Waldemar Tymoszek, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36;

SZWECJA — Tadeusz Karolak, Box 83, 13522 Tyreso, Tel. 08/7421457; Mirosław Marecki, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, Tel. 616/3616648; Tamara Sochacka, 5026 Caniff Detroit, MI 48212, Tel. 313/8715377;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, Tel. 01/8734456;

Postvertriebsstück: A 9878 E
Gebühr bezahlt
Pogład, Postfach 620224,
1000 Berlin 62

Corobić?

